



JASMINE CRESSWELL



Ryzykowna gra

Osoby

Abigail Deane - czy przechytrzy mordercę i uratuje majątek rodzinny?

Steve Kramer - ktoś defrauduje pieniądze w banku i Steve ma odkryć, kto to jest.

Keith Boverly - prezes banku i uosobienie uczciwości. Czy aby na pewno?

Peter Graymont - handlarz antykami, który ma także inne zainteresowania.

Gwen Johnson - powszechnie szanowana wiceprezes banku, interesuje ją wyłącznie praca. A może to pozory?

Linda Mendoza - słodka i czarująca. Czyżby to była tylko maska?

RS

PROLOG

Howard Taylor zaparkował swego szarego buicka dokładnie czterdzieści pięć centymetrów od bocznej ściany garażu. Miętko przesunął sprzęgło i zaciągnął ręczny hamulec. Jego praca w Banku Federalnym w Denver wymagała precyzji i Howard przeniósł swe przyzwyczajenia również na życie prywatne.

Westchnął z ulgą, zadowolony, że wreszcie wrócił do domu. Przemówienie burmistrza trwało ponad godzinę i obiad Izby Handlowej szalenie się przeciągnął. Nim się położy do łóżka, będzie dobrze po północy, a jutro czeka go kolejny ciężki dzień.

Coś dziwnego, nawet bardzo dziwnego działo się z uśpionymi kontami i żądanie Abigail Deane, aby się z nią jak najszybciej zobaczył, sprawiło, iż następny dzień miał być niemiłosiernie przeładowany. Nie mógł sobie jednak pozwolić na odwołanie umówionego spotkania. Informacje panny Deane powinny mu pomóc w dochodzeniu i w końcu będzie mógł zameldować o całej sprawie swoim przełożonym.

Howard był ekspertem komputerowym i wiedział, jak się manipuluje kontami, ale nie zamierzał występować z oskarżeniami, dopóki się nie dowie, który z pracowników banku kombinuje. Miał wprawdzie poważne podejrzenia, jednakże ludzie ostrożni nie działają wyłącznie na podstawie podejrzeń. Howard był zaś bardzo ostrożnym człowiekiem.

Pamiętając o niedawnej epidemii włamań w sąsiedztwie, zamknął starannie samochód i okna. Nie miał zamiaru ułatwiać życia złodziejom i włóczęgom. Nie dalej, niż kilka dni wcześniej powiedział żonie, że ludzie, których okradziono, sami byli sobie winni. Howard nie znosił nieostrożnych właścicieli domów niemal tak bardzo jak złodziei i włóczęgów.

Kilkoma szybkimi ruchami wyłączył elektronicznym pilotem alarm i zasunął drzwi do garażu. Kiedy wszedł do kuchni, Poppy zbiegła po schodach, szczerząc się na powitanie. Howard uśmiechnął się i przykucnął, żeby poklepać jedwabisty łeb cocker spaniela. Nigdy nie powiedziałaby tego Jill, lecz bardzo lubił Poppy i chętnie się nią zajmował, gdy żony nie było w domu. Pracowała dla linii lotniczych Westway.

- Chcesz pójść na spacer, Poppy? Cały dzień siedziałaś zamknięta, prawda?

Słowo „spacer” zrobiło piorunujące wrażenie na psie. Poppy przestała kręcić się w kółko, pobiegła do drzwi na taras i natychmiast zaczęła drapać framugę.

- Przestań, Poppy, już ci mówiłem, że niszczysz farbę.

Howard zacmokał z naganą, podnosząc smycz, jednakże otwierając zamek bezpieczeństwa i odsuwając szklane drzwi, nadal się uśmiechał. Światło z kuchni padało na część tarasu, rozjaśniając pachnącą sosnami noc w Denver. Ciężkie liście późnego lata zaszeleściły na wietrze. Howard oddychał głęboko, z przyjemnością wciągając do płuc suche, rześkie, górskie powietrze. To był doskonały wieczór na spacer, doskonały, żeby cieszyć się życiem.

Poppy plątała mu się pod nogami, szczerząc histerycznie, jak zawsze gdy poczuła świeże powietrze. Howard bezskutecznie usiłował ją namówić, żeby usiadła i dała sobie przypiąć smycz.

- Gdybyś się tak nie wierciła, wszystko trwałoby znacznie krócej - mruknął gderliwie. - Coś w ciebie dzisiaj wstąpiło, Poppy. Jesienią zapiszę cię na lekcje tresury. Tym razem na pewno to zrobię. Nie masz co wystawiać języka i patrzeć żałośnie. Nie umiesz się zachować.

Poppy nie zdążyła nawet przybrać skruszonego wyrazu pyska. Howard usłyszał przeciągły świst, poczuł gwałtowny ból i spojrzał w dół - z okrągłej dziury w górnej kieszeni marynarki lała się krew. Kula, wystrzelona zza

krzaków otaczających taras, trafiła go prosto w pierś. Ze zdumieniem wpatrywał się w pulsujący czerwony strumień, który przelewał mu się przez palce.

- Ktoś do mnie strzelał. Mój Boże, ktoś do mnie strzelał!

Howard nie był pewien, czy powiedział to na głos. Jego serce eksplodowało w nagłym ataku bólu i z zaskoczeniem stwierdził, że umiera. Upadł na kolana, wykrzywiając usta w niemym krzyku. Ostatnią rzeczą, którą zobaczył, były brązowe oczy Poppy, okrągłe ze strachu, i jej przyjacielska mordka w grymasie psiego przerażenia.

Biedna Poppy. Miał nadzieję, że ktoś ją znajdzie, nim wybiegnie na ulicę. Zupełnie nie zwracała uwagi na pędzące samochody.

Howard zamknął oczy.

Jakaś postać wyszła zza krzaków - czarna sylwetka na tle letniej nocy. Mordercza broń, rewolwer marki Webley, kaliber 38, śmierdziała spalonym azotynem potasu i gorącym metalem. Ten zapach niósł ze sobą wspomnienia z Korei.

Poppy usiadła przy zmarłym panu i zaczęła wyć. Morderca szybko złapał smycz i zaprowadził opierającego się psa z powrotem do domu. W środku spaniel schował się ze strachu w kącie kuchni, obok maszyny do zmywania, cicho skomląc. Morderca nie zwracał na niego uwagi.

Skórzana teczka Howarda leżała na kuchennym blacie. Morderca otworzył zamki. Papiery - te cholerne komputerowe wydruki - tkwiły w bocznej kieszeni. Z zadowolonym prychnięciem wyjął papiery i lekko popchnął teczkę. Gazety, spinacze i ołówki wypadły na ziemię. Na wierzchu leżał portfel Howarda. Morderca schylił się od niechcienia i wyjął z portfela gotówkę. Dwadzieścia dolców, nie warto się było schylać.

Przeszukanie kuchennych szafek zajęło mu zaledwie dwie minuty. Później szybko i cicho przeszedł do gabinetu i przetrząsnął szuflady, wyrzucając papiery na podłogę. Na szczęście nie znalazł niczego obciążającego.

Lepiej jeszcze coś ukraść. Zajrzał do przyległego pokoju i pośpiesznie wyłączył z kontaktu wideo. Nie warto było się fatygować na pierwsze piętro, żeby zabrać biżuterię Jill. Bałagan na parterze wyraźnie wskazywał na scenę rabunku przerwana powrotem gospodarza.

Morderca rzucił ostatecznie spojrzenie na ciało Howarda. Czuł triumf i podniecenie. Jeśli się pamiętało stary trening, zabijanie było naprawdę bardzo łatwe. W gruncie rzeczy można się było jedynie dziwić, iż więcej ludzi nie rozwiązywało w ten sposób swych problemów.

Zabójca schował broń do kieszeni. Z Howardem nie będzie już kłopotów. Zostały jeszcze listy i świadectwa. Listy, świadectwa i Abigail Deane.

Zajmie się nią z prawdziwą przyjemnością.

ROZDZIAŁ 1

Abigail Deane pchnęła ciężkie drzwi Banku Federalnego w Denver.

- Jestem umówiona z panem Taylorem - powiedziała uzbrojonemu strażnikowi.

- Jego biuro jest tam, z tyłu. Trzeba skrócić w prawo za palmami. Ale niech pani tam nie idzie...

- Proszę się nie przejmować, jestem umówiona na pół do piątej. - Abby z uśmiechem przerwała strażnikowi i pośpiesznie przeszła przez hol.

Punktualność była wizytówką osoby porządnej i zorganizowanej, i Abby była z niej dumna. W końcu ktoś w rodzinie Deane'ów musiał twardo stąpać po ziemi - zwłaszcza teraz, gdy jej siostry znikły gdzieś na krańcach świata, unoszone miłością i chęcią przygody.

Abby skarciła się w duchu. Jej życie było zbyt dobrze zaplanowane, aby miała się czuć samotna dlatego, że Linsey i Kate wyszły za mąż. Miłość i przygoda nie pasowały do jej stylu życia. Lubiła uporządkowane życie i

wyraźnie określone emocje, natomiast gorzkie doświadczenia nauczyły ją, że miłość na ogół nie bywa uporządkowana i wyraźnie określona.

Wyprostowała się i zapukała w matowe szkło drzwi, na których widniała tabliczka: Howard Taylor, pierwszy wiceprezes.

- Tak, czym mogę pani służyć? - Pulchna kobieta w średnim wieku otworzyła drzwi. Mówiła szorstkim głosem, którego nie łagodził miękki południowy akcent. Spojrzała na Abby zaczerwienionymi oczyma. - Jeśli chciała się pani skontaktować z policją, to porucznik jest teraz u pana Bovery. Z policją?

- Nie, nie chodzi mi o porucznika. Nazywam się Abigail Deane. Jestem umówiona z panem Taylorem na pół do piątej.

Pulchna kobieta jęknęła głośno.

- Panna Deane! Ach, mój Boże, miałam do pani dzwonić zaraz po przerwie obiadowej i zupełnie zapomniałam...

- Dlaczego nie mogę się zobaczyć z panem Taylorem? - spytała Abby. - Są pewne problemy z kontem fundacji mojej rodziny, które musimy jak najszybciej wyjaśnić.

- Pan Taylor nie żyje - powiedziała bezbarwnym głosem kobieta. - Wczoraj wieczorem został zabity przez włamywacza na tarasie własnego domu. Jego pies o mało nie rozwalił drzwi na taras i miał całe łapy we krwi, gdy go znaleziono. Nic dziwnego, że niektórzy wolą psy od ludzi.

- O, mój Boże! To straszne! Tak mi przykro. Mam nadzieję, że nikt inny z rodziny pana Taylora nie ucierpiał!

- Na szczęście nie. Jego żona jest stewardesą w Westway i dopiero rano wróciła do domu. To ona znalazła męża, biedaczka. Ale dobrze, że wieczorem nie było jej w domu, bo pewno i ją by zastrzelili.

- Tak mi przykro - powtórzyła bezradnie Abby, nadaremnie szukając odpowiedniejszych słów.

Poczuła, że robi jej się niedobrze, przełknęła więc ślinę i odetchnęła głęboko. Nie знаła osobiście Howarda Taylora, często jednak rozmawiali przez telefon. Jego gwałtowna śmierć przypomniła Abby wydarzenia, o których wolała jak najprędzej zapomnieć. Wciąż miewała straszne sny związane z wypadkami, w których jej siostry cudem uniknęły śmierci.

Kobieta uśmiechnęła się smutno.

- Zastanawiam się, jak to jest, że porządni ludzie, tacy jak Howard, zawsze umierają przedwcześnie. Cóż, takie jest życie. Nazywam się Linda Mendoza i jestem sekretarką pana Boverly. Proszę wejść do biura, postaram się znaleźć kogoś, kto mógłby pani pomóc. Obawiam się, że nie bardzo się znam na tego typu problemach finansowych, choć może nie powinnam się do tego przyznawać, skoro pracuję w banku.

- Proszę się nie kłopotać. Na pewno wszyscy są w tej chwili bardzo zajęci. Przyjdę w przyszłym tygodniu. Problemy z naszym kontem ciągną się od kilku miesięcy, więc parę dni nie zrobi większej różnicy.

- To miło z pani strony. Usiłowałam zorientować się w sprawach, którymi zajmował się Howard, żeby je przydzielić innym pracownikom, ale trudno mi się na tym skupić. A ten porucznik Knudsen też tylko przeszkadza. Kręci się tu od dwóch godzin.

Abby poczuła na plecach zimny dreszcz.

- Porucznik Knudsen z FBI w Kolorado? To on zajmuje się morderstwem?

- Tak. Zna go pani?

Abby poczuła, że zdrętwiały jej palce, zaciśnięte mocno na rączce teczki. Rozluźniła dłoń i zmusiła się, żeby odpowiedzieć Lindzie spokojnym głosem.

- Niedawno ktoś zastrzelił Douglasa Brady, mojego brata przyrodniego. Porucznik Knudsen prowadził śledztwo.

- Czasami wydaje się, że Denver jest małym miasteczkiem, prawda? W dobrym i złym sensie. Ciągłe się spotyka tych samych ludzi.

Linda Mendoza dyskretnie nie pytała o nic więcej, być może słyszała już o dramatycznych wydarzeniach związanych ze śmiercią Douglasa. Na korytarzu rozległy się kroki.

- O wilku mowa, właśnie idzie porucznik.

- Wychodzę. Przepraszam za całe zamieszanie i te wszystkie pytania - powiedział porucznik, zaglądając do pokoju.

- Niech pan pyta, o co pan chce, poruczniku. Zależy mi na tym, żeby złapał pan tego bandziora, który zabił Howarda.

- Mnie też.

Abigail poruszyła się bezwiednie i porucznik spojrzał na nią uważnie zmrużonymi oczyma.

- Panna Deane! Abigail Deane! - zawołał. Rzadko okazywał emocje, ale tym razem nie udało mu się ukryć zdumienia. - Co pani tu robi?

- Załatwiam interesy. Jak się pan miewa, poruczniku? - spytała grzecznie Abby.

- Mam masę pracy, niemniej cieszę się, że panią tu spotykam, bo dzięki temu nie muszę jechać przez całe miasto. Chciałbym zadać pani parę pytań w związku ze śmiercią Taylora.

- Dlaczego akurat mnie? - zapytała Abby, starając się opanować zdenerwowanie. - Chętnie panu pomogę, obawiam się jednak, że nic nie wiem o panu Taylorze ani o jego śmierci.

- Być może wie pani więcej, niż się pani zdaje. Skąd pani знаła zamordowanego?

- W ogóle go osobiście nie znałam, rozmawialiśmy tylko kilkakrotnie przez telefon na temat mojego konta...

- I znajomość z panem Taylorem nie wykraczała poza sprawy służbowe?

- Właśnie panu tłumaczę, że nawet w sprawach służbowych była to dość luźna znajomość. Dziś miałam się po raz pierwszy spotkać z panem Taylorem, dlatego moja obecność w banku jest czystym zbiegiem okoliczności.

Knudsen przyglądał się jej spod krzaczastych, rudych brwi.

- Naprawdę? To rzeczywiście niesłychany zbieg okoliczności, biorąc pod uwagę, że pana Taylora zastrzelono z tej samej broni co pani brata.

Linda Mendoza otworzyła usta. Abby oparła się o biurko.

- Z tej samej broni co mojego brata? - powtórzyła. - Ma pan na myśli ten sam rodzaj broni?

- Nie, proszę pani. Dokładnie z tego samego pistoletu. Ekspertyza stwierdza, że chodzi o rewolwer marki Webley, kaliber trzydzieści osiem, wyprodukowany przed tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym piątym rokiem. W ciele pani brata znaleziono dwa rodzaje kul: kaliber czterdzieści pięć i trzydzieści osiem. Zginął od kuli kalibru czterdzieści pięć i znaleźliśmy broń, z której ją wystrzelono. Natomiast, o ile pani pamięta, nigdy nie odnaleźliśmy tej drugiej broni, webleya kaliber trzydzieści osiem.

- Nie, nie pamiętam. Co pan chce przez to powiedzieć?

- W tej chwili nic. Opowiadam pani o zbiegach okoliczności. My, w policji, nie przepadamy za takimi przypadkami.

Za jego plecami rozległ się stanowczy, kobiecy głos:

- Przepraszam, że panu przeszkadzam, poruczniku, ale jest do pana telefon. Pilny. Centrala przełączyła na mój wewnętrzny.

- Dziękuję, już idę. - Porucznik Knudsen kiwnął głową Abby i Lindzie. - Do widzenia paniom. Będę w kontakcie, gdyby coś nowego wyszło na jaw.

Najbardziej niewinna uwaga może w niesprzyjających okolicznościach brzmieć złowroźnie. Wiadomość o tym, że Howarda Taylora i jej brata zastrzelono z tej samej broni, przyprawiła ją o dreszcz niepokoju. Knudsen miał rację - to nie mógł być przypadek.

Abby zamyśliła się i aż podskoczyła, gdy usłyszała głos drugiej kobiety, która tymczasem weszła do środka i rozmawiała z Lindą.

- Chciałabym pani przedstawić naszą panią wiceprezes do spraw kontaktów z klientami, Gwen Johnson. Gwen zajmowała się wieloma kontami

razem z Howardem i spróbuje pani pomóc, jeśli poda jej pani bliższe dane - powiedziała Linda.

- Miło mi panią poznać. - Gwen Johnson mocno uścisnęła dłoń Abby.

W przeciwieństwie do czarującej, bardzo kobiecej Lindy była osobą konkretną, choć mile uśmiechniętą. Mimo iż górowała wzrostem nad drobną, pulchną Lindą, obie były atrakcyjnymi, wyraźnie zamożnymi pięćdziesięciolatkami.

Gwen Johnson usiadła za biurkiem Howarda Taylora.

- Nie mam pojęcia, dlaczego porucznik Knudsen tak nas wymęczył. Morderstwo Howarda jest rzeczą straszną, ale nie powinno nikogo dziwić, skoro na naszych ulicach pełno jest narkomanów. To potworne, że porządny człowiek ginie, dlatego że jakiś ćpun musi mieć pieniądze na następną działkę.

- Tak, tak, niech się pani nie przejmuje - wtrąciła Linda Mendoza. - Powinna pani jak najszybciej zapomnieć o broni i o śmierci brata.

- Trudno zapomnieć o takim zbiegu okoliczności. Kiedy się pomyśli, że jeden z tych bandytów, którzy chcieli zabić moją siostrę Kate, być może nadal przebywa na wolności...

- Wyciąga pani pochopne wnioski - powiedziała szybko Linda. - Przypuszczalnie człowiek, który zabił pani brata, wyrzucił broń, nim go aresztowano. A potem jakiś rzezimieszek znalazł rewolwer w rynsztoku i zabił biednego Howarda. Nie ma w tym nic tajemniczego, prawda?

- To jest na pewno bardziej prawdopodobne niż jakieś dziwne powiązania między śmiercią Howarda Taylora i brata panny Deane - stwierdziła Gwen Johnson. - A teraz odłóżmy na bok wszystkie te ponure rozważania na temat morderstwa i spróbujmy wyjaśnić problemy dotyczące konta fundacji Deane'ów, dobrze? Nie chciałabym wyjść na istotę bez serca, ale czasami najlepiej zająć się normalną pracą, żeby zapomnieć o tragedii.

Abigail, przyznając jej rację, szybko wyjęła z teczki kilka arkuszy papieru.

- To są moje ostatnie wyciągi z konta. W zeszłym tygodniu znalazłam wreszcie czas, aby je przejrzeć i porównać z moimi zapiskami. Okazało się, że wyszczególnione przez bank numery obligacji nie zgadzają się z numerami, które mam zapisane u siebie, co oznacza stratę ponad dziesięciu tysięcy dolarów. Ponadto wpływy z ostatniego kwartału wydają mi się za małe. Oczywiście może to wynikać z pomyłek w obligacjach. Procenty, które powinny zostać zaksięgowane na koncie Deane'ów, przypuszczalnie zostały zaksięgowane gdzie indziej. Albo nadal tkwią gdzieś w czeluściach komputera.

Gwen Johnson rzuciła okiem na wyciągi.

- To dobrze, że podała nam pani przyczyny prawdopodobnych omyłek - powiedziała. - Jeśli numery obligacji faktycznie zostały poprzestawiane, któryś z pracowników banku zachował się nadzwyczaj niedbale.

Podniosła głowę i spojrzała na Abby z podziwem.

- Przydałoby się nam więcej takich klientów jak pani. Właściciele kont na ogół nie sprawdzają wyciągów i błędy się kumulują, co przysparza dodatkowej pracy. Zajmuję się tymi sprawami od prawie trzydziestu lat i miałam do czynienia zaledwie z kilkoma klientami, którzy bardzo starannie sprawdzali wyciągi i dokumenty bankowe.

Abby zarumieniła się z dumy. Mimo docinków roztargnionej rodziny, zawsze bardzo się starała panować nad wszelkimi oficjalnymi dokumentami.

- Jestem z wykształcenia archiwistką - wyjaśniła. - Uczono nas, żeby pilnować wszystkich zapisów. Kate zawsze się ze mnie naśmiewa, że potrafię odnaleźć każdy dokument, jaki kiedykolwiek miałam w ręce, poczynając od świadectwa z przedszkola.

- Naprawdę tak jest? - spytała Linda.

- Chyba tak - odparła z zażenowanym uśmiechem Abby.

- Moje siostry mają mnie za odmieńca. W naszej rodzinie nikt nie panuje nawet nad własną książeczką czekową, a ja mam podwójny system księgowania i całą szafę dokumentów z kolorowymi zakładkami.

- Pani siostry mają szczęście - powiedziała Gwen. - Nie ma pani pojęcia, czego się dowiaduję niemal codziennie od naszych klientów. Niektórzy trzymają tysiące dolarów w kopercie za szafą, a papiery naturalizacyjne chowają w torebce z mąką. Przy czym część z nich to naprawdę wykształceni ludzie.

- Proszę nie zapominać, że jestem archiwistką. Przez panią dostanę ataku serca - powiedziała ze śmiechem Abby.

- Wobec tego nie będę pani opowiadać o dwulatku, który spuścił z wodą w ubikacji dokumenty podatkowe rodziców - powiedziała Gwen Johnson. - Porozmawiajmy o problemach z pani kontem, Abigail. Mogę tak do pani mówić, prawda?

- Oczywiście.

- Dziękuję. Obiecuję, że jutro rano osobiście się tym zajmę i odnajdę przyczynę błędów. Nie muszę chyba zapewniać, że jeśli wina leży po stronie banku, poniesiemy wszelkie koszty. Z procentami.

Gwen Johnson jeszcze mówiła, gdy do pokoju zajrzał przystojny mężczyzna z gęstą białą czupryną i czerwonymi policzkami. Abby westchnęła, rozpoznając w nim Keitha Bovery'ego, prezesa banku i długoletniego przyjaciela ojca. Tego spotkania wołałaby akurat uniknąć.

Keith Bovery wszedł do środka, nie zauważając Abby.

- Przeglądałem papiery Howarda, Lindo, i znalazłem tę teczkę z napisem: Dochodzenie - Poufne. Ale teczka jest pusta. Czy nie wiesz przypadkiem, czego dotyczyło to dochodzenie?

- Nie mam pojęcia - stwierdziła obrażonym tonem Linda.

- Czy mogę zobaczyć tę teczkę, Keith?

- Proszę bardzo, choć niewiele się z niej dowiesz. Linda starannie obejrzała pustą papierową teczkę.

- Nigdy jej nie widziałam - przyznała wreszcie. - Howard sam musiał ją przygotować. To jego charakter pisma. - Po trudnym dniu nerwy miała napięte jak struny i najwyraźniej była bliska łez. - Bardzo mi przykro, Keith, ale nie

mogę ci pomóc. Nic nie wiem o żadnym dochodzeniu, choć zwykle Howard przekazywał mi wszystkie szczegóły dotyczące jego pracy.

- Może chodziło o jakieś sprawy techniczne - podsunęła Gwen. - Sama wiesz, Lindo, że nie znasz się na danych finansowych.

- Tak czy inaczej, powinien był mnie informować - powiedział z niezadowolaniem Bovery.

- Jeśli Howard pracował nad czymś poufnym, może zabrał papiery do domu - stwierdziła Gwen. - Jeśli chcesz, mogę zadzwonić jutro do Jill Taylor i poprosić, żeby sprawdziła, czy w domu nie ma jakichś dokumentów bankowych.

Bovery rozważał przez chwilę tę sugestię.

- Nie, zaczekamy kilka dni - powiedział po namyśle. - Wątpię, żeby Howard zajmował się czymś tak pilnym, co wymagałoby zawracania głowy biednej wdowie przed pogrzebem. Sam. do niej zadzwonię w przyszłym tygodniu, jeśli wcześniej niczego nie znajdziemy w jego gabinecie.

Poklepał Lindę po ramieniu.

- Jest już po piątej i mamy za sobą paskudny dzień. Powinnyście pójść do domu i odpocząć.

Wychodząc, bankier rozejrzał się wokół i w końcu zauważył Abby. Na jej widok uśmiechnął się szeroko i serdecznie.

- Abigail, moja droga, cóż za niespodzianka. Już strasznie dawno cię nie widziałem. Mam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku?

- Tak, dziękuję.

Keith Bovery zaprzyjaźnił się z ojcem Abby wtedy, gdy razem z nim brał udział w wojnie koreańskiej. Był święcie przekonany, że ponieważ woził Abby w wózku na spacer, mógł robić osobiste uwagi pod jej adresem za każdym razem, gdy przyszła mu na to ochota. Abby znów westchnęła i czekała na to, co nastąpi. Nie musiała czekać długo.

Keith Bovery objął ją ramieniem. Wyglądał przy tym jak typowy bankier z telewizyjnego serialu - miły i dobroduszny. Abby wiedziała, że w gruncie rzeczy ma serce z kamienia, zwłaszcza gdy coś zagrażało jego ukochanemu bankowi.

- Co u ciebie słyhać, moja droga? Nadal tkwisz całymi dniami pośród zakurzonych dokumentów w Towarzystwie Historycznym?

- Tak - odparła z uśmiechem Abby. - Staram się jednak wychodzić na świeże powietrze przynajmniej raz na miesiąc. Żeby zdmuchnąć z siebie pajęczyny.

Keith Bovery potrząsnął głową. Subtelna ironia nie była jego mocną stroną.

- Powinnaś wziąć przykład z sióstr i znaleźć sobie wreszcie męża, Abigail. W czasach mojej młodości takie ładne dziewczyny szybko porywano do ołtarza. Nigdy nie widziałem ładniejszej blondynki od ciebie, moja droga.

- Mnie też porwano - stwierdziła cicho Abby. - Miałam dwadzieścia dwa lata i, jeśli pan sobie przypomina, moje małżeństwo trwało dokładnie osiem miesięcy.

Keith Bovery miał zażenowaną minę.

- Zupełnie zapomniałem o Gregu. Ale przecież nie wszyscy mężczyźni są tak nieodpowiedzialni. Musisz sobie znaleźć kogoś, na kim mogłabyś polegać. Komu mogłabyś zaufać. Latka lecą, moja droga. Pewnego dnia zrozumiesz, co to znaczy samotność. Wierz mi, wiem, co mówię,

- Jasne, mam już prawie dwadzieścia dziewięć lat i powinnam jak najszybciej kogoś złapać, nim stanę nad grobem.

Bovery uśmiechnął się wyrozumiale.

- Myślisz, że jestem starym, głupim dziadem, który wtrąca się w nie swoje sprawy, ale ja przyjaźniłem się z twoim ojcem przez wiele lat i chciałbym, żebyś była szczęśliwa. Od zeszłego roku, gdy zmarła moja droga Helen, przekonałem się, co to jest samotność.

Abby poczuła się nagle zmęczona. Keith Bovery miał dobre intencje i nie powinna się na niego złościć tylko dlatego, że jego wyobrażenie o roli kobiety pochodziło z lat pięćdziesiątych.

- Dziś wieczorem zacznę szukać męża - obiecała frywolnie. - A najpóźniej jutro. Obiecuję to panu.

Podala na pożegnanie rękę obu kobietom i szybko ruszyła do drzwi.

- Szalenie mi przykro z powodu Howarda Taylora. Stracili państwo nie tylko dobrego przyjaciela, lecz także cenionego współpracownika.

- Niestety, masz rację. - Usta Keitha Bovery'ego wykrzywiły się w nie całkiem szczerym uśmiechu. - Dobranoc, Abigail. I nie przejmuj się tymi rachunkami na twoim koncie. Nasz bank zawsze ponad wszystko stawia interesy klientów. Jestem pewien, że ta drobna pomyłka zostanie prędko wyjaśniona. Sam się tym zajmę. Do końca tygodnia wszystko będzie w porządku, masz na to moje słowo.

W połowie drogi do samochodu, pozostawionego na parkingu, Abby zdała sobie sprawę, dlaczego tak ją zaniepokoiły końcowe uwagi Keitha Bovery'ego. Podczas rozmowy w gabinecie Howarda Taylora Bovery pytał ją o siostry, o jej pracę i sytuację sercową, ale nawet nie napomknął o przyczynie jej wizyty w banku.

Dlaczego zatem twierdził, że do końca tygodnia wszystko się wyjaśni i pomyłka na jej koncie zostanie naprawiona? Skąd wiedział o brakujących dziesięciu tysiącach dolarów na koncie? Czyżby elegancki, nadęty dyrektor banku przemykał się po korytarzach i podsłuchiwał pod drzwiami? Czy też może istniały inne powody, dla których mógł wiedzieć o brakujących pieniądzach?

Abigail miała specyficzny instynkt, jeśli chodziło o źle prowadzone dokumenty i błędy w rachunkach Fundacji Deane nie dawały jej spokoju.

W banku działo się coś dziwnego, choć Abigail nie była wcale pewna, czy chciałaby wiedzieć, o co właściwie chodzi.

ROZDZIAŁ 2

Powrót do domu na Larimer Square nie poprawił Abigail humoru. Początkowy niepokój ustąpił miejsca zdenerwowaniu, a kiedy wjeżdżała windą na szóste piętro, czuła się mocno zniechęcona. Tym razem otaczająca ją biel, srebrno-szary dywan i lśniące nowoczesne meble nie poprawiły jej nastroju. Chodziła bez celu z dużego pokoju do kuchni i do sypialni, aż zrezygnowana poddała się, wzruszając ramionami. Jeśli miała otrząsnąć się z przygnębienia, najwyraźniej potrzebowała porządnej dawki towarzystwa Stevena Kramera. Bardzo często jego nonszalancki stosunek do życia doprowadzał ją do szału, musiała jednak przyznać, że zazwyczaj potrafił wyciągnąć ją ze złego nastroju.

Przeszła piechotą schody, jakie dzieliły ją od mieszkania Stevena na ostatnim piętrze wieżowca. W gruncie rzeczy cieszyła ją perspektywa zobaczenia starego kumpla. Nawet się nie zastanawiała, czy wrócił już z pracy. Steven pracował w firmie rachunkowej swego wuja i chyba nigdy w życiu nie został w biurze po godzinach. Nawet na uniwersytecie, gdzie się poznali, robił wrażenie człowieka nie tracącego czasu na naukę. Nie miała pojęcia, jakim cudem udało mu się uzyskać stopień magistra na wydziale księgowości i finansów.

Nacisnęła guzik przy drzwiach do mieszkania.

- Otwórz, Steve! - zawołała. - To ja. Zdaję się na twoją łaskę. Chciałabym zjeść na kolację coś wyjątkowo pysznego.

Abby nigdy nie wprosiłaby się do nikogo na kolację, nie sprawdzając najpierw, czy nie przeszkadza, ale ze Stevenem było inaczej. Wiedziała, że jeśli ma inne plany na wieczór, na pewno powie jej o tym bez zbytnich ceregieli.

Drzwi otworzyły się szeroko.

W progu stał Steven Kramer - metr osiemdziesiąt pięć wzrostu - w starych, spłowiałych dżinsach i koszuli niemal całkowicie pozbawionej

guzików. Miał potargane, rozjaśnione słońcem włosy i ciemną opalenizną zdobytą podczas wspinania się w Górach Skalistych w czasie sobót i niedziel. Na ułamek sekundy Abby poczuła skurcz żołądka, a potem Steven uśmiechnął się i moment napięcia minął.

- Właśnie miałem nadzieję, że jakaś cudowna kobieta zjawi się u mnie i zaofiaruje mi swe boskie ciało - powiedział Steven. - I proszę, jesteś jak na zawołanie.

Abby odwzajemniła uśmiech.

- Najpierw musisz mnie nakarmić i nasaczyć alkoholem. Potem porozmawiamy o reszcie.

- Skarbie, tę rozmowę obiecujesz mi od co najmniej pół roku. Jak na razie kosztowało mnie to tuzin wyszukanych kolacji i większość moich zapasów bordeaux. A ty nie jesteś nawet o krok bliżej od poznania atrakcji mojej sypialni.

- Obecnie interesują mnie wyłącznie atrakcje twojej kuchni - powiedziała Abby, idąc za Stevenem i z uznaniem pociągając nosem. - Gdybyś tak wspaniale nie gotował, nie odwiedzałabym cię tak często.

- Wydaje mi się, że kolejny raz nie zrozumiałaś, o co mi chodzi - stwierdził sarkastycznie Steven.

W jego głosie Abby usłyszała nutę zdenerwowania.

- Co się stało? - spytała z niepokojem. - Chyba nie wyrzucili cię z pracy, co?

- Pracuję w firmie rodzinnej, z której nie można mnie wyrzucić. Spróbuj - dodał, wyciągając do niej łyżkę. - Wołowina w sosie burgundzkim. Może trzeba odrobinę dosolić?

Abby spróbowała trochę sosu i zamknęła oczy w na poły tylko udawanej ekstazie.

- Jest doskonały, Steve. Boski. Właśnie zdałam sobie sprawę, że umieram z głodu. Za ile będzie kolacja?

Spojrzał na nią zmrużonymi oczyma, po czym zwichrzył jej włosy miękkim ruchem.

- Za dziesięć minut, jeśli pomożesz mi przygotować sałatę. Ty kroisz i siekasz, ja robię sos.

- Oczywiście, zawsze wybierasz łatwiejsze zajęcie.

Steven sięgnął po przyprawy do szafki i przez chwilę się nie odzywał.

- Chcesz mi o tym opowiedzieć, Abby? - spytał cicho, nalewając oliwy do miski. - Jesteś napięta jak struna w gitarze.

- Tak bardzo widać?

- Ja widzę.

Abby odetchnęła głęboko.

- Miałam na dziś wyznaczone spotkanie w Banku Federalnym z urzędnikiem, który zajmuje się naszymi kontami. Niejakim Howardem Taylorem. Kiedy się tam zjawiłam, dowiedziałam się, że pan Taylor nie żyje. Wczoraj wieczorem zginął we własnym domu od kuli włamywacza.

Steve odłożył trzepaczkę i spojrzał na nią uważnie.

- Dziś z samego rana słyszałem, że Howard nie żyje. Byłbym cię ostrzegł, gdybym wiedział, że masz się z nim spotkać.

- Wiedziałaś, że Howard Taylor został zamordowany? Znałeś go?

Steve zawahał się.

- Od czasu do czasu nasza firma wykonuje pewne konsultacje dla banku. Poznałem Howarda Taylora, choć lepiej znałem jego żonę. Jill jest stewardesą w Westway. Parę lat temu spotykaliśmy się, a po jej ślubie kilka razy zjadłem z nimi kolację.

Nic dziwnego, pomyślała Abby.

Praktycznie każda stewardesa z Denver była w swoim czasie dziewczyną Steve'a, który w zaskakujący sposób potrafił przekształcać chwilowe zauroczenie w dozągoną przyjaźń. Nie przypuszczała jednak, że znał Howarda

Taylor. Linda Mendoza miała rację. Czasami Denver wydawało się małym miasteczkiem.

Abby wytarła palce w papierowy ręcznik.

- Proszę, skończyłam siekać i kroić.

- Sama wyglądasz tak, jakby cię ktoś przekręcił przez maszynkę, mała.

Dlaczego tak się przejmujesz zabójstwem Howarda Taylora, skoro go nawet nie znałaś osobiście?

- Chodzi nie tylko o to, że go zabito.

Abby oparła się o blat, starając się ukryć zdenerwowanie. Wiedziała, że intensywność jej reakcji jest nieproporcjonalna do tego, co zaszło.

- Dziś po południu natknęłam się w banku na porucznika Knudsen.

Pewno go nie pamiętasz, ale to jest ten facet z policji, który zajmował się morderstwem mojego brata.

- Pamiętam. Jego widok musiał być dla ciebie przykrym przypomnieniem.

Abby roześmiała się ironicznie.

- Słowo „przykry” nie jest tu odpowiednie. Wyobraź sobie, że porucznik Knudsen powiedział mi, iż Howarda Taylora zastrzelono z tej samej broni co mojego brata Douglasa.

Steven milczał przez ułamek sekundy. Abby miała nadzieję, że rozproszy jej obawy jednym ciętym zdaniem, tymczasem nic podobnego się nie stało.

Steven uważnie jej się przyglądał.

- Co Knudsen miał do powiedzenia na temat tego zbiegu okoliczności?

- Stwierdził, że jako policjant nie lubi zbiegów okoliczności. Był wobec mnie szalenie podejrzliwy. - Abby, zaśmiała się, ale nie był to szczery śmiech. - Kiedy skończył mnie wypytywać, niemal słyszałam brzęk kajdanków. Bóg jeden wie, co podejrzewa. Może myśli, że przewodzę gangowi, który terroryzuje dzielnicę Taylora.

Steve złapał ją za ramiona i obrócił twarzą do siebie. Po raz pierwszy w jego oczach nie było śladu rozbawienia.

- Abby, opowiedz mi dokładnie, o czym miałaś rozmawiać z Howardem Taylorem.

Spojrzała na niego zdumiona.

- O akcjach z naszej fundacji, które prawdopodobnie zostały pomyłkowo zaksięgowane w rejestrach bankowych. Chciałam uczulić na to bank, nim nasze konto zostanie całkowicie zagmatwane - wyjaśniła.

- Czy w wyniku tych operacji straciłaś jakieś pieniądze? Ostry ton głosu Steve'a jeszcze bardziej zaniepokoił Abby.

- Tak, trochę. - Chrząknęła. - Właściwie dość dużo. Dziesięć tysięcy dolarów. Oczywiście bank ma naprawić pomyłkę.

- Cholera! To coś nowego! - Steven opuścił ręce. - Usiądź, Abby. Zaraz podam jedzenie.

- O, nie, mój kochany! - zawołała, stając przed nim z rękami skrzyżowanymi na piersiach. - Jesteś gorszy niż porucznik Knudsen. Co się dzieje w banku? Co cię nagle obchodzi stan mojego konta? I co masz na myśli, mówiąc, że to „coś nowego”?

Przez chwilę wyglądało na to, że Steve nic nie powie. W końcu westchnął i lekko wzruszył ramionami.

- Nie powinienem nic ci mówić ze względu na zasadę poufności wobec klienta, ale prawdę mówiąc, zajmuję się obecnie sprawą defraudacji w twoim banku. W ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy ktoś ukradł ponad pół miliona dolarów i Howard Taylor był naszym głównym podejrzanym.

Abby opadła na najbliższe kuchenne krzesło, bardziej chyba zdumiona faktem, iż Steve Kramer zajmuje się sprawą defraudacji, niż tym, że szacowny Howard Taylor mógł być podejrzewany o kradzież pieniędzy.

- Zajmujesz się sprawą defraudacji? - spytała z niedowierzaniem. - Wielki Boże! Jakoś nie mogę sobie wyobrazić ciebie w roli finansowego detektywa.

- Bo też nim nie jestem. Jestem księgowym. Spędzam całe dni na sprawdzaniu ksiąg bankowych za pomocą najrozmaitszych programów komputerowych. Trudno sobie wyobrazić coś nudniejszego.

Powiedział to wszystko szybko i stanowczo, a przy tym - jakby mimochodem. Abby spojrzała na niego ze zdziwieniem, zastanawiając się, czy przypadkiem do tej pory nie traktowała go zbyt protekcjonalnie.

- Dlaczego nigdy mi nie mówiłeś, czym się właściwie zajmujesz?

- Nigdy mnie o to nie pytałaś. A naszej firmie niepotrzebna jest reklama - dodał zdecydowanie, po czym wyciągnął z piecyka naczynie z wołowiną. - Wszystko wyschnie na wiór. Możemy rozmawiać przy jedzeniu.

Abby usiadła przy stole i po raz pierwszy jadła bez większego apetytu.

- Powiedziałeś, że Howard Taylor defraudował pieniądze w banku. Na mnie zrobił raczej wrażenie człowieka, który nie potrafiłby ukraść spinacza, a co dopiero pół miliona dolarów.

- Dokładnie rzecz biorąc, powiedziałem, że na razie wszystkie dowody wskazują na to, że wina leży po stronie Taylora. Osobiście nie jestem do końca przekonany, że to właśnie on ukraść te pieniądze. Muszę jeszcze sprawdzić parę rzeczy, nim wyciągnę wnioski.

- W jaki sposób doszło do zagarnięcia pieniędzy? - spytała z ciekawością Abby. - Czy ma to jakiś związek z błędami, które wykryłam na koncie naszej fundacji?

- Należy rozważyć i taką możliwość, choć wszystkie defraudacje wykryte do tej pory dotyczyły tak zwanych martwych kont.

- Co to znaczy?

- W każdym banku istnieją dziesiątki, jeśli nie setki kont, na których od lat nic się nie dzieje. Na przykład żona, w tajemnicy przed mężem, otwiera sobie konto oszczędnościowe. Przez całe lata wpłaca na nie pieniądze, a potem umiera. Jej mąż nie ma pojęcia o istnieniu takiego konta, a bank nie wie, że właścicielka nie żyje. Mijają kolejne lata. Na koncie rosną procenty i powoli

zbiera się poważna suma. W większości banków na takich kontach leżą tysiące dolarów, o które nikt się nigdy nie upomni.

- I ktoś w Banku Federalnym postanowił zająć się tymi bezpańskimi pieniędzmi, czy tak?

- Tak. Jakaś bystra urzędniczka zauważyła wzmożone działania wokół tych kont i od razu powiadomiła Keitha Bovery. Dzięki temu przestępca nie ma pojęcia, że kradzież wyszła na jaw i że zająłem się tą sprawą.

- Chyba że pan Bovery osobiście kradnie te pieniądze - rzuciła Abby z błyskiem w oku.

Steve uśmiechnął się wyrozumiale.

- Skarbie, wiem, że Keith Bovery, jako beznadziejny szowinista, który w dodatku zmieniał ci kiedyś pieluchy, ma u ciebie przechlapane, ale to naprawdę uczciwy człowiek. I dość bogaty.

- No to co? Bogaci chcą być jeszcze bogatsi. Pan Bovery ma zapewne jakieś kosztowne zachcianki. Skierował podejrzenia na biednego Howarda Taylora, a potem go zamordował, żeby jego wstrętne wyczyny nie wyszły na jaw.

Abby urwała, stwierdzając z przerażeniem, że zapędziła się trochę za daleko. Keith Bovery, nawet jeśli był starym, głupim osłem, nie zasługiwał na takie pomówienia.

- Wpadasz w tę samą pułapkę co ja - powiedział taktownie Steve. - Zawsze dążę do tego, żeby powiązać wszystkie wątki.

W rzeczywistości jednak zostają jakieś nie wyjaśnione boczne tropy. Taylora prawdopodobnie zamordował jakiś włamywacz i jego śmierć nie ma nic wspólnego z defraudacją w banku. Abby nie całkiem przekonywała chłodna logika Steve'a.

- Nie sądzisz, iż fakt, że Taylora i mojego brata zastrzelono z tej samej broni, jest czymś więcej niż zbiegiem okoliczności? Zwłaszcza że Howard wydaje się zamieszany w przestępstwo bankowe? To dwa poważne przypadki

związane z jednym wydarzeniem i chyba nie możesz w tej sytuacji mówić o bocznych tropach.

- Masz rację. Śmierć Taylora wydaje mi się dość dziwna, ale mogę tylko powiedzieć, że świat jest dziwny, Abby. Dzieją się rzeczy nie wyjaśnione. Mimo to, jestem pewien, że to wszystko nie ma związku z tobą ani z twoją rodziną.

- Twoje argumenty absolutnie do mnie nie przemawiają, Steve.

- Dobrze, co zatem powiesz na to? - Steve zamilkł na chwilę, najwyraźniej starając się znaleźć inne wyjaśnienie. - Jakiś zwyrodniały psychopata grasuje w okolicy, nadal uzbrojony w pistolet, z którego zastrzelił twój przyrodni brata. Howard Taylor zginął, ponieważ odkrył dowody, które prowadziłyby do wskazania faktycznego złodzieja, działającego do spółki z Douglasem, zarówno przy defraudacji w banku, jak i przy rabunku złota konfederatów.

- To mnie znacznie bardziej satysfakcjonuje - stwierdziła spokojnie Abby. Steve spojrzał na nią uważnie, wstał, obszedł stół dookoła i wziął Abby w ramiona.

- Na litość boską, Abby! Ja tylko żartowałem. Abby wpatrywała się bez słowa w jego koszulę.

- Boję się, Steve - powiedziała wreszcie.

To wyznanie nie przyszło jej łatwo i z wdzięcznością przyjęła milczenie Steve'a, który głaskał ją po plecach.

- Dopiero dziś po południu zrozumiałam, jak bardzo się boję i ile zdrowia kosztowały mnie ostatnie tygodnie - dodała, po raz pierwszy wypowiadając głośno swoje obawy. - Tego lata moje siostry znalazły się w wielkim niebezpieczeństwie i nie mogę w żaden sposób pozbyć się strachu o ich los. Wciąż myślę, że te sprawy jeszcze się nie skończyły. Ciągłe mi tu czegoś brakuje. Nieszczęścia nie chodzą parami, ale trójkami - stwierdziła ze słabym uśmiechem.

Steve delikatnie wziął jej twarz w dłonie.

- Posłuchaj, Abby, to, co się przydarzyło twoim siostronom, należy do przeszłości. Teraz, kiedy wymieniłaś złoto konfederatów na gotówkę i złożyłaś ją w banku, nic już im nie grozi. Jeśli obawiasz się, że sprawa nie jest zakończona, to wyłącznie dlatego, iż nie pozbyłaś się lęku.

- Czyli sama sobie szkodzę, co? Boję się własnego strachu?

- Coś w tym rodzaju. - Lekko pogłaskał ją po twarzy i spojrzał na nią z ciepłym uśmiechem. - Przestań się zamartwiać, skarbie. Wierz mi, istnieją lepsze rzeczy, którymi mogłabyś zaprzętać sobie głowę.

Abby poruszyła się niespokojnie w jego objęciach. Była przyzwyczajona do ich wzajemnej bliskości wyłącznie podczas wspinaczki, teraz jednak Steve znajdował się zdecydowanie zbyt blisko - czuła bicie jego serca tuż przy swoim i niemal intymny dotyk jego bioder. To, iż dzisiejszego wieczoru gwałtownie potrzebowała pociechy i uspokojenia, sprawiło, że coś w niej się buntowało przeciw takiemu postępowaniu i domagało się powrotu do zwykłych, przyjacielskich stosunków.

- Akurat - powiedziała z udaną beztroską. - Wiem, o co ci chodzi, mój kochany. Uważasz, że powinnam zaprzętać sobie głowę wyłącznie twoją osobą, co?

Steve milczał przez chwilę, ale zaraz odpowiedział jej ze znajomym uśmiechem.

- To najmądrzejsza rzecz, jaką powiedziałaś przez cały wieczór. Mam absolutną wyłączność na zawracanie ci głowy. - Uśmiech zmienił się w prowokacyjny grymas. - Chodź do sypialni i sama się przekonaj.

- Nic z tego. Jako archiwistka rozpoznaję fałszerstwo na odległość.

- Cholera! Znów mi się nie udało - westchnął, wypuszczając ją z objęć i żartobliwie dając jej prztyczka w nos. - Zrobię kawę. Opowiedz mi coś o rodzinie. Miałaś ostatnio jakieś wiadomości od Kate i Linsey?

- Wczoraj dostałam list od Linsey. Jej miodowy miesiąc najwyraźniej już się skończył. Wspomniała o Darrenie zaledwie dwadzieścia pięć razy.

- A ile stron ma jej list?

- Dwie.

Steve roześmiał się serdecznie.

- A Kate? - spytał.

- Dzwoniła kilka dni temu. Na zmianę narzekała i wychwalała stan małżeński pod niebiosa. Chodziło o to, że jej mąż jest okropnym, upartym, zarozumiałym brutalem z Południa i że małżeństwo z nim to stan nieustannej szczęśliwości.

- Cała Kate.

- Uhm. Wyobraź sobie, postanowiła wrócić na studia.

- Cieszę się, że przy mężu nabrała pewności siebie. Sama widzisz, jak małżeństwo korzystnie wpływa na kobiety. Partnerzy rekompensują sobie wzajemnie własne niedociągnięcia. Gdybyś za mnie wyszła, może nauczyłbym cię...

Abby rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie.

- ...gotować - dokończył pogodnie.

- Nic z tego - odparła ze śmiechem. - Pod tym względem jestem niereformowalna.

Niedługo potem razem sprzątnęli po kolacji, nie wspominając więcej o śmierci Howarda Taylora, Na pozór stosunki między nimi wróciły do poprzedniego stanu, jednak Abby, idąc do siebie, czuła, że coś się zmieniło. Może jej własny stan ducha, może to było zdumienie, że Steve tak poważnie traktował swoją pracę. Tak czy inaczej, Abby czuła się podminowana.

Wzruszyła niecierpliwie ramionami. Przez cały dzień reagowała na wszystko zbyt gwałtownie, poczynając od informacji o broni, z której zastrzelono Howarda Taylora, do bliskości ciała Steve'a. Postanowiła położyć się do łóżka z najnowszym egzemplarzem „Amerykańskiego archiwisty” i

postarać się odzyskać poczucie rzeczywistości. Nic nie działało bardziej na wyobraźnię niż długi artykuł o wpływie wilgoci na dokumenty.

Kiedy weszła do mieszkania, zadzwonił telefon. Pospiesznie przeszła przez pokój i podniosła słuchawkę. Była dokładnie jedenasta wieczorem, ulubiona pora Kate.

- Halo?

- Czy mówię z Abigail Deane? - Głos był stłumiony i jakby gburowaty.

- Przy telefonie.

- Mam bardzo ważne informacje o pani bracie, Douglasie Brady. Wydaje mi się, że powinna je pani poznać.

- Co pan powiedział? - Głos był zniekształcony przez zakłócenia na linii. Abby miała pewność, że źle zrozumiała.

- Mam informacje o pani bracie.

Abby mocniej zacisnęła spoconą dłoń na słuchawce.

- Mój... mój brat nie żyje.

- Mam informacje o jego morderstwie, proszę pani. I o tym pistolecie, którego policja nigdy nie znalazła.

Wielki Boże, pistolet, z którego zastrzelono Taylora. Abby przełknęła ślinę.

- Słucham.

- Nie teraz. Teraz nie mogę mówić. Musimy się spotkać.

- Nie mam zamiaru się z panem spotykać. Jeszcze nie zwariowałam. Kim pan w ogóle jest?

- To nie ma znaczenia.

- Oczywiście, że ma - powiedziała ostro Abby. Powoli zaczynała rozumować logicznie, choć wciąż była zszokowana. - Jeśli pan myśli, że spotkam się z obcym człowiekiem, żeby uciąć sobie pogawędkę na temat broni, z której zabito mojego brata, ma pan źle w głowie.

- Możemy się spotkać w publicznym miejscu. Gwarantuję, że nic pani nie grozi. Lotnisko Stapleton, stanowisko odpraw Westway Airlines. O dwunastej w południe. Proszę się nie spóźnić. Musi się pani ze mną spotkać w swoim własnym, dobrze pojętym interesie.

Połączenie zostało przerwane.

ROZDZIAŁ 3

Abby doskonale wiedziała, że nie warto przywiązywać wagi do anonimowych telefonów, choć mogły być niebezpieczne i denerwujące. Jako osoba rozumna i kierująca się w życiu zdrowym rozsądkiem nie miała najmniejszego zamiaru tracić cennej przerwy obiadowej na jazdę na lotnisko, która najpewniej nic by nie dała. Trwała w swym postanowieniu przez pierwszą połowę dnia pracy.

A jednak znalazła się w południe na lotnisku Stapleton, chodząc niecierpliwie tam i z powrotem przy stanowisku odlotów Westway.

Co ja tu właściwie robię? - pytała się w duchu ze złością, rozglądając się wokół. No właśnie, sama nie wiedziała kogo szuka. Obmierzłego typu w podniszczonym prochowcu? Tajemniczego nieznajomego w słonecznych okularach? Na lotnisku pełno było energicznych ludzi interesu i ledwo żywych matek z płaczącymi dziećmi. Nigdzie natomiast nie widziała podejrzanych facetów, kryjących się po kątach czy za filarami.

Abby przez moment wpatrywała się w ekran komputera nad głową. Wskazówka zegara przeskoczyła na 12.07 i w ten sposób minęła kolejna minuta.

Jeszcze najwyżej pięć minut, powiedziała sobie. I tak zmarnowała już przerwę obiadową, tyle mogła więc poświęcić nieznajomemu wariatowi.

W tej chwili spostrzegła w hali lotniska znajomą postać.

Z jękiem schowała się za kolumną, ale nic to nie dało. Tego dnia wszystko toczyło się według prawa Murphy'ego. Pan Bovery zobaczył ją od razu i podszedł, żeby się przywitać.

- Abigail, moja złota, cóż za urocza niespodzianka. Drugi raz w ciągu dwóch dni. - Keith Bovery był mistrzem w stwierdzaniu faktów oczywistych.

- Dzień dobry panu. Spiesz się pan na samolot?

- Nie, dziś nie. Przyjechałem na spotkanie z konsultantem, który ma przylecieć z Berkeley.

- Coś takiego - zdziwiła się z uśmiechem Abby. - Nie wiedziałam, że prezesi banków zadają się z liberalnymi radykałami z Berkeley.

Pan Bovery nie docenił żartu i z z troskaniem pokiwał głową.

- No, właśnie, to jest problem. Ale z drugiej strony zapewniano mnie, że to bardzo dobry ekspert, a w tym wypadku bankowi zależy na dobrym specjaliście. - Urwał i chrząknął niepewnie. - Muszę już iść. Samolot ląduje za dziesięć minut. Nie zapomnij, Abigail, pozdrowić ode mnie swoich wspaniałych siostr.

- Stary, nadęty dureń, co? - powiedział jakiś głos tuż za nią. Abby obróciła się gwałtownie.

- Peter Graymont! - wykrzyknęła. Peter Graymont był adwokatem, ale zajmował się także handlem antykami. - O mało nie dostałam przez ciebie ataku serca. Jak możesz tak się skradać ludziom za plecami?!

- Nauczyłem się tego od twojej siostry, gdy szukaliśmy razem staroci na Południu - wyjaśnił Peter Graymont z uśmiechem.

- Dokąd się wybierasz, Peter? W jakieś atrakcyjne miejsce?

- Czekam na handlarza dziełami sztuki z Chicago. Przywozi mi dwanaście porcelanowych waz, które rząd chiński pozwolił wyeksportować. Jestem znacznie bardziej podekscytowany, niż gdybym sam się gdzieś wybierał.

Kątem oka Abby spostrzegła Steve'a Kramera, który pędził w kierunku ruchomych schodów. Pewno już był spóźniony na randkę ze stewardesą,

pomyślała Abby, zdumiona gwałtownym przyplywem zazdrości. Z drugiej strony była stuprocentowo pewna, że żadna sprawa służbowa nie skłoniłaby Steve'a do takiego pośpiechu.

- Powinam przychodzić tu znacznie częściej - stwierdziła, odwracając wzrok od znikających pleców Steve'a. - Jeśli postoję tu jeszcze trochę, spotkam wszystkich znajomych z Denver.

Peter roześmiał się szeroko.

- To samo mówią o Via Veneto w Rzymie. Osobiście wolałbym stać w Rzymie niż tutaj.

- Nie wybierałam sobie miejsca, Peter. Wybrano za mnie.

Peter spoglądał gdzieś ponad jej ramieniem i wyraźnie nie słuchał.

Zdawkowo poklepał ją po ramieniu.

- Zostawiam cię z twoimi znajomymi, Abigail. Muszę lecieć. Umówiłem się z Jackiem w terminalu E.

- To na drugim końcu lotniska.

- Wiem, bezmyślnie zaparkowałam z tej strony. Miejmy nadzieję, że Jack chętnie się przejdzie. Musimy się niedługo umówić na obiad - powiedział Peter i odszedł szybkim krokiem, elegancki i przystojny w granatowym, świetnie skrojonym garniturze. Abby znów spojrzała na zegar. 12.20. Dodatkowe pięć minut dawno minęło i powinna wracać do miasta.

Z drugiej strony, gdyby tajemniczy nieznajomy chciał się z nią spotkać sam na sam, na pewno nie podchodziłby, gdy rozmawiała z Keithem Boverym i z Peterem Graymontem. Może powinna dać mu jeszcze parę minut. W końcu, jeśli ktoś miał jakieś istotne informacje na temat Douglasa Brady czy broni, z której został zastrzelony, powinna dać mu szansę, choćby ze względu na rodzinę. Abby żałowała, że brat zginął, nim ona i jej siostry mogły go bliżej poznać. Warto było poczekać te kilka minut, gdyby dzięki temu miała się czegoś dowiedzieć o życiu Douglasa.

Minęło dwie minuty, pięć, dziesięć. Kiedy na komputerowym zegarze wyświetliła się godzina 12.30, Abby energicznie poprawiła torebkę pod pachą i, wściekła na siebie za idiotyczną stratę czasu, ruszyła zdecydowanie do wyjścia. Czuła nie tylko gniew, lecz także lekkie zażenowanie z powodu własnej głupoty. Gdyby to Kate odebrała podobny telefon, wygłosiłaby długi wykład na temat zdrowego rozsądku.

W połowie drogi między stanowiskiem Westway Airlines a wyjściem ugrzęzła w tłumie, który musiał przepuścić elektryczne wózki, przewożące pasażerów z jednego terminalu do drugiego. Kiedy mijał ją już ostatni wózek, Abby poczuła nagle silne uderzenie w plecy. Potem ktoś ją mocno popchnął, tak że straciła równowagę i przewróciła się na stojących przed nią ludzi.

Krzyknęła na cały głos i w tym momencie zdała sobie sprawę, jak bardzo jest zdenerwowana. Gdy wrzasnęła po raz drugi, wiedziała, iż jest bliska hysterii. Podniosła się szybko na nogi i spróbowała opanować. Ludzie stojący najbliżej odsunęli się trochę. Poczuła, że policzki palą ją ze wstydu.

- Ktoś mnie popchnął - wyjaśniła, odruchowo przyglądając włosy. W tej chwili zdała sobie sprawę, że ma puste dłonie.

- Nie mam torebki! - wykrzyknęła, walcząc z następnym atakiem hysterii.
- Ktoś mi ukradł torebkę - powtórzyła spokojniej. - Popchnął, a potem wyrwał mi torebkę.

- Nikogo pani nie widziała? - spytała młoda kobieta, która wydawała się odrobinę sympatyczniejsza niż reszta gapiów.

- Powinna to pani od razu zgłosić na policję - poradziła jakaś kobieta w średnim wieku. - Posterunek jest chyba tam, koło miejsca, gdzie się odbiera bagaże.

- Chwileczkę, panienko - powiedział starszy mężczyzna z lekkim europejskim akcentem, unosząc w górę szarą, skórzaną torbę na pasku. Torba była otwarta, choć paska nie przecięto.

- Czy to panienki torba?

- Och, tak, bardzo dziękuję. - Abby wzięła od niego torebkę, czując zażenowanie pomieszane z ulgą. - Jestem panu bardzo wdzięczna. Gdzie ją pan znalazł?

- Musiała upaść panience na podłogę, kiedy się panienka przewróciła. Leżała tu, pod nogami. Niech panienka lepiej sprawdzi, czy nic nie zginęło.

Tłum przerzedził się znacznie, tracąc szybko zainteresowanie zdenerwowaną kobietą, która upuściła torebkę. Mimo iż gapie w większości odeszli, Abby przetrząsała zawartość torby drżącymi dłońmi.

- Portfel i portmonetka nie zginęły - powiedziała, zaglądając najpierw do wewnętrznej kieszeni. - Wszystko w porządku - dodała z wdzięcznością, zwracając się do starszego mężczyzny. - Jeszcze raz bardzo panu dziękuję. Załatwianie nowych dokumentów trwałoby bardzo długo. Ktoś mnie naprawdę popchnął z całej siły - powiedziała, jakby się usprawiedliwiając ze swych wcześniejszych, histerycznych okrzyków.

- Wierzę, panienko - odparł starszy mężczyzna z uśmiechem. - W takim tłoku wszyscy się niecierpliwią i popychają. Tak to już bywa na lotniskach. Wszyscy się spieszymy, prawda? Czy jest panienka pewna, że nic nie zginęło? Karty kredytowe? Klucze?

Jej wybawca najwidoczniej uważał, że Abby nie umie sobie poradzić w najdrobniejszych sprawach i w tej chwili nie był w swym przekonaniu daleki od prawdy. Kluczy nie było. Abby przeszukała dokładnie każdy zakamarek torebki, ale bez rezultatu, choć tym razem udało jej się zachować spokój. Zrobiła już z siebie wystarczające przedstawienie i nie miała zamiaru histeryzować z powodu braku kluczy.

- Ach, zginęły mi kluczyki do samochodu - stwierdziła od niechcienia. - Wygląda na to, że będę musiała wrócić do biura taksówką. Przynajmniej, dzięki panu, mam pieniądze. I tak mi się udało. Jedno potłuczone lusterko i jeden zgubiony komplet kluczy to jeszcze nie koniec świata.

- Cieszę się, że nic poważniejszego się panience nie przytrafiło. Przykro mi, ale muszę iść. Mój samolot nie będzie czekał - powiedział mężczyzna. - Tam znalazłem pani torbę - dodał, wskazując palcem. - Niech pani sprawdzi, może klucze wypadły i gdzieś leżą.

- Tak zrobię. Bardzo panu dziękuję.

- Nie ma za co, panienko.

Abby powoli podeszła do miejsca, które wskazał jej mężczyzna. Wokół było teraz trochę mniej ludzi i od razu spostrzegła na błyszczącej, wykafelkowanej posadzce pęk kluczy na charakterystycznym, miedzianym łańcuszku. Leżały tuż przy koszu na śmieci, tam, gdzie wypadły albo ktoś je niechcący kopnął. Abby uklękła i podniosła klucze. Niczego nie brakowało - ani kluczy do biura, ani do mieszkania, ani do samochodu.

Przeszedł ją nagle nieprzyjemny dreszcz. Poczowała, że ktoś ją obserwuje. Obejrzała się, rozglądając wokół zmrużonymi oczyma. Nie spostrzegła niczego podejrzanego, niczego, co usprawiedliwiłoby jej rosnący niepokój - żadnych typów w podniszczonych prochowcach ani w słonecznych okularach. Nawet - tym razem - nikogo znajomego.

Niemniej jednak nie mogła się pozbyć wrażenia, że coś jest nie w porządku i że całe zajście nie było przypadkowe. Ktoś ściągnął ją na lotnisko w określonym celu, choć wciąż nie mogła zrozumieć w jakim. Żeby ukraść jej torebkę? To nie miało sensu. Dlaczego ktoś miałby wyrywać jej torebkę, a potem rzucać ją na ziemię, nie zabierając pieniędzy? Złodziej nie musiał się niczego obawiać, gdyż tłum otaczający Abby umożliwił mu natychmiastową ucieczkę.

Ruszyła ponownie w stronę wyjścia, gdy ktoś z tyłu objął ją rękami w pasie.

- Mam dzisiaj szczęście - usłyszała zmysłowy szept. - Przyjechałaś za mną na lotnisko, żeby pobaraszkować trochę w przerwie obiadowej, prawda? Co za wspaniały pomysł.

Abby natychmiast poznała głos Steve'a Kramera, lecz mimo to podskoczyła nerwowo, gdy jej dotknął.

- Hej, co jest? - spytał cicho. - Przeważnie nawet nie zauważasz, kiedy cię dotykam, a teraz reagujesz jak oparzona kotka.

- To pewno wreszcie dochodzi do głosu mój uśpiony erotyzm - stwierdziła sarkastycznie Abby. - Możemy też przyjąć, że mnie przestraszyłeś.

- Nie - odparł po namyśle. - Zdecydowanie chodzi o uśpione instynkty. Abby, skarbie, gdybyś tylko pozbyła się swoich zahamowań, przyznałabyś, że kochasz się we mnie od lat.

- Jasne. Odkąd razem studiowaliśmy.

- Co najmniej od tego czasu. A może nawet w jakimś naszym poprzednim życiu.

- Ty Antoniusz, ja Kleopatra? Jakoś nic mi w sercu nie pika.

- To dlatego, że jesteś uprzedzona. Przypuszczalnie było całkiem inaczej, ty byłaś Antoniuszem, a ja Kleopatram, tęskniącą na złotym statku, podczas kiedy ty wyruszałaś na podbój świata.

Abby roześmiała się szczerze.

- Jakoś nie mogę sobie ciebie wyobrazić z czarnymi lokami.

- A z węzłem przytulonym do mej panińskiej piersi? - Steve wsunął sobie pod pachę rękę Abby i popchnął ją w kierunku licznych barków i restauracji. - W zamian za dwa tysiące lat niezwracania na mnie uwagi, czy zechcesz mi towarzyszyć, gdy będę topił smutki w coli?

Straciła już tyle czasu, że dwadzieścia minut nie robiło jej żadnej różnicy.

- Pod warunkiem, że zamienisz colę na mrożoną herbatę - powiedziała. - Jakież to smutki chcesz dziś topić? Ulubiona stewardesa nie załapała się na przesiadkę w Chicago?

Steve milczał przez chwilę, a potem powiedział bez zwykłego dla siebie, żartobliwego tonu:

- Masz fałszywe wyobrażenia o moim życiu uczuciowym, Abby.

- Wiem. Naprawdę jesteś mnichem w przebraniu i pracujesz dla CIA. Kobiety, z którymi się stale spotykasz, szukają u ciebie wyłącznie porady duchowej.

- Kobiety, z którymi się stale spotykam, są ze mną zaprzyjaźnione albo mamy wspólne interesy. Nie spotykam się z nikim w tym sensie, co myślisz, od pół roku. Od czasu gdy się wprowadziłem do twojego bloku. - Steve zatrzymał się przed barem. - Wejdziemy tutaj? Rogaliki wyglądają na prawie jadalne, w każdym razie jak na bar lotniskowy.

- Może być - powiedziała cicho, choć tak naprawdę chciała go zapytać, dlaczego się z nikim nie spotyka od pół roku.

Steve Kramer żyjący w celibacie? To wyobrażenie było równie realne jak Steve Kramer w roli pracoholika.

- Co robisz na lotnisku w środku dnia? - spytał Steve, kiedy usiedli przy stoliku koło okna.

Abby mieszała herbatę ze spuszczoną głową, starając się unikać spojrzenia błękitnych oczu Steve'a.

- Za bardzo się wstydzę, żeby ci się przyznać.

- Posłuchaj, Abby, od dawna się przyjaźnimy i powinnaś już wiedzieć, że możesz zaufać wujowi Steve'owi.

Abby podniosła głowę. Nagle pomyślała, że chociaż znają się ze Steve'em od ponad dziesięciu lat, w gruncie rzeczy niewiele wie o jego marzeniach i pragnieniach. Ich wzajemny stosunek, ku jej nagłemu zaskoczeniu, okazał się bardzo jednostronny.

- Sytuacja jest gorsza, niż początkowo myślałem - stwierdził Steve z udaną powagą. - Nie odzywasz się i nie jesz. Abigail Deane znajduje się w towarzystwie Steve'a Kramera i nie robi nic poza wpatrywaniem się w jego oczy. Chyba nie jesteś chora, skarbie? Złapałaś grypę czy jakąś inną zarazę?

- Wczoraj wieczorem ktoś do mnie zadzwonił. Nie przedstawił się - wyjaśniła zdecydowanym tonem Abby. - Zaraz po powrocie od ciebie. Właśnie

wchodziłam w drzwi, gdy zadzwonił telefon. Kiedy podniosłam słuchawkę, głos z drugiej strony powiedział, że ma dla mnie ważne informacje o moim bracie.

- O Douglasie Bradym?

- Tak. - Abby odetchnęła głęboko. - Stwierdził, że powinnam coś wiedzieć o pistolecie, z którego zastrzelono Douglasa.

- Zadzwoniłaś na policję, prawda? I rozmawiałaś z Knudsenem?

- Nie - odparła, czerwieniąc się. - Ten człowiek powiedział, żebym się z nim spotkała dziś w południe przy stanowisku odlotów Westway. Dlatego tu jestem.

- Nikomu nic nie mówiąc? Czyś ty zwariowała? Życie ci niemiłe?! - zawołał rozgniewany Steve. - Co się z tobą dzieje, Abby? Masz kompleksy, że do obu twoich siostr ktoś strzelał, a do ciebie jeszcze nie? Może to wyrzuty sumienia? Jesteś kobietą inteligentną i powinnaś wiedzieć, jak się zachować po takim anonimowym telefonie.

- Nie musisz na mnie krzyczeć - odparła Abby, zaskoczona jego reakcją. Nigdy do tej pory nie widziała go tak rozzłoszczonego. - Nic się nie stało. Nikt się nie zjawił.

- Skąd wiesz? Nie masz pojęcia, czy nikogo tu nie było, wiesz jedynie, że nikt do ciebie nie podszedł. Skąd możesz wiedzieć, czy jakiś szaleniec nie obserwował cię zza filaru z radością, że dałaś się nabrać?

Abby aż się wzdrygnęła na tę myśl, ale natychmiast wzięła się w garść. Miała dość wrażeń jak na jeden dzień.

- Nawet jeżeli ktoś mnie obserwował, to nic mu z tego nie przyjdzie.

- Dlaczego nie? Może chciał zobaczyć, jak wyglądasz. Nie znał cię osobiście, a teraz już wie, że ty to ty.

- Skoro wiedział, jak się nazywam, to zakładam, że wiedział także, jak wyglądam.

- Posłuchaj, Abby. Kiedy Linsey znalazła wagon ze złotem konfederatów, za sprawą wiadomości w gazetach i w telewizji nagle zaroilo się wokół was od

najróżniejszych wariatów i szarlatanów. Kiedy Kate odzyskała złoto od gangsterów, każda gazeta i stacja telewizyjna co najmniej pięć razy wspomniała o „trzech cudownych siostrach Deane”. Jestem przekonany, że każdy szurnięty facet od Cheyenne do Santa Fe zna wasze nazwisko. Przynajmniej połowa z nich marzy o tym, żeby was porwać i zdobyć złoto.

- Ależ Steve, zamieniłyśmy złoto na akcje i obligacje, a ja i tak połowę mojej części oddałam na cele dobroczynne.

- Wiem. Każdy normalny człowiek o tym wie. Ale my rozmawiamy o wariatach, Abby, o ludziach niezrównoważonych. Takich, co dzwonią w środku nocy i się nie przedstawiają.

- Czy przestaniesz na mnie krzyczeć, jeśli obiecuję, że będę zawiadamiała policję o każdym dziwnym telefonie? - spytała pokornie Abby.

Steve spojrzał na nią ze zdumieniem, po czym oparł się wygodniej i przejechał dłonią po gęstych, jasnych włosach.

- Przepraszam - powiedział ponuro. - Wydaje mi się, że na chwilę straciłem swe słynne opanowanie.

Abby uśmiechnęła się niepewnie.

- Ale tylko na chwilę.

- Zrób coś dla mnie, Abby - poprosił Steve, biorąc ją za rękę. - Następnym razem, gdy jakiś bezosobowy i bezimienny głos zaprosi cię na pogawędkę o twoim przyrodnim bracie, który już nie żyje, nie przyjmuj jego zaproszenia i zawiadom policję. A jeśli nadal poszukujesz wrażeń, przyjdź do mnie. Zapewnię ci je w mojej sypialni.

- Umowa stoi - odparła, pijąc zimną herbatę. - Tymczasem jednak muszę wracać do pracy. Muzeum Sztuki przygotowuje wystawę dzieł Gardnera Alleyna i obecnie przeglądam wszystkie jego papiery, żeby przy każdym obrazie można było zamieścić notkę. Kurator będzie rwał włosy z głowy, jeśli dziś po południu nie przekażę mu części materiałów.

- Niech Bóg broni, by miał stracić choć jeden ze swych dwunastu włosów.

- Zawsze przesadzasz, Steve, biedny facet ma ich na głowie przynajmniej dwadzieścia cztery.

Przez chwilę jeszcze rozmawiali przyjacielskim tonem, jakby nigdy nic, a potem poszli na parking, gdzie się pożegnali, nie umawiając się na następne spotkanie.

Abby zasiadła z powrotem za biurkiem dopiero o drugiej. Starając się nie myśleć więcej o niepokojących wydarzeniach na lotnisku, zagrzebała się w papierach Gardnera Alleyna, malarza pochodzącego z Zachodu, który malował wyłącznie konie i kowbojów, ale z jego listów wynikało, że fascynowały go także kobiety, i miał interesujący, dowcipny styl. Telefon zadzwonił, gdy Abby pogrążona była w miłosnym liście napisanym do żony sąsiada farmera.

- Abigail Deane, słucham - powiedziała odruchowo, wciąż skupiona na erotycznej prozie Gardnera Alleyna.

- Halo, Abigail - odparł zachrypnięty głos. - Nie masz nic przeciwko temu, żebym tak się do ciebie zwracał, prawda? Mam wrażenie, że zostaniemy przyjaciółmi. Miło znów cię usłyszeć. Cały dzień czekałem na tę chwilę.

- Kto mówi? - spytała zdenerwowana Abby.

- Już ci mówiłem, Abigail. Przyjaciół. Stary przyjaciel twego ojca. Z dawnych czasów. Bardzo dawnych czasów.

Jego wyjaśnienie wcale nie uspokoiło Abby.

- Jak się pan nazywa? - spytała ostro.

- Za dużo byś chciała wiedzieć, moja droga. Ale mieliśmy dziś ciekawe spotkanie na lotnisku, prawda? Dziękuję za pomoc.

- O czym pan mówi? Nikomu w niczym nie pomagałam. Nie spotkaliśmy się na lotnisku. Kto mówi?

W słuchawce rozległ się ochryply śmiech.

- Jesteś pewna, że się nie spotkaliśmy, Abigail? Czy jesteś absolutnie pewna, że nie jestem jedną z osób, z którymi rozmawiałaś na lotnisku?

- Oczywiście, że jestem pewna.

- Może byłem w tłumie, kiedy upuściłaś torebkę - powiedział i znów się roześmiał. - Zastanów się nad tym, panienko. Dobrze zastanów. Jeszcze się odezwę.

Z drugiej strony odłożono słuchawkę. Abby drżącymi palcami wystukała numer porucznika Knudsen.

ROZDZIAŁ 4

Wieczorem tego dnia Abby robiła właśnie kawę, starając się nie myśleć o anonimowym telefonie, gdy do drzwi jej mieszkania zapukał Steve.

- Pojedziesz się ze mną wspinać w sobotę? - spytał, idąc za nią do kuchni.
- Nie wspinaliśmy się od przeszło miesiąca i po tym całym cholernym tygodniu mam ochotę na jakieś fizyczne zajęcie.

Wyładowanie frustracji na skalnej ścianie wydawało się Abby najlepszym z możliwych rozwiązań. Wiszenie nad przepaścią było mniej niebezpieczne niż przebywanie w Denver i odbieranie anonimowych telefonów od jakichś szaleńców.

- Fantastycznie! Wybierzemy się na całe dwa dni - zaproponowała. - Moglibyśmy pojechać do Flatirons. Już od dawna obiecuję Kate i Linsey, że zajrzę do naszego starego domu w Boulder i zobaczę, co tam jeszcze zostało. Piwnica pełna jest najrozmaitszych gratów i papierów składanych przez trzy pokolenia. Moglibyśmy jutro posortować rzeczy, przespać się i zaliczyć wspinaczkę w niedzielę.

Steve wzniosł oczy do nieba.

- O rany, ale mam szczęście! Perspektywa całego dnia spędzonego na odgarnianiu pajęczyn i targaniu pudeł jest doprawdy ekscytująca. Sprawia, że serce każdego prawdziwego mężczyzny zaczyna bić mocniej.

Abby uśmiechnęła się i naląka kawy do kubków.

- Wszystko przez te twoje oszalamiające niebieskie oczy, Steve. Każdą dziewczynę sprowadzą na manowce.

- Nie wiedziałem, że twoja rodzinna ruina jest częścią wycieczki. Wobec tego wyjedźmy jeszcze dziś i od razu zabierzmy się za porządki.

- Lepiej będzie jechać jutro rano. Pan Bovery prosił, żebym przyszła do banku podpisać jakieś dokumenty. Jego sekretarka dzwoniła do mnie w tej sprawie dziś po południu. Nie powinno mi to zabrać więcej niż kwadrans. Jeśli zatem wyjedziemy z domu o dziewiątej, powinniśmy dotrzeć do Boulder wkrótce po dziesiątej.

- Z radością przyjmuję każdy pretekst, żeby opóźnić dźwiganie pudeł. - Steve usiadł na stołku obok Abby, popijając swoją kawę. - Co zdarzyło się w twoim życiu od naszego spotkania na lotnisku?

- Miałam kolejny anonimowy telefon - przyznała Abby. - Zadzwonił po południu do biura. To było... dość przerażające. Z jakiegoś powodu bardziej niż pierwszy telefon. On tak mówił. Ten, co dzwonił, mówił...

- Jak szalenięc?

- Tak, ale było w tym coś więcej. Jakby chciał się za coś mścić. Jakby mnie nienawidził.

Steve zaklął pod nosem.

- Ale to ten sam facet?

- Jestem pewna.

- I co mówił?

- Wyraźnie chciał mnie nastraszyć. - Abby skoncentrowała się na myciu łyżeczki, nie patrząc na Steve'a. - Powiedział, że cieszy się, że mnie spotkał na lotnisku.

Tym razem Steve zaklął głośno i dosadnie.

- No proszę, a twierdziłaś, że nikogo nie spotkałaś.

- Mówiłam, że nie spotkałam żadnego szaleńca. Widziałam parę osób, które znam. Keitha Bovery'ego z banku, Petera Graymonta i ciebie.

W kuchni zrobiło się nagle bardzo cicho.

- Jeśli to ma być pytanie, to nie mam pojęcia, jak na nie odpowiedzieć - stwierdził wreszcie Steve. - Jeżeli czekasz, aż powiem, że to nie ja byłem owym anonimem, to znaczy że między nami coś się zepsuło. Myślałem, że przynajmniej jesteśmy przyjaciółmi. Dobrymi przyjaciółmi.

W beznamiętnych z pozoru słowach Steve'a krył się żal i ból. Abby dotknęła delikatnie jego ręki. Ten dotyk wzbudził w niej jakąś głęboko ukrytą tęsknotę.

- To nie było pytanie, Steve - powiedziała łagodnie.

Przez dłuższą chwilę patrzył na nią bardzo uważnie. To, co wyczytał w jej oczach, najwyraźniej go zadowoliło. Ujął jej dłoń, podniósł do twarzy i przesunął nią sobie po policzku.

- Czy na lotnisku rozmawiałaś jeszcze z kimś? - spytał. - Pracownikiem linii lotniczych? Tragarzem? Strażnikiem?

- Tylko ze starszym mężczyzną, który znalazł moją torebkę. Upuściłam ją niedaleko wyjścia. Wydawał mi się dość miły, tylko...

- Tylko co?

- Mówił do mnie „panienko”. Kilka razy. Miał europejski akcent i zdawało mi się, że jest po prostu grzeczny. Ale ten facet od telefonu dziś po południu celowo nazwał mnie „panienką”. I to słowo zabrzmiało w jego ustach jakoś tak... groźnie.

Steve zacisnął usta, ale nadal delikatnie trzymał dłoń Abby w swojej ręce.

- Zadzwońska na policję i wszystko im powtórzyłaś, prawda? Tak jak mi obiecałaś.

- Tak, zadzwoniłam na policję. - Abby zadrzała mimo ciepłych promieni popołudniowego słońca, które wpadały przez kuchenne okno. - Udało mi się dostać do Knudsen. Był bardzo miły, choć stwierdził, że niewiele może zrobić w tych warunkach.

- Czy załatwił założenie podsłuchu?

- Tak. Powinien działać jutro od rana. Ale ze względów technicznych mogą założyć podsłuch tylko w moim domowym telefonie, a ten facet dzwonił dziś do pracy.

- Czy Knudsen w jakiś sposób na to zareagował? Na ten telefon do pracy? Abby odsunęła od siebie kubek z kawą. Od jej zapachu nagle zrobiło jej się niedobrze.

- Uważa, że to bardzo dziwne, iż anonimowe telefony do mnie zaczęły się zaraz po śmierci Taylora, którego zastrzelono z tej samej broni co mojego brata. Zwłaszcza że ten, kto dzwonił, wykorzystał osobę Douglasa, żeby mnie ściągnąć na lotnisko. Knudsen zamierza dokładnie zbadać przeszłość brata i Taylora, żeby sprawdzić, czy nie ma między nimi jakichś powiązań.

- Boisz się - powiedział cicho Steve.

- Tak, trochę. Logicznie rzecz biorąc, wiem, że nie ma powodu, aby ten facet znów zadzwonił. Zażartował sobie ze mnie w dość nieprzyjemny sposób, ale już się zabawił i koniec.

- Co na to Knudsen?

- Że telefony mogą się urwać równie niespodziewanie, jak się zaczęły. I że nieprzyjemne telefony pochodzą przeważnie od kolegów lub współmałżonków, którzy mogą mieć jakieś pretensje, a nie od przestępców.

- Rozpoznałabyś głos Grega, gdyby to on dzwonił? Abby skrzywiła się z niechęcią.

- Chyba nie. Od sześciu lat, od naszego rozvodu, nie mieliśmy żadnego kontaktu. Ten facet najwyraźniej mówił przez chusteczkę czy coś takiego. Greg nie ma żadnych powodów, żeby mnie niepokoić. Jemu jeszcze bardziej zależało na rozstaniu niż mnie. Słyszałam, że niedługo potem odpłynął w meksykański zachód słońca z rozwódką, która ma brylanty chirurgicznie przyćepione do brodawek piersi. Greg nie ma powodu do zemsty. Powinien być raczej w siódmym niebie.

- On nigdy nie miał dobrego gustu - stwierdził z uśmiechem Steve. -
Osobiście wolałbym rubiny. Są znacznie bardziej sugestywne.

- Ale nie tak cenne - wyjaśniła Abby. - Ta kobieta chciała, żeby każdy od razu wiedział, ile jest warta i jak ciężko pracuje na swoje utrzymanie.

Tym razem Steve roześmiał się głośno.

- Cóż, jeśli to nie Greg robi ci na złość, to może naraziłaś się ostatnio
któremuś z kolegów. Pomijając, oczywiście, kuratora z Muzeum Sztuki.

Abby uśmiechnęła się słabo, wyobrażając sobie dobrodusznego kuratora
straszącego ją przez telefon.

- Nikt mi nie przychodzi do głowy. Archiwiści są z natury spokojnymi
ludźmi, a my, pracownicy Towarzystwa Historycznego, jesteśmy łagodniejsi niż
reszta. Do diabła, Steve, ludzie, z którymi pracuję, są nie tylko kolegami z
pracy, lecz także dobrymi przyjaciółmi. Nikt z nich nie zrobiłby mi czegoś
podobnego.

Steve bez słowa komentarza odniósł kubek po kawie do zlewu.

- Mam jeszcze trochę pracy - powiedział po chwili. - Pewne dokumenty
wymagają sprawdzenia. Jeśli chcesz, mogę je tu przynieść i dotrzymać ci
towarzystwa. Mógłbym też przenocować w gościnnym pokoju i odbierać
telefony.

Abby spojrzała na niego uważnie. Znow zdała sobie sprawę, że przez
ostatnie pół roku miała klapki na oczach. Na lotnisku powiedział jej, że odkąd
się wprowadził do jej bloku, nie spotyka się z żadną kobietą. Teraz mówi o
pracy w domu. Późnym wieczorem. W piątek. Dotychczasowy obraz Steve'a
jako wolnego, poświęcającego się jedynie przyjemnościom mężczyzny stracił na
wyrazistości, ale nowy nie zagościł jeszcze na dobre w jej umyśle.

- Powiedziałaś coś zdumiewającego, Steve - stwierdziła ze śmiechem,
który nawet dla niej samej zabrzmiał sztucznie.

- Pójdę na górę po śpiwór i...

- Nie, nie, chodzi mi o to drugie. A raczej o pierwsze. Praca w późny piątkowy wieczór? Co się stało z twoim słynnym trzygodzinnym dniem pracy?

- Skończył się mniej więcej w tydzień po studiach - powiedział sucho. - O ile kiedykolwiek naprawdę istniał. W tej chwili jestem szczęśliwy, jeśli uda mi się pracować tylko dziesięć godzin dziennie.

- Przecież zawsze jesteś w domu już o czwartej.

- Lepiej mi się pracuje w nocy. Po południu robię sobie przerwę - odparł, wzruszając ramionami.

Abby potrząsnęła głową.

- Straciłam wszelkie złudzenia. Myślałam, że jesteś ostatnim Mohikaninem występującym przeciwko młodym pracoholikom.

- Ależ Abby, niczego podobnego nie myślałaś. Po prostu założyłaś sobie, że skoro na studiach mieszkałem w jednym pokoju z Gregiem, to jesteśmy tacy sami - powiedział Steve, przyglądając jej się chłodnym wzrokiem. - Nie jestem Gregiem, Abby. Pewnego dnia sama to zrozumiesz.

Niestety, prawdę mówiąc, zawsze wiedziała, że Greg i Steve zasadniczo się od siebie różnią. Jej małżeństwo było jedynie kosztownym eksperymentem. Ale tej puszkę Pandory nie miała teraz siły otwierać.

- Czy nadal wybierasz się ze mną do Boulder? - spytała cicho.

- Jak mógłbym zrezygnować ze wszystkich ekscytujących chwil w twojej piwnicy? Nie odpowiedziała na moje pytanie. Czy chcesz, żebym tu dziś przenocował?

Chciała potaknąć, lecz z jakiegoś powodu potrząsnęła przecząco głową.

- Nic mi nie będzie, Steve, naprawdę. Dzięki za propozycję.

- Proszę bardzo. Do jutra, Abby. Dobranoc.

- Dobranoc.

Zamknęła za nim drzwi na zasuwę, po czym opadła na nieskazitelnie białą kanapę, wpatrując się nie widzącym wzrokiem w swe nieskazitelnie białe

tenisówki. Doszła do wniosku, że ma za sobą pod każdym względem paskudny dzień.

Morderca Howarda Taylora z uśmiechem zbliżył się do domu Abigail Deane. Teren był czysty, Abigail wyjechała do Boulder i jej mieszkanie stało puste. Z wielu powodów zapowiadał się dobry dzień. Słońce świeciło jasnym blaskiem, typowym dla Kolorado we wrześniu, a rześkie powietrze zapowiadało chłodne noce i wczesne opady śniegu. Już sama pogoda mogła człowieka wyciągnąć z najczarniejszej depresji, a wizyta Abigail w banku była uwieńczeniem bardzo udanych dwóch dni.

Abigail podpisała stertę dokumentów, nie zdając sobie sprawy - mimo swego starannego wykształcenia - że jej podpisy nie były nikomu do niczego potrzebne, posłużyły jedynie do tego, aby ją zwabić do banku. Okazało się to jeszcze prostsze niż wyciągnięcie jej na lotnisko. W trakcie pobytu w banku przyjacielsko zwierzyła się z planów wyjazdu do starego domu w Boulder i zrobienia porządku w piwnicy.

- Spodziewam się całej masy starych, cennych śmieci - zażartowała. - Na pewno znajdę zbiór znaczków pocztowych dziadka i stare książki kucharskie babci. Nie mówiąc o tych wszystkich rzeczach, które ojciec przywiózł z Korei. Kto wie, jakich rodzinnych skandali się doszukam - dodała, pokazując w uśmiechu równe, białe zęby. - Myślę, że to właśnie lubię w mojej pracy - stwierdziła poważnie. - Jestem absolutnie zafascynowana tym, że na podstawie starych papierów możemy zrekonstruować całe życie człowieka.

Gwen Johnson i Linda Mendoza przyznały, iż na starych rzeczach można czasem zrobić pieniądze.

- Dopiero co sprzedałam stary zbiór kart baseballowych ojca za pięćset dolarów - powiedziała Gwen.

- A ja pewnego dnia sprzedam wszystkie lalki Barbie mojej córki - dodała Linda.

Keith Bovery prawie się nie odzywał. Wydawało się, że trapi go coś bardzo poważnego. Ostatnio bywał stale nachmurzony. Abigail zamasyżuje podpisała ostatni dokument.

- Proszę dać mi znać, o co chodzi z tymi błędami na naszym koncie, dobrze? - zwróciła się do prezesa banku.

- Eee... tak... jasne - wyjąkał Keith Bovery, odrywając wzrok od parkingu przed bankiem. - Wkrótce się do ciebie odezwę, moja droga. Możesz na mnie liczyć.

- Dziękuję. Muszę już lecieć. Wzywa mnie piwnica skarbów. Nie mówiąc o przyjacielu, który czeka w samochodzie i umiła sobie czas lizaniem lodu.

Abigail wesoło pomachała na pożegnanie, nie mając najmniejszego pojęcia, iż właśnie podpisała na siebie wyrok śmierci.

Morderca Howarda Taylora wyciągnął nowy, błyszczący klucz na czerwonym plastikowym wisiorku i z rozkoszą obserwował jego błyski w słonecznym blasku. Zdobyć kluczy było dziecinną igraszką. Oglupianie Abigail Deane było świetną zabawą. Dzwonienie i straszenie jej było ryzykowne, lecz również bardzo zabawne.

W końcu zdobycie kluczy okazało się łatwizną. Wzmianka przez telefon o Douglasie, propozycja spotkania na lotnisku, szybkie wyrwanie torebki, dziesięć sekund na odcisk klucza do mieszkania w wosku i wszystko załatwione. Zwyczajny wygląd był wielkim atutem. Już wiele lat temu przekonał się, że świat ocenia ludzi wyłącznie po wyglądzie. Za miłym wyrazem twarzy i nie zwracającym uwagi ubraniem można było bardzo dużo ukryć.

Drzwi wejściowe otworzyły się szeroko. Na dole, na szczęście, nie było nikogo. To był bardzo przyjemny budynek. Elegancki. I drogi. A dlaczego nie? Ronald Deane zostawił córkom całą masę pieniędzy, więcej, niż potrzebowały. A później, jak na ironię losu, te dwie głupie dziewczyny, Kate i Linsey, znalazły złoto konfederatów i je sobie przywłaszczyły. O tak, najwyższy czas, żeby

pannom Deane przytrafiło się trochę nieszczęścia, jakie innych ludzi nie opuszcza przez całe życie.

Zatrzymał się pod drzwiami mieszkania numer 704. Mieszkania Abigail Deane. Kolejny błyszczący, nowy klucz wsunął się gładko w zamek. Morderca lekko go przekręcił. Drzwi się otworzyły. Nie mogąc powstrzymać cichego okrzyku triumfu, wszedł do przedpokoju wyłożonego biało-czarnymi kafelkami. Bardzo ładnie. Bardzo elegancko. Bardzo w stylu Deane'ów.

Niczym duch prześlizgiwał się po wysprzątanym mieszkaniu Abigail. Dłonie w rękawiczkach wyciągały szuflady, otwierały szafy i szafki w metodycznych poszukiwaniach. Nie musiał się spieszyć. Głupia Abigail siedziała w piwnicy starego domu Ronalda Deane'a w Boulder. Czekaając, choć sama tego jeszcze nie wiedziała, na swego mordercę. Kiedyś musiała przecież wyjść z piwnicy.

Przeszukał duży pokój i pokój gościnny i znalazł wreszcie trzy duże komody w sypialni Abigail. Stały równo pod ścianą, każda z czterema szufladami, wszystkie w takim samym szarym kolorze jak dywan. Poszukiwania mogłyby okazać się bardzo trudne, gdyby Abigail nie była taka porządna. Wszystkie dokumenty ułożone były według jasnego i logicznego systemu. Chyba rzeczywiście była doskonałą archiwistką.

Po niespełna pięciu minutach odnalazł listy w części oznaczonej: „Ronald Deane - korespondencja prywatna, 1950-1955” i szybko przebiegł wzrokiem wszystkie trzy. Oczywiście najlepiej byłoby, gdyby nigdy nie zostały napisane, ale przypadkowy czytelnik i tak nie potrafiłby odszyfrować ich znaczenia. Nawet w tamtych czasach nie odważył się używać słów szantażu, które mówiłyby za dużo. Teraz, powtórnie je czytając, sam się dziwił, że umiał w niewinnych słowach zakamufłować poważną groźbę. Po śmierci ojca Abigail Deane musiała przejrzeć tyle papierów, iż można było bezpiecznie założyć, że nie pamiętała wszystkich szczegółów z tych akurat listów.

Niestety, nie mógł sobie pozwolić na żadne ryzyko, zwłaszcza że Abigail grzebała się teraz w starych dokumentach w Boulder. Właściwie szkoda, że była w tym wszystkim taka porządnicka. Przeraził się szybko wykryła manewr z numerami akcji. Gdyby sprzedaż domu miała się zająć ta mała Kate albo nawet Linsey, nie byłoby problemu i kolejna osoba nie musiałaby ginąć. Nagle się zirytował. Życie doprawdy było niesprawiedliwe. Niektórzy musieli planować, harować i walczyć o każdego centa, a takie siostry Deane tylko siedziały i bez najmniejszego wysiłku zgarniały pieniądze, zaszczyty i przyjemności.

Ale nie czas rozmyślać nad niesprawiedliwościami losu. Teraz należało działać i wprowadzić w czyn najważniejsze z dzisiejszych zadań. Kopie świadectw urodzin i śmierci Christophera Deane'a Renquista na pewno były w którejś z trzech komód. Te dwa zwykłe dokumenty mogły zniszczyć trzydzieści pięć lat subtelnych działań i przygotowań.

Systematyczne przeszukanie dało efekty. Odkrył oba dokumenty w środkowej komodzie. Z ponownym, tłumionym okrzykiem triumfu wyjął metrykę chłopca, urodzonego w Arapahoe County w Kolorado 15 maja 1954 roku.

Obok znajdowało się świadectwo zgonu tego samego chłopca, wystawione zaledwie sześć tygodni później. Morderca porwał oba dokumenty na strzępy i schował je do kieszeni. Nie była to pora na żal za grzechy sprzed trzydziestu pięciu lat.

Z lekkim uśmiechem satysfakcji zaczął starannie wkładać pozostałe papiery na swoje miejsca. Minęło dziesięć minut i nie pozostał nawet ślad, że ktoś się w ogóle zbliżał do tych szafek. Nie było też powodu, aby właścicielka mogła przypuszczać, iż coś jej zginęło. Teraz, gdy Ronald Deane już nie żył, jedynie morderca znał wagę podartych świadectw. Niedługo zaś nikt oprócz niego nie będzie o nich wiedział.

Wychodząc z sypialni, spostrzegł na nocnej szafce Abigail oprawioną w ramkę fotografię. Zdjęcie przedstawiało przystojnego mężczyznę w mundurze

lotnika, odznaczanego właśnie medalem przez swego dowódcę. Cofnął się do sypialni, przyciągany niewidzialną siłą emanującą ze zdjęcia. Wziął je do ręki i w milczeniu wpatrywał się przez chwilę w regularne rysy Ronalda Deane'a, a potem odstawił fotografię z taką siłą, że przewrócił flakon perfum.

Korek musiał być źle włożony i morderca, klnąc pod nosem, złapał chusteczki do nosa, ale były za cienkie, żeby wytrzeć rozlane perfumy. Wszedł do kuchni i chwycił rolkę kuchennych ręczników. Wrócił do sypialni, aby sprzątnąć ślady. Tymczasem okazało się, że przy upadku korek lekko się wyszczerbił. Co robić? Przypuszczalnie najlepiej byłoby zabrać flakon z mieszkania. Kolejny problem: co zrobić z mokrym papierem? Fatalnie byłoby wpaść na jakąś wścibską sąsiadkę z garścią mokrych papierowych ręczników pachnących perfumami.

Szybko rozejrzał się po pokoju i dostrzegł w koszu na śmieci dużą kopertę. Wcisnął do niej mokre papiery i flakon perfum razem z wyszczerbionym korkiem i westchnął z ulgą. Mimo drobnego niepowodzenia wszystko poszło dobrze.

Duszący, ostry zapach nadal wisiał w powietrzu, ale po pierwsze, wkrótce wyparuje, a po drugie - właścicielka mieszkania już do niego nie wróci i nie odkryje braku flakonu. Ponownie westchnął z ulgą. Tak, wszystko się udało.

Teraz nie było już możliwości, żeby ktoś dowiedział się prawdy o Douglasie lub chłopcu o imieniu Christopher. Nadeszła pora, aby zakończyć starą historię, która zaczęła się trzydzieści pięć lat temu, w Korei.

Nadeszła pora, aby zabić Abigail Deane.

ROZDZIAŁ 5

Hura! - wykrzyknął triumfalnie Steve, podnosząc w górę ręce. -
Wyniosłem ostatni worek ze śmieciami. Otwieraj szampana!

Abby spojrzała na niego przez zasłonę z opadających jej na twarz włosów, zdmuchując z nosa zakurzony kosmyk.

- Co? Mówiłeś coś, Steve?

- Nic ważnego - odparł sucho. - Po prostu wyniosłem śmieci, to wszystko. Co znalazłeś w tym pudełku, Abby? Na pewno coś fascynującego, bo od dobrej godziny nie ruszyłaś się z miejsca.

- Głównie stare zdjęcia i parę listów. Gdybym wiedziała, że tu są, już dawno bym je uporządkowała i posegregowała. To absolutny sezam rodzinnej historii. Spójrz na to zdjęcie. To jest moja prababka w dniu swojego ślubu. Nie sądzisz, że Linsey jest do niej bardzo podobna? Te same włosy, ten sam nos, wszystko.

Steve rzucił okiem na wyblakłą fotografię w kolorze sepii.

- Tak, są bardzo podobne. Drobne i delikatne, ale o żelaznej konstrukcji. Powinnaś zrobić odbitkę i wysłać ją Darrenowi i Linsey. Z pewnością będą zachwyceni.

- Dobry pomysł - powiedziała z roztargnieniem Abby.

Powróciła tymczasem do bezcennego pudła ze zdjęciami i listami. Sięgnęła do środka po następną fotografię, tkwiącą w cienkiej kopercie razem z pożółkłym listem. Abby bardzo delikatnie wyjęła z koperty cienkie stroniczki i rozłożyła je przed sobą, odsłaniając zdjęcie bardzo szczupłej kobiety z małym dzieckiem na ręku.

- Kto to jest? - spytał Steve, pochylając się nad ramieniem Abby. - Twoja prababka?

- Nie, poznałabym ją. Poza tym to znacznie nowsze zdjęcie. Sądząc po sukni tej kobiety, możemy przyjąć, iż zostało zrobione w latach pięćdziesiątych.

Podeksycytowana znaleziskiem, zapomniała o obecności Steve'a i zabrała się do czytania listu.

Steve przyglądał jej się z mieszaniną czułości i irytacji. Na widok kilkuset zdjęć wciąż pozostających w pudle westchnął głośno i znacząco. Abby chyba go nie słyszała. Po pięciu minutach zaryzykował:

- Abby, kochanie, wiem, że pudło pełne starych rodzinnych dokumentów więcej dla ciebie znaczy niż butelka doskonałego wina, ale nie wiem, czy zauważyłaś, że minęła piąta, a myśmy od rana nic nie jedli.

- Co? Co mówisz, Steve?

Założyła za ucho kosmyk, zostawiając na twarzy brudną smugę. Teraz, kiedy odgarnęła włosy, bez przeszkód mogła nadal czytać list, jakby Steve w ogóle nic nie powiedział.

Steve delikatnie wytarł palcem smugę kurzu z jej policzka.

- Stek z grilla - mruknął jej do ucha. - Pieczony kartofel ze śmietaną. Świeża kukurydza ociekająca masłem. Kieliszek świetnego burgunda.

Na te magiczne słowa Abby zamrugała, najwyraźniej powracając duchem i ciałem do rzeczywistego świata.

- Wielki Boże, czy to już czas na kolację? - spytała. - Właśnie poczułam, że umieram z głodu.

Oczy Steve'a pociemniały od tłumionego śmiechu.

- Kiedy wszystko inne zawiodło, pomyślałem, że napomknę o jedzeniu. W tym twoim drobnym ciele tkwi apetyt robotnika portowego wagi stu pięćdziesięciu kilo. Tak, Abby, kochanie, już pora szykować kolację.

- Sto pięćdziesiąt kilo, co? - Abby wstała i prowokacyjnie przejechała dłońmi po szczupłych biodrach, po czym okręciła się wokół siebie. - Patrz na to wspaniałe ciało i płacz, Steve.

- Widok twojego ciała na pewno nie pobudza mnie do płaczu - odparł z dwuznacznym uśmiechem Steve.

Widząc, że się zaczerwieniła, uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Daj mi ten list, nim znów zapomnisz o Bożym świecie. Czy nie myślałaś nigdy, żeby się leczyć z nałogu związanego ze starymi, zniszczonymi papierami?

- To nie jest zwykły stary papier - powiedziała Abby. Jej uśmiech znikł. - To jest list do mojego ojca od kobiety imieniem Lynn, ze zdjęciem jej nowo narodzonego syna. Miałam już kiedyś w ręce jej listy, choć nie zdawałam sobie wówczas sprawy, kim była. Nie mam pojęcia, dlaczego ten list nie jest razem z innymi. Może ze względu na zdjęcie.

Steve spojrzał na poważną kobietę i zawinięte w kocyk niemowlę.

- Jak na świeżo upieczoną matkę biedna Lynn nie wygląda zbyt radośnie - powiedział. - Kto to jest?

Abby skrzywiła się z niechęcią.

- Wydaje mi się, że to była kochanka ojca. Wiesz, ta pielęgniarka, w której się zakochał, gdy był w Korei.

- Innymi słowy naturalna matka Douglasa Brady'ego?

- Tak. To by znaczyło, że to jedyne zdjęcie Douglasa i jego matki przed jego adopcją.

- Jak ona się nazywa?

Abby odwróciła kopertę i spojrzała na adres nadawcy.

- Nie mogę niczego odczytać oprócz słowa „Alabama”. Reszta rozmazała się od wody czy czegoś takiego. Może od łez - dodała po chwili.

Steve dotknął lekko jej ramienia.

- Może to i dobrze, że nie możesz rozszyfrować tożsamości byłej kochanki ojca. Posłuchaj rady kogoś, kto uczestniczył w paru ładnych awanturach rodzinnych. Nie należy na siłę odgrzebywać przeszłości. Nie darmo mawia się, że czas leczy rany.

- To doskonała rada, ale nasza przeszłość nie jest zbyt głęboko pogrzebana. Douglas połączył ją z teraźniejszością, kiedy tu przyjechał, poszukując mnie i moich sióstr.

- Ale Douglas nie żyje, Abby, i najwyższy czas pozwolić mu spoczywać w pokoju. On i Lynn byli w końcu częścią życia twojego ojca. Z tobą nie mają nic wspólnego.

Abby ze ściśniętym sercem spojrzała na fotografię smutnej Lynn. W surowych latach pięćdziesiątych ta kobieta musiała wiele przecierpieć jako samotna matka.

- Rozumiem, że w trudnych wojennych warunkach ludzie łatwiej poddają się emocjom i to niekorzystnie wpływa na ich wzajemne relacje - stwierdziła. - Kiedy jednak czytam ten list, widzę, jak fatalnie obszedł się z Lynn mój ojciec. Najpierw rozkochał w sobie młodą pielęgniarkę, mimo że był żonaty, a potem nie przyjął do wiadomości istnienia własnego dziecka. Wymazał Lynn i jej syna ze swego życia tak starannie, że dopóki nie znalazłam tego listu, nikt w naszej rodzinie nie wiedział nawet, jak się nazywała.

- Nie osądzaj go zbyt surowo, Abby - powiedział cicho Steve. - Wszyscy popełniamy błędy w młodości. Spójrz tylko na nas. Jesteśmy tego najlepszym przykładem. Ty wyszłaś za mąż za niewłaściwego mężczyznę. Ja ożeniłem się z nieodpowiednią kobietą i na dodatek zmarnowałem jej parę lat życia. Wątpię, czy chciałabyś przebywać ze mną w jednym pokoju, gdybyś poznała jej wersję naszego małżeństwa.

- Ale żadne z nas nie sprowadziło na świat nieślubnego dziecka, nie przyjmując przez trzydzieści pięć lat do wiadomości, że w ogóle istnieje.

- To prawda, ale też żadne z nas nie latało bombowcami nad terytorium wroga. Twój ojciec, kiedy poznał Lynn, codziennie ryzykował życie. Żałujesz mu odrobiny ciepła w tych strasznych czasach i warunkach?

- Oczywiście byłabym bardziej obiektywna, gdybyśmy rozmawiali o kimś obcym - przyznała Abby. - Ale rozmawiamy o moim ojcu. Trudno mi doprawdy

zaakceptować, że człowiek, który był dla mnie ideałem, miał takie same wady jak inni, zwykli faceci.

- I takie same zalety - przypomniał jej Steve. - Twój ojciec nie żyje i nie może nam opowiedzieć swojej wersji tej historii, Abby, więc nie zrzucaj go tak prędko z piedestału.

- Masz rację - powiedziała z wymuszonym uśmiechem, choć w głębi serca pozostała nieprzekonana. - Skoncentrujmy się teraz raczej na ważniejszych sprawach. Kto dziś robi kolację?

- To zależy. Chcesz jeść spalone resztki czy wolisz doskonale upieczone kartofle, soczystą kolbę kukurydzy i miękki różowy befszytk?

- Trudny wybór. Ponieważ jednak to ja kupiłam jedzenie, muszę chyba pozwolić, żebyś na nie zapracował gotowaniem. Nie chciałabym, żebyś czuł się niedoceniony czy niepotrzebny.

- Bardzo jesteś miła. - Steve zobaczył, że wzrok Abby powędrował znów w stronę pudła z papierami, i stanowczo wziął ją za rękę. - Chodź, pora na kąpiel. Jeśli się nie pospieszymy, zrobi się za zimno, żeby jeść na dworze.

Abby niechętnie odłożyła list ze zdjęciem do pudełka.

- Zaniosę to na górę do mojego pokoju.

- Nie ma mowy! - Steve wyjął jej z rąk karton ze starymi papierami. - Ja się tym zajmę. W przeciwnym razie za godzinę znalazłbym cię nad tym pudłem z głową nadal oplątaną pajęczyną.

- Nie mam głowy w pajęczynach - zaprotestowała z godnością Abby. - Jestem znana ze swego nienagannego wyglądu.

Steve roześmiał się.

- Spójrz do lustra, jak będziesz na gorze. Masz pajęczyny we włosach, kurz na nosie, tłuste plamy na policzku i atrament na czole.

Abby wykrzywiła się z niesmakiem.

- To dlaczego się na mnie nie rzucasz, skoro tak pięknie wyglądam?

- Sam nie wiem, ale z pewnością muszę się przez cały czas bardzo pilnować.

Mimo tych słów wypowiedzianych jakby od niechcienia, Steve spojrział jej głęboko w oczy. Abby zaczerwieniła się gwałtownie i pożałowała, że naprawdę nie wygląda pięknie, elegancko i podniecająco. I to dla kogo? Dla Steve'a Kramera?! Szybko ruszyła w stronę schodów, przekonana, że godziny spędzone w piwnicy musiały wywrzeć jakiś niekorzystny wpływ na jej poczucie rzeczywistości.

- Zobaczymy się niebawem.

- Przygotuję grill - obiecał Steve, sięgając po pudełko zapalek i przerzucając je machinalnie z ręki do ręki. - Gorące befsztyki będą na stole dokładnie za godzinę. Nie spóźnij się, mała.

Pomimo całkowicie przyziemnej rozmowy Abby, rozbierając się i wchodząc pod prysznic, czuła się dziwnie poruszona. Po raz pierwszy od ukończenia studiów zastanawiała się, jak by to było, gdyby Steve Kramer rzucił się na nią w miłosnych zamiarach.

„Niesamowicie" i „cudownie" to były jedyne dwa słowa, które przysły jej do głowy.

Kiedy pół godziny później wyszła na taras przed domem, Steve układał właśnie na grillu kolby kukurydzy owinięte w liście. Podniósł głowę i przerywając na chwilę swe zajęcie, rzucił jej promienny uśmiech.

- Fantastycznie wyglądasz, mała. Brak pajęczyn wyraźnie ci służy.

Kiedy znów zabrał się do pieczenia, Abby wykrzywiła się do jego pleców. „Mała"? „Brak pajęczyn"? I po to włożyła nowe džinsy i spędziła piętnaście minut przed lustrem, malując się i strojąc? Przez kilka minut chodziła tam i z powrotem po tarasie, wreszcie usiadła na leżaku i zapatrzyła się w nocne niebo. Wrześniowy wieczór niósł w sobie zapowiedź jesieni, ale gwiazdy błyszcząły nadzwyczajnie, a w powietrzu była jakaś kryształowa przejrzystość. Warto było włożyć sweter, żeby zjeść kolację na dworze.

Steve podał jej kieliszek burgunda i przysunął sobie krzesło do jej leżaka.

- Kumpel polecił mi na jutro nową trasę wspinaczkową - powiedział. - Z zachodniej strony Flatirons. Mówi, że wymaga trochę wysiłku, a zatem, jeśli się zgodzisz, czeka nas interesujący dzień.

- Jestem gotowa. Nie mogę się wręcz doczekać. Założę się, że dojdę na szczyt przed tobą.

- O co się zakładamy? - spytał przeciągle Steve.

- O pięć dolarów.

- Nie ma mowy.

- Postawię ci obiad.

- Zgadzam się pod warunkiem, że nie będzie to obiad domowy - rzucił z uśmiechem.

- Zobaczysz, w końcu nauczę się gotować tylko po to, żeby ci zrobić na złość - powiedziała, piorunując go wzrokiem.

- Ty mi cały czas robisz na złość - rzucił po dłuższej chwili Steve. Wstał i podszedł do grilla. Abby poszła za nim.

- O co ci właściwie chodzi, Steve? Przeszkadza ci, że nie umiem gotować? Od kilku dni cię nie poznaję. Co się dzieje? Mówisz takie dziwne rzeczy.

Steve zaśmiał się niewesoło.

- Jak na inteligentną kobietę jesteś czasami niewiarygodnie tępa.

Ku swemu zdumieniu Abby ze złością złapała go za ramię i mocno szarpnęła.

- Tępa? Ja jestem tępa? Skończyłam dwa wydziały.

- Dokładnie o to mi chodzi, kochanie.

- Przestań przewracać te cholerne befsztyki i spójrz na mnie!

- Z przyjemnością, Abby - mruknął, odkładając metalowe szczypce na grill. - Już patrzę. - Obrzucił ją taksującym spojrzeniem. - Masz fantastyczny

sweter, mała. Gdyby był o numer mniejszy, groziłby ci areszt za obrazę moralności.

Abby wzięła się pod boki i obrzuciła Steve'a złym wzrokiem.

- Przestań mówić do mnie „mała”. Mam dwadzieścia osiem lat. I nadal mi nie wyjaśniłeś, dlaczego niby jestem tępa.

Steve zatrzasnął pokrywę grilla.

- Dlatego, że każda inna kobieta, nawet z umysłem pchły, już dawno by się zorientowała, co chcę zrobić - wyjaśnił spokojnie, biorąc ją w ramiona i nachylając się nad nią.

Jego pocałunek był namiętny, chciwy, gwałtowny, a jednocześnie niewiarygodnie czuły. Kiedy wsunął jej język do ust, Abby poczuła, że topnieje. Musiał wyczuć drzenie jej ciała, bo mocniej przycisnął ją do siebie i teraz ich uda i piersi się dotykały. Gdyby nie usta Steve'a na jej wargach, Abby krzyknęłaby z radości. Tymczasem zdusił jej westchnienie i nadal zachłannie całował.

Abby ogłuchła i oślepla na cały otaczający ją świat. Istniał jedynie Steve i uczucia, jakie wzbudzał głęboko w jej duszy. Marzyła, aby pocałunek trwał wiecznie, a zarazem chciała, żeby się skończył natychmiast, nim jej ciało zażąda spełnienia.

- Proszę cię, przestań - szepnęła.

Gdy tylko uniósł głowę, zrozumiała, że wcale tego nie chciała. Bez uścisku Steve'a wydała się sobie opuszczona i samotna. Bez dotyku jego warg czuła się tak, jakby uciekało z niej życie.

- Przypalą się nam befsztyki - powiedział, unikając jej wzroku. - Pora na kolację.

- Coś mi tu pachnie spalenizną - skłamała Abby, choć w tej chwili nie wyczułaby nawet pożaru lasu. Jej zmysły były obojętne na wszystko oprócz Steve'a.

- Przyniosę wino - zaproponował. - Talerze stoją na drewnianym stole przy grillu. Może nam nałożysz?

Abby w oszołomieniu kiwnęła tylko głową. Podeszła do stołu, wzięła dwa ciężkie talerze i zapatrzyła się przed siebie. Miała coś zrobić, ale zupełnie zapomniała co. Zastanawiała się, czy gdyby poszła za Steve'em na drugą stronę tarasu, znów by ją pocałował. Tym razem na pewno nie byłaby tak głupia, żeby mu kazać przestać.

Jej zamyślenie trwało najwyżej kilkanaście sekund. Odstawiła talerze i odwróciła się w stronę Steve'a, gdy wieczorną ciszę przerwał jego zdenerwowany okrzyk:

- Schyl się, Abby! Szybko!

W tym samym momencie rzucił się na nią gwałtownym skokiem. Abby usłyszała jakieś głuchoe wybuchy. Schyliła się i oboje wylądowali na wyłożonym klinkierem tarasie. Zaparło jej dech w piersiach. Steve leżał na niej i przez liczne warstwy ubrania czuła jego gorące, twarde i drżące ciało.

Leżąc nieruchomo, starała się nabrać powietrza do obolałych płuc. Nagle usłyszała, że ktoś pospiesznie przedziera się przez krzaki, i odruchowo się poruszyła.

- Leż - rozkazał szorstko Steve, zsuwając się z niej i przykucając obok. - Nie zdołałem policzyć wszystkich wystrzałów i nie wiem, czy przypadkiem nie ma jeszcze jakichś nabojów w magazynku.

Jeszcze jakichś nabojów?! Abby była tak zszokowana, że zapomniała się bać. Wielki Boże, te wybuchy, które słyszała, były strzałami? Ktoś strzelał do niej na jej własnym tarasie i teraz ten ktoś uciekał! Abby z wściekłością zerwała się na nogi, ale Steve złapał ją w pasie i pociągnął w stronę stolika.

- Na litość boską, Abby, kiedy indziej zabawisz się w bohaterkę, dobrze?

- Ale on ucieka!

- A ty wciąż żyjesz. I niech tak zostanie.

Opadła na ziemię, opierając się o ławkę i szcękając zębami z przerażenia. Ktoś do niej strzelał!

- Widziałeś go?

- Tak. Właśnie się odwróciłem, kiedy wstał, żeby wycelować. Dlatego krzyknąłem, żebyś się schyliła. To był ktoś średniego wzrostu, średniej budowy ciała, w czarnej, narciarskiej czapce.

- Policja, mając tak szczegółowy opis, na pewno natychmiast go złapie. W okolicy mieszka najwyżej pięćdziesiąt tysięcy ludzi, którzy pasują do tego rysopisu.

Mimo tego ironicznego tonu Steve usłyszał w głosie Abby nutę hysterii. Wziął Abby w ramiona i pogłaskał ją po plecach gestem uspokajającym i zupełnie pozbawionym erotyzmu.

- Chodźmy do środka - zaproponował łagodnie. - Tam będziemy bezpieczni, nawet gdyby ten szaleniec postanowił z jakiegoś powodu wrócić.

Abby nie protestowała, po części dlatego, że trudno jej było powiedzieć coś sensownego. Steve zaprowadził ją do domu i razem usiedli na kanapie.

- P-p-przepadnie nam kolacja - wyjąkała w końcu Abby.

- A ja upuściłem butelkę wina - powiedział Steve, nadal obejmując ją ramieniem. - Wygląda na to, że będziemy się musieli zadowolić zupą z puszki i mlekiem. Masz ochotę?

Abby zadrżała.

- Nie, na razie nie jestem głodna.

Steve odszedł na chwilę, po czym wrócił i podał jej kieliszek.

- Masz, napij się. Może wróci ci apetyt.

- Co to jest?

- Koniak. Znalazłem w szafce całą butelkę, kiedy szukałem soli. Napij się, a ja zadzwonię na policję.

- Numer jest na ścianie przy telefonie - powiedziała Abby, biorąc z wdzięcznością kieliszek.

Ręce tak bardzo jej się trzęsły, że musiała trzymać kieliszek w obu dłoniach. Powoli zaczynała rozumieć, jak bliska była śmierci. Ktoś schował się w wysokich krzakach rosnących za domem, a potem strzelał do niej pod osłoną zmroku. Ktoś usiłował ją zabić. Ktoś pragnął jej śmierci. Było to nieprawdopodobne, a jednak prawdziwe.

- Zaraz przyjedzie policja - powiedział Steve, wracając do pokoju. Usiadł przy Abby i położył jej rękę na kolanie. - Wiesz, może to był jakiś myśliwy. Wypadki się zdarzają, a myśliwi amatorzy są absolutnie nieprzewidywalni i nieobliczalni.

Abby zmusiła się, żeby usiąść prosto.

- Nie traktuj mnie jak dziecko, Steve. Nie jestem taka bojaźliwa ani taka słaba. Oboje dobrze wiemy, że nawet myśliwi amatorzy nie zakradają się pod cudze domy ani nie noszą czarnych narciarskich czapek. Ktoś strzelał do mnie, żeby mnie zabić. I byłoby mu się udało, gdybyś w porę nie krzyknął.

Mocno ścisnął ją za rękę, dla dodania otuchy.

- Steve Kramer zawsze do usług - powiedział, starając się mówić żartobliwym tonem.

- Czy ja... Czy nie zapomniałam ci przypadkiem podziękować? - spytała Abby po chwili milczenia.

- Zapomniałaś, ale nic nie szkodzi. Będę miał u ciebie dług wdzięczności, a kiedy nadejdzie właściwa pora, zażądam jego zwrotu z procentem.

Abby odetchnęła głęboko.

- Chętnie ci się odpłacę. Naprawdę bardzo ci dziękuję. Zawahał się przez moment, a potem znów wziął ją w ramiona.

Poddała mu się bez oporu, a on delikatnie głaskał ją po głowie.

- Dlaczego ktoś chciał mnie zabić, Steve? Co ja zrobiłam, że ktoś mnie tak strasznie nienawidzi?

- Nie wiem. Na razie. Czy jesteś pewna, Abby, że całe złoto konfederatów zostało zamienione na akcje i obligacje? Na coś zupełnie niedostępnego dla złodziei i bandytów?

- Tak.

- Ty i twoje siostry nie chowacie gdzieś przypadkiem w ogrodzie, z powodów sentymentalnych, parunastu gustownych sztabek?

- Nie mamy nawet jednego złotego płatka, a co dopiero sztabek. Linsey, Kate i ja uważałyśmy, że już dość osób straciło życie przez to złoto i nie chciałyśmy mieć z tym nic wspólnego. Dlatego oddałyśmy tyle pieniędzy na cele dobroczynne. Niedobrze mi się robi, jak słyszę o tym cholernym wagonie ze złotem. Naprawdę żałuję, że zostało znalezione.

Steve ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Nawet gdybyś zakopała w ogrodzie skrzynkę złotych monet, nie miałoby sensu cię zabijać. Dużo łatwiej byłoby tu przyjść pod twoją nieobecność i je wykopać.

- Ale uważasz, że między faktem, iż moje siostry znalazły to złoto parę miesięcy temu, a tym, że teraz ktoś chciał mnie zabić, istnieje jakiś związek, prawda?

- Wydaje się to mało prawdopodobne.

- To dlaczego ktoś chciałby mnie zabić? Jestem archiwistką w Towarzystwie Historycznym, a nie jakimś międzynarodowym szpiegiem czy milionerką, czy nawet bogatą modelką, która rzuca zazdrosnych kochanków jednego po drugim.

- Może ten człowiek strzelał do ciebie bez żadnej logicznej przyczyny. - Steve ze smakiem pociągnął koniak z kieliszka Abby. - Może z niewiadomej przyczyny zwróciłaś na siebie uwagę jakiegoś autentycznego wariata. W końcu i ty, i twoje siostry przez cały tydzień byłyście gwiazdami prasy i telewizji.

- Masz na myśli kogoś w rodzaju tego, który dzwonił? - spytała z niedowierzaniem i odrobiną nadziei Abby.

- To jest jakaś możliwość, prawda? A taki wariat może mieć swoje powody, żeby do ciebie strzelać. Dla nas zupełnie irracjonalne, a dla niego całkowicie sensowne. Jak na przykład Brian Hinkley, który strzelał do prezydenta Stanów Zjednoczonych, żeby zwrócić na siebie uwagę Jodie Foster.

- Już sama nie wiem, czy lepiej być niedoszłą ofiarą wariata czy zwykłego kryminalisty - stwierdziła z niepewnym uśmiechem Abby. - Mogę się zastanawiać nad tym rozkosznym problemem aż do przyjazdu policji.

Steve nic nie odpowiedział. Wstał i z ponurym wyrazem twarzy zapalił światła na zewnątrz, które ożywiły taras, jasny teraz na ciemnym tle otaczających go drzew i krzaków. Chmury dymu unosiły się nad grillem, a węgiel drzewny syczał od spływającego nań tłuszczu.

- Pójdę zgasić grill i wyrzucić spalone resztki - stwierdził Steve. - W przeciwnym wypadku oprócz policji będziemy musieli wezwać straż pożarną.

Abby chwyciła go mocno za rękę.

- Proszę cię, nie wychodź, dopóki nie przyjedzie policja - poprosiła szeptem.

Przystanął na chwilę i lekko pocałował ją w czoło.

- Nic nam już nie grozi, skarbie. Morderca dawno uciekł. Może jest wariatem, ale na pewno nie jest głupi.

Abby przesunęła dłonią po oczach, wycierając łzy.

- Wiesz, co mnie najbardziej wścieka? Że przez jakiegoś oszalałego kretyna z pistoletem nie mogę się czuć bezpieczna we własnym domu. Za to go nienawidzę.

Steve przesunął palcami po jej mokrych policzkach.

- Znajdziemy go, Abby. Obiecuję ci.

Na krótką chwilę, przytulona do Steve'a, uwierzyła w jego obietnicę.

Dwaj policjanci, młody oficer w mundurze i detektyw w dżinsach, przyjechali, kiedy Steve dogaszał palenisko pod grillem. Oficer w mundurze zajrzał pod każdy krzak, przyświecając sobie potężnym reflektorem, a detektyw

zadawał pytania. Obaj policjanci byli grzeczni, przejęci i nastawieni dość sceptycznie do możliwości ujęcia przestępcy.

- Czy jest pani absolutnie pewna, że nie ma pani żadnych wrogów? - zapytał powtórnie detektyw. - Większość wypadków z bronią zdarza się w trakcie popełniania przestępstwa, na przykład przy włamaniu do domu lub kradzieży auta. Prawie wszystkie tego rodzaju postrzelenia popełniane są przez ludzi znanych ofiarom. Na przykład zazdrosnych mężów czy urażonych znajomych.

- Mój mąż i ja rozstaliśmy się ku obopólnemu zadowoleniu i nie mam urażonych kolegów.

Abby wydawało się, że w ciągu ostatnich kilku dni powtórzyła już te słowa kilkanaście razy, ale to, co mówił detektyw - podobnie jak przedtem porucznik Knudsen - przypomniało jej o anonimowym rozmówcy telefonicznym. To przecież mogła być ta sama osoba.

Przez moment wahała się, czy wspominać policjantom o czymś, co sama nie bardzo chciała przyjąć do wiadomości. Detektyw był spostrzegawczym człowiekiem.

- Mam wrażenie, że chciała pani coś jeszcze dodać.

- Chyba tak - przyznała. - Choć tak naprawdę nie wierzę, że jedna rzecz ma coś wspólnego z drugą.

- Pozwoli pani, że o tym ja zadecyduję. Abby wcisnęła ręce w kieszenie dżinsów.

- W zeszłym tygodniu miałam dwa nieprzyjemne telefony

- stwierdziła wreszcie. - Anonimowe. Kiedy zgłosiłam je na policję, porucznik Knudsen zauważył, że anonimowe telefony na ogół pochodzą od byłych współmałżonków lub urażonych kolegów. Pan teraz mówi to samo.

- Rozumiem. - Detektyw zapisał coś w notesie. - Czy ktoś rozmawiał już z firmą telefoniczną, żeby założyli u pani podsłuch?

- Tak, wszystko jest już załatwione.

- Z kim pani rozmawiała w Denver?

- Z porucznikiem Knudsenem.

Detektyw przerwał pisanie, podniósł głowę i spojrzał na Abby ze zdumieniem.

- Z Knudsenem? Dlaczego Stanowe Biuro Śledcze zajmuje się zwykłą sprawą anonimowych telefonów?

- To nie jest taka zwykła sprawa - wtrącił Steve. Do tej pory słuchał tylko i milczał. - W lipcu zeszłego roku przyrodni brat Abby został zabity w strzelaninie w Denver. Abby i jej siostry odziedziczyły po ojcu wagon pełen złota konfederatów, dawno uznanego za zaginione.

Detektyw spojrzał na Abby z nowym zainteresowaniem.

- Pamiętam, czytałem o tym w prasie. Media poświęciły tej sprawie wiele uwagi.

- O wiele za dużo z mojego punktu widzenia - stwierdziła niechętnie Abby.

- Jednakże to wzmożone publiczne zainteresowanie może być przyczyną anonimowych telefonów. Zwróciła pani na siebie uwagę jakiegoś poszukiwacza skarbów. Albo innego wariata, jednego z tych, którzy tylko czyhają na takie wiadomości. W naszej okolicy mieszka kilka powszechnie znanych osób i też mają ogromne problemy z nawiedzonymi, którzy telefonują do nich o każdej porze dnia i nocy. Nie uwierzyłaby pani, jakie rzeczy potrafią wygadywać.

- No właśnie - zaczęła Abby.

- Ale to jeszcze nie wszystko - znów wtrącił Steve. - Trzy dni temu wiceprezesa Banku Federalnego w Denver zastrzelono we własnym domu, gdy zaskoczył włamywacza. Wiceprezesa banku zabito z tej samej broni co brata Abby. Ponadto Abby była umówiona na spotkanie z panem Taylorem, tym zabitym wiceprezesem, żeby omówić pomyłki i błędy, jakie popełniono w banku przy obsłudze jej konta. Do tego wszystkiego anonimowe telefony do Abby zaczęły się następnego dnia po morderstwie Howarda Taylora.

Detektyw gwizdnął cicho. Abby nie miała mu tego za złe. Kiedy Steve przedstawił suche fakty, skondensowane w trzech zdaniach, zabrzmiały one dość zaskakująco. Nie zdziwiło jej, że detektyw odwrócił się w jej kierunku i obrzucił ją podejrzliwym spojrzeniem. Mogła sobie wyobrazić, że powoli zaczyna sobie wyrabiać o niej zupełnie inne zdanie niż na początku. Nikt nie strzela do porządnych, przestrzegających prawa obywateli na tarasach ich własnych domów. Porządni, przestrzegający prawa obywatele nie mają braci, którzy giną w ulicznej strzelaninie od broni, z której później ktoś zabija wiceprezesa banku.

- Od kilku miesięcy co i rusz ociera się pani o podejrzone wydarzenia i indywidua - stwierdził detektyw, starając się, aby jego głos zabrzmiał jak najbardziej neutralnie i obojętnie.

- Cała sytuacja wydaje się bardziej dramatyczna, niż jest w rzeczywistości - zaprotestowała Abby, choć nawet dla niej samej brzmiało to nieprzekonująco.
- To moje siostry były narażone na niebezpieczeństwo, gdy poszukiwały złota - dodała czym prędzej tonem usprawiedliwienia. - Nie było mnie wtedy w mieście i nie miałam pojęcia, co się dzieje. A poza tym cała ta historia ze złotem konfederatów jest już nieaktualna. Złoto zostało zamienione na pieniądze, mój przyrodni brat nie żyje.

- Jest pani pewna?

- Owszem. Ale jeśli chciałby pan to sprawdzić, to porucznik Knudsen na pewno pokaże panu protokół sekcji zwłok. Ciało mojego brata zostało podziurawione kulami z dwóch różnych rodzajów broni. Dostał przynajmniej pięć śmiertelnych strzałów.

- I jednego z tych pistoletów nigdy nie odnaleziono?

- Nie. Patolog stwierdził, że brata zabiła ostatecznie kula kalibru czterdzieści pięć, a zatem nie zginął od kuli z pistoletu marki Webley. Jestem pewna, że policja prowadziła poszukiwania, ale tej akurat broni nie potrzebowali, żeby zakończyć sprawę. Sam pan wie, jak to jest. Nikt się tym

pistoletem zbytnio nie przejmował, dopóki nie zastrzelono z niego Howarda Taylora.

- Mhm. - Detektyw zapisał wszystko starannie, a potem zawołał do kolegi: - Wyciągnąłeś już te kule ze ściany, Gerry?

Umundurowany policjant wszedł do pokoju i pokazał trzy kule w plastikowej torebce.

- Wyglądają na kule z karabinu - stwierdził detektyw. Policjant w mundurze pokiwał twierdząco głową.

- I to z takiego najzwyklejszego.

- Na pewno nie zostały wystrzelone z webleya kaliber trzydzieści osiem? - spytała Abby. Mimo iż jej ojciec był zapalonym myśliwym, sama nie cierpiała broni palnej i miała o niej niewielkie pojęcie.

- Nie, proszę pani, to z całą pewnością nie są kule kalibru trzydzieści osiem - odparł z przekonaniem detektyw.

- Webley nie jest w naszym kraju szczególnie popularny - dodał młody policjant, chcąc ją uspokoić. - Przynajmniej nie w dzisiejszych czasach. Produkowano je głównie dla armii brytyjskiej podczas drugiej wojny światowej. Anglicy używali ich także w Korei. Są łatwiejsze w użyciu niż kaliber czterdzieści pięć, choć równie skuteczne.

Abby z ulgą oparła się o Steve'a, choć nie umiała wyjaśnić, dlaczego poczuła się lepiej na wieść, iż strzelano do niej z broni myśliwskiej, a nie z tego samego pistoletu, z którego zabito Douglasa i Howarda. Celna kula jest zawsze śmiertelna.

Jednakże świadomość, że cała ta sprawa nie łączy się bezpośrednio ze śmiercią jej przyrodniego brata ani Howarda Taylora, znacznie poprawiła jej nastrój.

- Może to naprawdę był jakiś myśliwy - mruknęła, błagając w duchu policjantów, żeby przyznali jej rację.

- W narciarskiej czapce nasuniętej na twarz, na tarasie za pani domem? -
zdziwił się detektyw. - Na co, pani zdaniem, miałby tam polować? Na myszy?

- Ale nikt przecież nie ma powodu, żeby mnie zabijać! Do diabła! Jestem osobą porządną, dobrze zorganizowaną i... nudną! Jaka tam ze mnie ofiara napadu?!

- Na pani miejscu dobrze bym się nad tym zastanowił. W gruncie rzeczy ludzie popełniają morderstwa z bardzo niewielu powodów. Seks, pieniądze, zemsta. Obawa, że jakiś sekret wyjdzie na jaw albo że wykryje się jakieś przestępstwo. To mniej więcej tyle. Na pani miejscu spisałbym mężczyzn, którzy mogą się czuć zawiedzeni brakiem wzajemności z pani strony, oraz osoby, które dziedziczą po pani śmierci. Natomiast jeśli dojdzie pani do wniosku, że wie coś szczególnego o kimś ze swoich znajomych, proszę się podzielić tą wiedzą z porucznikiem Knudsenem lub ze mną. Raczej szybko. Pani niedoszły morderca z pewnością nie będzie zabijał, aby zachować tajemnicę, która przestanie już nią być.

- Nie znam żadnych tajemnic ani żadnych skandali - stwierdziła z rozpaczą Abby. - Przynajmniej aktualnych. Skandale, którymi się zajmuję w Towarzystwie Historycznym, mają co najmniej pięćdziesiąt lat. Nikt nie będzie chyba do mnie strzelał, bo wykryłam, iż dyrektor zarządzający pracami publicznymi w latach trzydziestych brał łapówki.

- Na pani miejscu nie byłbym taki pewien - rzucił policjant. - Niektóre pięćdziesięcioletnie skandale mają dużą siłę rażenia i oddziaływania aż po dzisiejsze czasy. Długo dojrzewały w ciemnościach. Niech się pani zastanowi i przygotuje te listy - dodał, wyciągając do niej rękę na pożegnanie.

- Niech pani dobrze pozamyka wszystkie drzwi i okna, i nie staje na tle oświetlonych okien z przejrzystymi zasłonami - powiedział detektyw. - Jeśli się czegoś dowiemy albo będę potrzebował dodatkowych informacji, zgłoszę się do pani w Denver. Być może dowiemy się czegoś konkretnego po zbadaniu tych

kul w policyjnym laboratorium - stwierdził niezbyt optymistycznym tonem. - Dobranoc pani. Dobranoc panu.

Po wyjściu policjantów w pokoju zapanowała nienaturalna cisza. Steve przez kilka minut chodził niespokojnie z kąta w kąt, wreszcie przystanął przed Abby.

- Ten policjant ma rację - stwierdził szorstko. - Wiesz o czymś niebezpiecznym, o czymś, co komuś zagraża. I ktoś gotów jest cię zabić, żebyś tylko nic nie powiedziała.

- Wszystko, czym się zajmuję w Towarzystwie Historycznym, jest ogólnie dostępne. Moja śmierć nie będzie miała żadnego znaczenia, bo mój następca...

- Nie mówię o Towarzystwie Historycznym, ale o tym, co się dzieje tu i teraz. O twoim życiu osobistym. O twojej rodzinie.

- Masz na myśli Douglasa, prawda? - spytała z westchnieniem Abby. - Chcesz, abym odnalazła jakieś tajemnicze powiązanie między moim przyrodnim bratem a Howardem Taylorem. Do diabła, Steve, nie ma takiego powiązania!

- Tak przynajmniej twierdzisz. - Steve zmarszczył czoło i nagle twarz mu się rozjaśniła. - Przecież wiemy, co ich łączyło - powiedział powoli. - Mój Boże, Abby! Przecież my to wiemy! - wykrzyknął triumfalnie, jak magik wyciągający królika z kapelusza. - Jak mogliśmy zapomnieć? Chodzi oczywiście o pistolet marki Webley, kaliber trzydzieści osiem!

Abby nawet nie usiłowała ukryć irytacji.

- Daj spokój, Steve. Jakaż to tajemnica? Kto chciałby mnie zabić z powodu faktu, o którym wie każdy policjant w Kolorado?

- Wiedzą, że użyto tej samej broni, ale nie mają pojęcia, kto strzelał.

- Dwóch różnych ludzi - stwierdziła zimno Abby, jeszcze bardziej zirytowana. - Douglasa zastrzelił jakiś bandzior z Las Vegas. Taylora zabił włamywacz przyłapany na gorącym uczynku.

- Skąd wiesz, że to prawda? A jeśli była to ta sama osoba?

- Wczoraj wieczorem bardzo długo mnie przekonywałeś, że dwukrotne użycie tej samej broni było zwykłym zbiegiem okoliczności - zaprotestowała Abby.

- To było, zanim ktoś chciał cię zabić - wyjaśnił Steve, zaciskając usta w wąską linię. Wziął rękę Abby w swoje dłonie i mocno je ścisnął. - Posłuchaj, jeżeli ten sam człowiek dwa razy zabijał z tej samej broni, to nie może to być jakiś złodziejasek z sąsiedztwa. To musi być ktoś, kto ma dużo do stracenia. I jakieś tajemnice związane z przeszłością i z teraźniejszością. Tajemnice, które ty najwyraźniej znasz.

Abby chciała zaprzeczyć, ale Steve nie dopuścił jej do głosu.

- W twoich rękach leży wykrycie tajemnicy, która doprowadzi cię wprost do mordercy. Do człowieka, który zabił już co najmniej dwie osoby.

- Ja o niczym nie wiem! - zaprotestowała Abby. - Żebyś nie wiem jak długo wiercił mi dziurę w brzuchu, razem z policją, nie powiem wam tego, o czym sama nie wiem.

- To zacznij myśleć, może ci się jednak coś przypomni - upomniał ją ostro Steve. - Na litość boską, nie rozumiesz, że od tego może zależeć twoje życie?

ROZDZIAŁ 6

Abby miała ochotę się roześmiać, ale dała spokój. Powiedziała tylko ironicznym tonem:

- Dobrze, załóżmy, że w tych starych, rodzinnych papierach, którymi się teraz zajmuję, tkwi jakaś złowróźbna tajemnica. Ojciec prawdopodobnie zostawił nam ukryte przesłanie: „Drogie moje córeczki, strzeżcie się straszego pana X. Chce was wszystkie zamordować, żeby zagarnąć rodzinny majątek”.

Steve tylko na nią spojrzał i Abby zbladła.

- O Boże, Steve, ja tylko żartowałam.

- Naprawdę? - spytał cicho. - Zastanów się nad tym, co powiedziałaś.

Abby gwałtownie usiadła na kanapie. Czyżby wypowiedziała prawdę, którą podświadomie chciała ukryć? Z pewnością jej wykształcenie i doświadczenie pozwoliłoby odkryć rodzinne tajemnice, o ile takie istniały. Ale dlaczego nieprzyjemne fakty z życia Deane'ów miałyby stanowić zagrożenie dla kogoś obcego? Cóż takiego mogła wiedzieć?

- Wziąwszy pod uwagę wszystkie rodzinne tajemnice, które wyszły na jaw dopiero po śmierci ojca, nie mogę się, oczywiście, bezsensownie upierać, że nie istnieje już nic więcej - stwierdziła, wzruszając ramionami.

- A ty przecież nigdy nie postępujesz bezsensownie - zauważył z lekkim uśmiechem Steve. - Doskonale pamiętam, jak mi tłumaczyłaś, że twoje życie i postępowanie są uporządkowane i logiczne. W przeciwieństwie do mojego.

- Może byłbyś tak uprzejmy i wskazał mi, gdzie mam zacząć szukać tych strasznych sekretów. Linsey zupełnie przypadkiem dowiedziała się o romansie ojca i o istnieniu naszego przyrodniego brata Douglasa. Nie szukała żadnych tajemnic - podkreśliła ze złością Abby.

- Co byś zrobiła, gdybyś zetknęła się z takim problemem w pracy?

- Określiłabym teren prawdopodobnych poszukiwań i zaczęła od tego miejsca:

- I dlatego mamy tu pewien problem. Nie wiemy, od czego zacząć, prawda?

Abby milczała. Wpatrywała się w Steve'a nie widzącym wzrokiem, czując, że coś zaczyna jej świtać.

- Poczekaj, muszę się nad tym zastanowić po kolei! - zawołała, podnosząc rękę i odliczając na palcach: - Po pierwsze: ktoś w banku kradnie pieniądze. To wiemy na pewno, tak? Po drugie: uważasz, że Howard Taylor został zamordowany, bo wpadł na trop defraudanta. Po trzecie: ktoś chciał mnie zabić dziś wieczorem, bo jestem dla niego niebezpieczna. Po czwarte: osoba, dla której jestem niebezpieczna, jest tą samą osobą, która zabiła Taylora. I jest także defraudantem. No i co, jak mi idzie? - spytała, unosząc do góry jedną brew.

- Fantastycznie. Wspaniale. Teraz musimy jedynie zidentyfikować oszusta i mamy naszego mordercę.

- Nie ma problemu - rzuciła Abby. - Jeszcze pół minuty i podam ci jego nazwisko.

Wbiła wzrok w sufit, a potem, sfrustrowana, że nic jej nie przychodzi na myśl, oparła głowę na rękach, pochylając się do przodu.

- To beznadziejne, Steve. Kręcę się w kółko i nic z tego nie wynika. Oszust jest pracownikiem banku, a ja nie znam tam nikogo oprócz Keitha Bovery'ego.

Ledwie wypowiedziała te słowa, zerwała się z kanapy, jakby rażona prądem. Spoglądali na siebie ze Steve'em w absolutnym zdumieniu.

- Wielki Boże! - wykrzyknął Steve. - Keith Bovery!

- Keith Bovery - powtórzyła szeptem Abby. - Tym razem nie żartuję. On jest związany z naszą rodziną od wieków. Ojciec mógł znać jego najtajniejsze sekrety.

- I jest jedyną osobą w banku, która wiedziała, że oszustwa i matactwa wyszły na jaw - przypomniał jej Steve. - A to znaczy, że jest jedynym człowiekiem, który miał istotny powód, żeby zabić Howarda Taylora.

- Piwnica! - zawołała Abby, łapiąc go za ramię. - Tam są pudła z wszystkimi papierami ojca. Założę się o pieniądze naszej rodzinnej fundacji, że coś w nich znajdziemy. Ależ ze mnie idiotka! Sama powiedziałam dziś rano Keithowi Bovery'emu, że wybieram się tutaj, żeby szperać w papierach ojca. Sama dałam mu powód do morderstwa. Po prostu wręczyłam mu go na srebrnej tacy.

- Ale dlaczego miałby zabijać twojego brata?

- Może Douglas go szantażował? - podsunęła Abby. - Posłuchaj, Steve, to wszystko wreszcie nabiera sensu. Keith Bovery jest jedyną osobą w banku, której mogę zagrażać. Wyobrażam sobie, że jest śmiertelnie przerażony.

- Wiesz, Abby - zaczął Steve, marszcząc brwi - w ciągu ostatnich kilku tygodni spędziłem wiele czasu z Keithem Boverym. Jakoś nie zrobił na mnie wrażenia człowieka zapędzonego w kozi róg. Owszem, był przejęty oszustwem bankowym, ale raczej nie był w to zaangażowany osobiście. Tylko jako prezes banku.

Abby nie słuchała. Woląла nadal bawić się w grę pod tytułem:

„Poszukiwanie mordercy”, niż na serio rozważyć, iż strzelał do niej stary przyjaciel rodziny.

- Może Keith popełnił bigamię - zasugerowała, ignorując słowa Steve'a. - Wielu naszych żołnierzy żeniło się z Koreankami, a potem porzucało je, kiedy kończyła im się służba i wracali do Ameryki. Większość pieniędzy Keitha to majątek jego żony. Miałby wielkie kłopoty, gdyby się okazało, że jego małżeństwo z Helen nie było ważne. Straciłby wszystko w mgnieniu oka.

- Nieźle zarabia w banku - przypomniał Steve.

- Jeśli przyzwyczał się do życia w luksusowych warunkach, pensja z banku to pestka. Co to jest sto tysięcy rocznie, jeśli się przedtem wydawało

miliony? - Abby coraz bardziej zapalała się do swego pomysłu. - Chodźmy do piwnicy i zabierajmy się za poszukiwania. Na początek mamy to pudło ze zdjęciami i z listami.

- Chętnie będę z tobą pracował całą noc, ale najpierw Odgrzeję nam zupę z puszki.

- Nie jestem głodna.

- To nie potrwa długo, Abby. Musisz być rozsądna. Wytrzymasz przecież pięć minut. Nie jedliśmy niczego przez cały dzień, a te dokumenty nam nie uciekną.

Abby pięć minut wydawało się wiecznością. Podekscytowana, zapomniała o głodzie.

- Nie będę tu beczynnienie siedziała. Przynieś mi zupę na dół, jak ją zagrzejesz, dobrze?

Nie czekając na odpowiedź Steve'a, podeszła szybko do wejścia do piwnicy i otworzyła ciężkie drzwi. Zapach dymu sprawił, że się rozkaszała.

- Fuj! - mruknęła. - Spalona kukurydza zawsze strasznie śmierdzi. Chyba zostawiłam tu otwarte okno. Jesteś pewien, że zgasiłeś grill? - zawołała przez ramię do Steve'a.

- Tak - dobiegła ją cicha odpowiedź z okolic kuchni. - Wolisz zupę grzybową czy pomidorową?

- Grzybową.

Ciężkie drzwi do piwnicy zamknęły się z trzaskiem. Abby zapaliła światło i zbiegła w dół po stromych, drewnianych schodkach. Kiedy rzuciła okiem w kąt, gdzie leżały wszystkie papiery ojca, stanęła jak wryta z przerażenia. Z równo ustawionych kartonowych pudeł wydobywały się kłęby gryzącego dymu. Pomarańczowe języki ognia lizały już dna pudeł, a jeden długi jęzor sięgał do pobliskich półek. Półki, dzięki Bogu, nie były z prawdziwego drewna i nie poddawały się żywiołowi, przynajmniej nie od razu.

Abby odzyskała władzę w nogach i w płucach.

- Steve! - krzyknęła na cały głos.

Ciężkie, grube drzwi skutecznie tłumiły wszelki hałas. Abby podbiegła do starego, kamiennego zlewu, przy którym stała pralka i suszarka.

- Steve! - krzyknęła znów, jak mogła najgłośniej. - Steve, chodź tu prędko.

Dym wdzierał jej się do płuc. Kaszląc i krztusząc się, sięgnęła pod zlew po plastikowe wiaderko, wyrzuciła z niego stos szmat i podstawiła pod kran z wodą, modląc się w duchu, żeby nie przeciekało.

Przestępując nerwowo z nogi na nogę, popędzała wzrokiem wolno ciekącą wodę. Obawiała się, że w tym tempie nigdy nie uda jej się ugasić ognia, a przecież musiała ratować dokumenty.

Zatkała zlew korkiem, zostawiając odkręcony kran i prędko ruszyła z wiadrem w stronę kąta, gdzie tliły się stare papiery. Dym jakby się zmniejszył, ale płomień ognia sięgały coraz wyżej i dalej. Abby już z pewnej odległości czuła żar. Jednym ruchem wylała wodę w środek ognia i płomień przygasły z sykiem, buchając śmierdzącym dymem.

Wiedziała, że to jeszcze nie koniec.

Kiedy się odwracała, żeby znów przynieść wody, kątem oka widziała już kolejny płomień, pełznący w kierunku półek.

Na litość boską, ile czasu można podgrzewać puszkę zupy?! Modliła się teraz, żeby Steve nie zaczął dosmaczać i urozmaicać zupy, lecz jak najszybciej zszedł na dół. Jeśli udałooby jej się powstrzymać ogień jeszcze przez parę minut, Steve na pewno zdążyłby przyjść jej z pomocą.

Jej działania stały się w pełni automatyczne: nabranie wody do wiadra z pełnego zlewu, bieg do palących się kartonów, chlust wody na płomień, kolejny syk, kolejna chmura czarnego dymu, powrót do zlewu, nabranie wody, zalanie przygasających płomieni, powrót biegiem do zlewu.

W powietrzu fruwały czarne skrawki spalonego papieru, wyłożona linoleum podłoga była kompletnie mokra i śliska, ale wysiłki Abby zaczynały

przynosić efekty. Większość płomieni została skutecznie zalana wodą. Abby trochę się uspokoiła. No proszę, Steve podgrzewał na górze zupkę i smarował masłem grzanki, a ona w tym czasie ratowała dom przed pożarem.

Po raz szósty nabierała właśnie wody ze zlewu, gdy zgasło światło. Przypuszczalnie jakiś przewód elektryczny stopił się od gorąca i spowodował awarię. Trzask obsuwającego się kartonu zabrzmiał w ciemności strasznie głośno - niemal przerażająco. Abby zadrżała i zaraz skarciła się w duchu. W piwnicy przecież nic się nie zmieniło tylko dlatego, że zgasło światło. Nadal było to pomieszczenie pełne wspomnień z dzieciństwa, choć... W tej chwili zaczęło nabierać jakiejś dziwnej osobowości. Coś tu oddychało, żyło, obserwowało ją z ukrycia. Do tej pory Abby nigdy nie bała się ciemności, ale też do tej pory nikt nigdy do niej nie strzelał.

Zaciskając zęby i starając się zignorować rosnący strach, postanowiła wylać na kartony jeszcze jedno, ostatnie wiaderko wody. Nie mogła iść na górę, nim całkiem nie zgasi ognia. To był prawdziwy cud, że zeszła na dół, gdy ogień dopiero zaczynał się rozprzestrzeniać. To powinno jej poprawić humor, niestety nie mogła zapomnieć o zniszczonych papierach ojca. To, co zostało, było nasączone wodą i prawdopodobnie nie nadawało się do odcyfrowywania.

Powoli wymacując wokół siebie drogę, dotarła z ciężkim wiaderkiem do tłących się resztek. Ze smutkiem wylała wodę na zwęgloną masę papieru i kartonu. Ostatni płomyk zamigotał i zgasł. Abby otaczała teraz zupełna ciemność.

Huk książek spadających z półek zabrzmiał w piwnicy jak eksplozja. Abby poczuła nagły, ostry i paraliżujący ból głowy. Musiało ją uderzyć coś, co spadło z półki. Przypuszczalnie jakaś ozdoba stojąca tam razem z książkami. Abby zachłysnęła się, starając się powstrzymać mdłości. Odetchnęła głęboko i poczuła się jeszcze gorzej, wciągnąwszy do płuc okropny, śmierdzący dym.

W ciemnościach rozbłysł promień światła.

- Abby? - Głos Steve'a. - Abby, co się tu dzieje?

- Steve!

Nie była pewna, czy powiedziała jego imię na głos. Poczula otepiający ból za lewym uchem. Coś znów ją uderzyło. Czy też ktoś ją uderzył? Ktoś ją celowo uderzył? Usiłowała się odwrócić, żeby zobaczyć niewidocznego napastnika, ale nogi się pod nią ugięły i odmówiły posłuszeństwa.

Steve! Chciała krzyknąć, aby go ostrzec, ale udało jej się tylko cicho jęknąć. Boże, nie mogła przecież teraz umrzeć. Nie teraz! Nie; gdy Steve już do niej idzie.

Upadła twarzą w zamokłe szczątki dokumentów ojca i czuła, że traci oddech.

Pochłonęła ją ciemność.

Dzień, niestety, nie zakończył się tak wspaniale, jak można się było spodziewać. Wieczór był, prawdę mówiąc, zupełnie do niczego.

Morderca jechał Boulder Turnpike środkowym pasem, ze stałą prędkością siedemdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę. W żadnym wypadku nie chciał zwrócić na siebie uwagi policji drogowej, choć już przed dwudziestoma minutami wyrzucił do śmieci strzelbę, razem z czapką narciarską i ocieplaczami do rękawiczek. W Kolorado, pełnym entuzjastów narciarstwa, czapki narciarskie i ocieplacze do rękawiczek były czymś absolutnie powszechnym. Myśliwskie strzelby entuzjastów polowań też nie były rzadkością. Ich kupno nie stwarzało najmniejszego problemu. Policja nigdy nie odnajdzie właściciela i nie znajdzie mordercy.

Natomiast smutnym faktem było, że Abigail Deane nadal żyła. A powinna już dawno być martwa. Należało się z tym pogodzić i działać dalej, będąc przygotowanym na najgorsze.

Oczywiście nie cały dzień poszedł na marne. Koreańskie pamiątki Ronalda Deane'a poszły z dymem i nie było już możliwości, żeby jakiś dawno zapomniany list czy zdjęcie nagle ujrzały światło dzienne. A te najważniejsze, najbardziej istotne dokumenty znikły rano z mieszkania Abigail.

Usiadł wygodniej za kierownicą, rozkoszując się własną poranną działalnością. Precyzyjnie wykonane włamanie było pełnym sukcesem. Fakt jednak pozostawał faktem: jeśli Abigail kiedykolwiek czytała te listy i zauważyła świadectwa, zwłaszcza świadectwo zgonu - morderca nigdy nie będzie mógł spać spokojnie. Abigail była archiwistką; w jej zawodzie zapamiętywanie starych, mało ważnych świstków papieru było podstawową umiejętnością.

Tak czy inaczej, Abigail Deane powinna była zginąć. Upaść martwa na tarasie swego domu w Boulder. Tak jak wcześniej upadł Taylor. Morderca uderzył pięścią w kierownicę. Niech szlag trafi tego przekłętego Steve'a Kramera!

Prawdę mówiąc, on też zasłużył sobie na śmierć. Nie ze względu na to, co robił w banku. Dociekania na temat błędów w księgowaniu i oszustw zostały sprytnie kierowane na fałszywy trop i nie stanowiły żadnego zagrożenia. Steven Kramer cieszył się opinią doskonałego śledczego finansowego, ale nawet jego bystre oczy nigdy nie odgadną, kto kryje się za defraudacją. We wszystkich zasadniczych operacjach komputerowych wykorzystano hasło Taylora i już pierwszy trop okazywał się martwy. Martwy. Takie ładne słowo. Zupełnie jak stary Howard. Martwy. I nikt nie mógł już dowieść jego niewinności, bo zagięła cała zawartość specjalnej teczki.

Gdyby jednak, z jakiegoś dziwnego powodu, Steven Kramer upierał się, aby pójść w swych dochodzeniach trochę głębiej... To też zostało już załatwione. Jeśli Kramer nie zechciałby przyjąć, że wszystkiemu winien był Howard Taylor, istniały ślady, które mogły go doprowadzić do innego oszusta. Podwójna intryga. Wspaniała, genialna, subtelna podwójna intryga.

Uśmiechnął się z zadowoleniem. Operacja „Howard” zakończyła się całkowitym sukcesem. A operacja „Abigail Deane” już wkrótce zakończy się podobnym. Następnym razem. Podwójnym sukcesem, bo Steven Kramer zginie

razem z Abigail śmiercią powolną i okrutną. Za karę, za to, że przeszkodził w realizacji planu, i to nie jeden, lecz dwa razy.

Zerknął we wsteczne lusterko i zmienił pas autostrady, lekko przyspieszając. Nie było śladu policji. Podniecenie walczyło przez moment z ostrożnością i podniecenie wygrało. Nacisnął na gaz. Dziewięćdziesiąt. Sto pięć. Sto dwadzieścia kilometrów na godzinę. Prędkość sprawiała mu przyjemność. Tak się będzie czuł, gdy Abigail Deane i Steven Kramer wreszcie zginą. Trzask, prask! Adrenalina pójdzie w górę. Wysoko aż do gwiazd. Zobaczysz, Ronaldzie Deane. Zginie jedna z twoich córek, a później może także dwie pozostałe. Nie dlatego, że Kate i Linsey coś wiedzą. Nie, za karę. Za to, co ty zrobiłeś mnie.

Sto czterdzieści kilometrów na godzinę. Dreszcz rozkoszy był po prostu niewiarygodny. Niestety, nie można sobie było na to pozwolić na dłuższą metę. To byłaby głupota. W życiu niczego się głupotą nie osiągnie. Zwolnił i powoli wrócił do przepisowej prędkości siedemdziesięciu pięciu kilometrów.

Wciąż nigdzie nie było widać samochodu policyjnego. Ich nigdy nie ma tam, gdzie są potrzebni. Łamanie prawa nie nastęczało większych trudności. Już od wielu lat wykorzystywał ten fakt.

Teraz westchnął z satysfakcją. Zabijanie też nie nastęczało większych trudności. Tak samo jak żadne inne przestępstwo, jeśli tylko potrafiło się je odpowiednio zaplanować i wykonać. Dzisiejsze niepowodzenie było jedynym zgrzytem w dotychczasowym zwycięskim marszu.

Uważaj, Abigail Deane! Uważaj, Stevenie Kramerze! I niech cię piekło pochłonie, Ronaldzie Deane, o ile już cię na zawsze nie pochłonęło.

Abby wiedziała, że żyje, bo czuła się okropnie. Trzęsła się z zimna, była cała mokra i śmierdziała dymem. Serce jej waliło, oczy bolały, w gardle drapało, a żołądek nie mógł się zdecydować, czy opaść gdzieś w okolice pięt, czy wplątać się między żebra. Na razie co chwila podchodził jej do gardła. Jedyną korzystną rzeczą w obecnej sytuacji była silna, szeroka, męska pierś, na której

się opierała. Pierś Steve'a. Abby wsunęła nos w miękki sweter. Tak, to niewątpliwie był Steve.

Powoli przyjęła w miarę pionową pozycję. Czyżby jej wrogowi znów udało się uciec? Spróbowała spytać o to Steve'a, ale z jej podrażnionego dymem gardła wydobył się jedynie jakiś bliżej nieokreślony dźwięk, coś między jękiem a piskiem.

Steve przyjął to entuzjastycznie. Uśmiechnął się szeroko i delikatnie odsunął jej z czoła wilgotny kosmyk.

- Witaj, ślicznotko.

- Mhm.

- Abby, skarbie, nic nie mów. Odpocznij sobie. Rozumiesz, co mówię?

- Mhm.

- Wspaniale poradziłaś sobie z pożarem, Abby. Naprawdę fantastycznie.

- Mhm.

- Chyba nic sobie nie połamałaś, ale za uchem masz wielkiego guza. Coś na ciebie spadło, kiedy zawaliły się półki na książki.

Wreszcie udało jej się wydobyć z gardła jakieś normalne słowo.

- Nie.

Potrząsnęła przy tym głową, co okazało się poważnym błędem.

Zaczekała, aż minie najgorszy ból, i znów spróbowała.

- Uderzył. Ktoś mnie uderzył.

- Co? Chcesz powiedzieć, że ktoś cię zaatakował? Stąd ten guz?

Abby wstrząsnęła się na głośnie słowa Steve'a.

- Nie widziałeś, kto to zrobił? - spytała zachrypniętym głosem.

- Nikogo nie widziałem. Nie przyszło mi do głowy, że ktoś tam jest na dole razem z tobą. Okno w piwnicy było otwarte, wiał w tę stronę wiatr i pomyślałem, że pożar wybuchł od iskry z grilla. - Steve złapał ją za rękę. - Czy jesteś pewna, że ktoś cię uderzył, Abby? Że to nie był przypadek?

Zastanawiała się przez dłuższy czas.

- Nie - powiedziała. - Nie jestem całkiem pewna.

Steve zerwał się na nogi.

- Musimy zadzwonić na policję.

Abby oparła się o poduszki na kanapie.

- Najpierw zadzwońmy do Keitha Bovery'ego - wychrypiła. -

Sprawdźmy, czy jest w domu.

- Doskonały pomysł jak na osobę, którą przed chwilą coś rąbnęło w głowę
- pochwalił Steve, okrywając jej kolana kocem. - Nie wstawaj, zaraz wrócę.

Chyba żartował. Nie była w stanie ruszyć palcem. Przyglądała się tylko, jak Steve przeszedł przez pokój i wykręcił numer. Czuła się tak, jakby ktoś wbijał jej w głowę tysiące gwoździ. Kiedy usłyszała, jak mówi: „Halo, Keith, cieszę się, że zastałem cię w domu”, zamknęła oczy i przestała słuchać. Liczba gwoździ zmniejszyła się do pięćdziesięciu.

- Keith Bovery mówi, że był w domu całe popołudnie - powiedział Steve, wracając. - Mówi, że nadrabiał braki w lekturze i że nie widział nikogo, odkąd w południe wyszedł z banku. Uważał, że to dziwna pora na telefon, żeby się umówić na spotkanie na poniedziałek.

- Czy mógłby tak szybko wrócić do Denver, gdyby... był tu wcześniej?

Nie była w stanie powiedzieć: „Gdyby zaatakował mnie w piwnicy”.

Steve spojrzał na zegarek.

- Jedenasta. Jeśli na autostradzie był mały ruch i jechał dość szybko, chyba mógłby już dojechać do domu.

- Czyli nadal nic nie wiemy.

Abby znów zrobiło się niedobrze i tym razem nie miało to nic wspólnego z jej stanem fizycznym. Czyżby poważnie rozważała teorię, że Keith Bovery chciał ją zabić? Czy naprawdę wierzyła, że powszechnie szanowany człowiek, który znał ją od dziecka, nagle zapragnął jej śmierci? Zadrzała z obrzydzenia i zacisnęła zęby.

Steve objął ją i drżenie powoli ustało.

- Zadzwoń do Knudsen - powiedział. - Oczywiście go nie było. Ale telefonistka powiedziała, że jeszcze dziś wieczorem przekaże mu wszystkie wiadomości.

- Policjantów nigdy nie ma, kiedy są potrzebni. Żołądek Abby znów zaczął wyczyniać harce. Steve, poważnie zaniepokojony, zmarszczył brwi.

- Abby, skarbie, przykro mi to mówić, ale wyglądasz dość okropnie. Jeśli nie przestaniesz zmieniać koloru twarzy z żółtego na zielony i z powrotem, będę musiał zawieźć cię na pogotowie.

- Lepiej zrób mi herbaty - poradziła z uśmiechem. - Za bardzo źle się czuję, żeby jechać teraz do szpitala.

Dopóki Steve nie wrócił z parującym dzbankiem, Abby nie myślała o niczym. Wykrzywiła się, kiedy spróbowała herbaty. Steve musiał wsypać trochę cukru. Mimo wszystko wypila dwa pełne kubki. Powoli wracało jej lepsze samopoczucie. Ból mijał i jej myśli stały się bardziej logiczne. Herbata najwyraźniej pomogła.

- Najbardziej złości mnie to, że papiery ojca po części się spaliły, a po części zostały zalane wodą - powiedziała, wpatrując się ponuro w pusty kubek. - Nigdy już nie odkryjemy sekretów Keitha Bovery'ego.

- Mam dla ciebie dobre wiadomości. Podniosła głowę i Steve uśmiechnął się do niej.

- To pudło, które tak cię wcześniej zaintrygowało, to z dokumentami i ze zdjęciami twego ojca, nie spaliło się razem z innymi, ponieważ nie było go w piwnicy.

- A gdzie?

- Przed kolacją zanieśliłem je do mojego pokoju.

- Steve, to cudownie! - wykrzyknęła. Kamień spadł jej z serca. -

Fantastycznie! Mamy szczęście! To właściwie zupełnie niewiarygodne - dodała, marszcząc czoło. - Dlaczego nagle postanowiłeś zatargać to pudło na samą górę?

- Spodziewałem się, że przy najbliższej okazji, zaraz po kolacji, pognasz z powrotem do piwnicy. A ja miałem inne plany na dzisiejszy wieczór - wyjaśnił.

- Nigdy bym się zresztą do tego nie przyznał, gdybyś nie była w tej chwili zbyt osłabiona, żeby myśleć o zemście.

- Z każdą chwilą czuję się lepiej.

Lekko przejechał ręką po jej wilgotnych, skręconych włosach, uśmiechając się łagodnie, gdy do dłoni przykleiły mu się skrawki nadpalonego papieru.

- Czy czujesz się na tyle dobrze, żeby wziąć prysznic?

- Z dziką przyjemnością.

Nim zdążyła usiąść, wziął ją na rękę.

- Zostaw, Steve - zaprotestowała. - Jestem stanowczo za ciężka.

- Droga Abby, pozwól, że zachowam resztki złudzeń co do mojej męskości, dobrze? Jak na razie bezsilnie przyglądałem się, gdy ktoś chciał cię zastrzelić. Potem pałętałem się po kuchni, gdy ty w pojedynkę ugasiłaś pożar. A kiedy wreszcie zszedłem do piwnicy, znów, jak gapa, nikogo ani niczego nie spostrzegłem.

Wniósł ją biegiem na drugie piętro i nawet się nie zasapał. Delikatnie postawił ją na podłodze obok prysznicza.

- Przynajmniej pozwól, że zademonstruję ci siłę swoich mięśni i pojemność płuc, skarbie - zażartował. - Tylko tyle mi zostało.

- Powinieneś powiedzieć: „Abby, jesteś lekka jak piórko”. Steve odsunął zasłonę prysznicza i odkręcił wodę, sprawdzając temperaturę.

- A może raczej: „Abby, czy mogę ci się pomóc rozebrać?”

Twarz Abby przestała zmieniać kolory z żółtego na zielony i pokryła się rumieńcem.

- Chyba... chyba sama dam sobie radę.

- Szkoda.

Przez chwilę jego dłonie niemal dotykały guzików jej wilgotnej i brudnej bluzki, po czym wyprostował się i podszedł do drzwi łazienki.

- Nie zamykaj się - poradził. - Krzycz, jeśli będziesz mnie potrzebować. Zaczekam w sypialni.

Abby zdjęła ubranie i weszła pod prysznic. Jeśli go będzie potrzebowała? Wielki Boże! Cały czas go potrzebowała. Ale czy zaryzykuje utratę przyjaciela w zamian za niepewną szansę zyskania kochanka? Chyba jednak wieczór, kiedy ktoś do niej strzelał i walił ją w głowę, nie nadawał się do szukania odpowiedzi na to pytanie.

- Steve - szepnęła do siebie, wmasowując szampon we włosy i podstawiając obolałe ciało pod rozkoszny prysznic. - Potrzebuję cię, Steve. Żebyś mnie wziął w ramiona. Żebyś mnie mocno przytulił. Żebyś mi udowodnił, że kochanie się nie musi być dopustem bożym, jak to było z Gregiem. Potrzebuję ciebie.

Na szczęście czy na nieszczęście Steve jej nie słyszał.

ROZDZIAŁ 7

Do dziewiątej następnego dnia obejrzelili każde zdjęcie i przeczytali każdy kawałek papieru z pudła, które udało się uratować Steve'owi. Kiedy przeczytali i odłożyli na bok ostatni wycinek prasowy, Abby wskazała na dwie małe kupki fotografii odłożone na bok.

- To chyba tyle. Wszystkie nasze informacje na temat pana Bovery'ego. Żadnych kompromitujących listów. Żadnych podejrzanych pocztówek. Żadnych niejasnych wycinków z gazet. Załedwie kilka zdjęć z Korei. Ile, Steve?

Steve przeliczył szybko.

- Pięć samego Keitha. I jakieś dwadzieścia, na których jest twój ojciec z różnymi kumplami, ale nie z Keithem.

Abby rozłożyła w wachlarzyk pięć zdjęć i zaczęła się w nie wpatrywać.

- Nic tu nie ma - stwierdziła wreszcie z rozdrażnieniem. - Nic, co wskazywałoby na jakąkolwiek tajemnicę. Paru młodych facetów w mundurach, uśmiechających się do aparatu.

- W tle też nic nie widać? - spytał Steve, pochylając się nad jej ramieniem.

- Stoją albo przed namiotami, albo przed samolotami - odparła, wyciągając do niego jedno ze zdjęć. - Tutaj stoją na tle suszącego się prania. Jeśli mokre podkoszulki i wyciągnięte bokserki są dowodem na coś złego, to Keith Bovery mógłby być w kłopotach. Poza tym nic mu nie grozi.

- Zaczekaj - rzucił Steve, przeglądając drugą kupkę zdjęć. - Czy myślisz, że ten ktoś, kto jest częściowo ucięty na tym zdjęciu, to może być Keith Bovery? Obejmuje ramieniem jakąś kobietę, ale jej twarz jest zamazana.

Abby podniosła głowę.

- Wiesz co, może on się naprawdę ożenił w Korei?

- I poślubiając bogatą Helen, popełnił bigamię? - Steve odwrócił zdjęcie. - Niestety nie ma tu nic oprócz daty. A właściwie tylko rok, nawet bez miesiąca. Tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt trzy.

Abby sięgnęła za siebie po szkło powiększające i przyjrzała się przez nie fotografii. Po chwili odłożyła zdjęcie i westchnęła z rozczarowaniem.

- Zgadza się, to jest Keith, ale kobieta, którą tu obejmuje, na nic nam się nie przyda. Spójrz, to jest Lynn. Kochanka ojca. Możesz ją porównać ze zdjęciem, które znaleźliśmy wczoraj.

Steve przyjrzał się obu fotografiom.

- Masz rację, do diabła. Tym samym upada nasza teoria o bigamii - powiedział, wstając i otrzepując dzinsy. - Nie wiem, jak ty, mała, ale ja mam dość. Chcesz wracać do Denver?

- Nie idziemy na wspinaczkę?

- Chyba że ci strasznie na tym zależy. Chciałbym złapać kontakt z moim zespołem i dowiedzieć się, jak im idzie sprawdzanie Keitha Bovery'ego. Skoro nam się nie udało nic znaleźć w papierach twego ojca, spróbujmy z innej strony.

- Moglibyśmy też zadzwonić do Knudsena.

- Nie ma pośpiechu - stwierdził chłodno Steve. - Obawiam się, że nasz porucznik nie zacznie podejrzewać prezesa jednego z większych banków tylko dlatego, że facet służył w Korei razem z twoim ojcem. A naga prawda jest taka, że w tej chwili nie mamy nic więcej na Keitha Bovery'ego.

- Masz rację - przyznała Abby. - Czy nie znasz jakiejś wymówki towarzyskiej, dzięki której mogłabym zadzwonić do pana Bovery'ego i spytać, czy przypadkiem nie usiłuje mnie zabić?

- Takim pytaniem zaskoczyłabyś największego specjalistę od savoir-vivre'u - powiedział Steve, podając Abby rękę i podnosząc ją na nogi. - Chodźmy już stąd.

W drodze powrotnej do Denver omawiali w kółko te same fakty i dojechali do domu zmęczeni i zniechęceni.

- Powinniśmy pójść w góry - stwierdziła ponuro Abby, wyciągając torbę z tylnego siedzenia samochodu. - To byłby znacznie przyjemniejszy sposób spędzenia przedpołudnia niż ślęczenie nad tymi głupimi, rodzinnymi papierami.

Steve spojrział na nią z udanym zdumieniem.

- Czyżby naprawdę mówiła to Abigail Deane, kobieta, którą kocham i szanuję? Od kiedy to kolekcja cennych rodowych pamiątek zmieniła się w „stare, głupie papiery”?

Abby nawet nie była w stanie się uśmiechnąć. Czekwała na windę, niecierpliwie przytupując nogą i bębniąc palcami o ścianę.

- To jakieś szaleństwo! Wczoraj ktoś usiłował mnie zabić. Co najmniej raz, a może dwa razy. A dziś, niecałe dwadzieścia cztery godziny później, potrafię jedynie sama siebie przekonywać, że nie powinnam się niczym przejmować, tylko czekać na telefon od porucznika Knudsena. To więcej niż szaleństwo! To coś absolutnie niesamowitego!

- Nie masz racji. To jedyne rozsądne wyjście. Próbowaliśmy sami rozwiązać ten problem, badając przeszłość twego ojca, i nic nam z tego nie wyszło. Teraz powinniśmy się skoncentrować na chwili obecnej. To moje zadanie. Moje i zawodowych stróżów prawa. Wiem, że trudno ci w to uwierzyć, ale jestem dobry w tym, co robię. Zamierzam wykryć, kto zdefraudował pieniądze w banku, i w ten sposób ujrzymy wszystko w zupełnie innym świetle. Wtedy, być może, okaże się, kto nastawał na twoje życie.

- Może - powiedziała bez przekonania Abby.

Tymczasem wjechali windą na siódme piętro i Abby zaczęła szukać w kieszeni kurtki klucza do mieszkania.

Kiedy drzwi na dobrze naoliwionych zawiasach stanęły otworem, Abby z prawdziwą przyjemnością weszła do swego porządnego, czystego mieszkania. Obecność Steve'a dodawała jej pewności siebie i poczucia bezpieczeństwa, które tym razem naprawdę było jej potrzebne. Niestety jej dom rodzinny, azyl z czasów dzieciństwa, nie był już teraz bezpiecznym miejscem.

- Hej, mała, to pudło waży chyba tonę - przerwał jej rozmyślenia Steve. -
Gdzie mam je postawić?

- W sypialni. Najlepiej na komodzie. Poczekaj, otworzę ci drzwi.

Abby weszła do sypialni i zatrzymała się tak gwałtownie, że Steve wpadł na nią z tyłu.

- Przepraszam - powiedziała odruchowo.

Idąc w stronę łóżka, wciągała nosem zapach unoszący się w powietrzu. Szybko rzuciła okiem na stolik przy łóżku. Elegancki, czarno-złoty flakon Fendiego, prezent od Kate, stał na swoim miejscu. Znikła natomiast bez śladu charakterystyczna kwadratowa, brązowa butelka Opium.

W ustach zaschło jej ze strachu i przez moment nie mogła nic powiedzieć. Bała się teraz bardziej niż poprzedniego wieczoru, gdy ktoś do niej strzelał. Fakt był brutalny, lecz równocześnie konkretny i zrozumiały. Ludzie strzelali, kiedy chcieli kogoś zranić lub zabić. Zniknięcie flakonu z perfumami, podobnie jak bezcelowy wyjazd na lotnisko, były czymś całkowicie nieracjonalnym i bezsensownym.

- Steve - wykrztusiła ledwo słyszalnym szeptem. Steve usłyszał i natychmiast się odwrócił.

- Co się stało, Abby? Strasznie zbladłaś. Co ci jest?

- Znikła gdzieś moja butelka Opium. Jak tylko weszłam do sypialni, poczułam zapach perfum. Flakon stał tutaj, przy łóżku, a teraz go nie ma.

Dzięki Bogu Steve się nie roześmiał.

- Jesteś pewna, że nie przestawiłaś gdzieś flakonu przed wyjazdem do Boulder? Może do łazienki? Może schowałaś do szuflady?

- Używam tych perfum wyłącznie na specjalne okazje. Są zbyt ciężkie na co dzień. Od dwóch tygodni nie dotykałam flakonu, najwyżej, żeby go odkurzyć - powiedziała, potrząsając głową.

Niemniej przeszła do łazienki i szybko obrzuciła wzrokiem półkę pod lustrem i brzeg umywalki. Pudełko z talkiem, przezroczyste mydło na

mydelniczce, szczoteczka do zębów, pasta, cztery szminki i grzebień na małej, kryształowej tacy. Otworzyła drzwiczki szafki nad umywalką. Przybory toaletowe, aspiryna, plastry, kosmetyki. Gwałtownie szarpnęła drzwi szafki pod umywalką i chwyciła plastikową kosmetyczkę, rozsuwając zamek i wysypując zawartość. Chusteczki, krem od słońca, lakier do włosów. Jeszcze jeden grzebień. I żadnych perfum.

Trzymając się obiema rękami za brzuch, Abby wróciła do sypialni. Kiedy poprzedniego wieczoru ktoś do niej strzelał, nie przyszło jej do głowy, żeby się rozplakać. Gdy spaliły się papiery ojca, myślała jedynie o ugaszeniu pożaru. A teraz łzy popłynęły jej po policzkach.

- Nigdzie ich nie ma, Steve. Ktoś wszedł do mieszkania i zabrał flakon perfum. Na litość boską, dlaczego? Nie rozumiem.

Steve objął ją ramieniem. Jego opiekuńcze, silne ciało przywracało jej odrobinę poczucia rzeczywistości.

- Jeśli zginęły perfumy, Abby, to na pewno złodziej zabrał coś jeszcze, coś, co przydało mu się bardziej. Chodź, obejrzymy razem całe mieszkanie i sprawdzimy, co jeszcze zginęło.

Abby skinęła głową i wzięła go za rękę, czerpiąc z jego ciepłej dłoni otuchę i pociechę. Miała wrażenie, że jest kompletnie przemarznięta.

- Przepraszam cię, Steve - mruknęła. - Wiem, że przesadzam, ale mam wrażenie, iż znajduję się w środku jakiegoś szaleńczego wiru. I że przez cały czas to szaleństwo coraz bardziej się do mnie zbliża.

- Wcale nie przesadzasz, mała. W ciągu ostatnich paru dni przeżyłaś bardzo nieprzyjemne wydarzenia. Myśl o tym, że ktoś buszował po twoim mieszkaniu, dotykał twoich rzeczy, jest bardzo nieprzyjemna. Zacznijmy od kuchni i zobaczmy, co tu się działo.

Mimo starannych poszukiwań ani w niewielkiej kuchni, ani w aneksie jadalnym nie znaleźli śladów czyjejs obecności. W dużym pokoju Abby miała

wrażenie, że ktoś ruszał pisma na małym stoliku, ale nie była tego stuprocentowo pewna. Wszystko inne było na swoim miejscu.

Złodzieja perfum wyraźnie nie interesowały cenne rzeczy. Dwa prekolumbijskie posążki, każdy wart kilkaset dolarów, stały nadal na specjalnej półce koło kominka. Nikt nie ruszał drogiego sprzętu muzycznego ani kolekcji płyt CD, a w pudełku ze starymi srebrami, które Abby odziedziczyła po babce, nie brakowało ani jednej łyżeczki.

- Bizuteria? - spytał krótko Steve, kiedy wrócili do sypialni.

- Nie mam nic naprawdę cennego. Perły po matce i złotą bransoletkę, którą dostałam od ojca na dwudzieste pierwsze urodziny. - Abby wyciągnęła szufladę nocnego stolika i wyjęła płaskie skórzane pudełko. - Tu są perły i bransoletka.

Schowwała pudełko z biżuterią i usiadła na łóżku. Łzy znów popłynęły jej po policzkach.

- Przysięgam ci, Steve, że nie zwariowałam. Butelka Opium stała na toaletce, kiedy w sobotę rano wychodziliśmy do banku.

- Wierzę ci. - Steve zmarszczył brwi, wpatrując się w toaletkę. - Mam pomysł - powiedział. - Może złodziej wcale nie ukradł perfum. Może je tylko niechcący wylał i wyniósł flakon, żeby zatrzeć ślady swojej wizyty.

Abby przestała płakać. Przez ponurą mgłę szaleństwa i bezsensu przedarł się promyk światła.

- Ależ tak, Steve! Na pewno masz rację. Złodziejowi wylały się perfumy i stąd ten zapach. Woń Opium jest szalenie trwała! - zawołała, zeskakując z łóżka. - A jeśli złodziej myślał, że nie zauważę jego obecności, to znaczy, że zabrał coś małego, coś, czego braku nawet nie spostrzegę.

Spojrzała na toaletkę, starając się wejść w skórę złodzieja.

- Co takiego mogło go zainteresować na toaletce? Jest tu list z mojej grupy gimnastycznej z przyciskiem do papierów na wierzchu. Mała srebrna taca, która należała kiedyś do matki. Ozdobne pudełko chusteczek do nosa. Druga

butelka perfum stoi z lewej strony. A za nią zdjęcie ojca z jego dowódcą z Korei.

Abby zamilkła i spojrzała na Steve'a pytająco.

- Tak, masz rację - stwierdził ochryplym z napięcia głosem.

- Ktoś, kto wzięłby do ręki zdjęcie, żeby mu się przyjrzeć, mógłby przewrócić flakon z perfumami.

- Czy nie masz wrażenia, że ciągle natykamy się na drobne rzeczy, które jednoznacznie wskazują na to samo? Coś się wydarzyło w Korei.

Wyjęła chusteczkę z pudełka i wytarła nos. Była teraz pewna, że kluczem do wyjaśnienia wszystkich zdarzeń jest Korea. Postanowiła, że przy najbliższej okazji opowie o swych podejrzeniach wobec Keitha Bovery'ego porucznikowi Knudsenowi.

Choć nadal trudno jej było wyobrazić sobie eleganckiego, rumianego Keitha Bovery'ego, jak strzela do niej zza krzaków, potem skrada się, żeby podłożyć ogień w piwnicy, wreszcie jedzie na łeb, na szyję do Denver, aby wpatrywać się w zdjęcie jej ojca. Wielki Boże, to nie miało przecież żadnego sensu!

Wrzuciła zużytą chusteczkę do kosza na śmieci i przez chwilę wpatrywała się w jego wnętrze bezmyślnym wzrokiem. Nagle poczuła, że wzbiera w niej coś między strachem a histerią.

- Steve - powiedziała, powstrzymując wybuch śmiechu. - Właśnie odkryłam, co jeszcze zabrał złodziej.

- Co?

- Pustą kopertę, rozerwaną z jednej strony. - Pokazała na kosz do śmieci. - Jeszcze w sobotę rano tu była.

Przez moment na twarzy Steve'a malowało się takie samo niedowierzanie, po czym w jego oczach pojawił się błysk zrozumienia.

- To nietrudno wytłumaczyć. Złodziej wziął kopertę, żeby wynieść w niej butelkę z perfumami. Musiał przecież po sobie posprzątać. Nie wiedział tylko, że masz pamięć do szczegółów.

- Dla kobiety perfumy nie są szczegółem - stwierdziła rzeczowo Abby. - Przypuszczalnie masz rację, choć jedynie częściowo. Nie chciał, żeby ktoś wiedział, że czegoś tu szukał czy też coś wyniósł. Ale to nie mną się przejmował. Zakładał, że ja już nie wrócę do domu, bo nie będę żyła - powiedziała Abby zadziwiająco spokojnym głosem.

- Zgadzam się. Z tego wszystkiego wynika jednak, że osoba, z którą mamy do czynienia, nie jest szalona, lecz bardzo sprytna.

- I co z tego?

- To, że prawdopodobnie nie wszedł do mieszkania jedynie po to, żeby podziwiać stare zdjęcie twojego ojca. Jestem absolutnie przekonany, że coś jeszcze zginęło. Może jakiś dokument.

- Chwileczkę - przerwała Abby. - My chyba zwariowaliśmy. Cały czas mówimy, że ktoś się włamał do mieszkania. Nikt się tu nie włamał. Byłeś przy tym, jak otwierałam drzwi kluczem. Zamek był w porządku. Nikt nie stłukł szyby w oknie, a poza tym jesteśmy na siódmym piętrze i nie można się tu dostać nawet przez balkon. Jeśli ktoś tu był, to wszedł przez drzwi.

Roześmiała się, łapiąc Steve'a za rękę.

- Mój ty detektywie od siedmiu boleści! Jakim cudem nie zauważyłeś tak prostego faktu? Nikt się do mnie nie włamywał. Ta wczorajsza strzelanina w połączeniu z pożarem zamąciła nam w głowie.

Dopiero gdy zobaczyła, że Steve się uśmiecha, zdała sobie sprawę, że do tej pory był równie spięty jak ona.

- No, dobrze, trochę się zblamowałem. Kto tu był twoim zdaniem? Kate czy Linsey?

- Nie, to nie one. Zostawiłyby kartkę. Poza tym Kate za każdym razem, kiedy mnie odwiedza, czegoś zapomina: szalik, rękawiczki, książkę, którą

akurat czyta. Linsey jest w Kanadzie. A poza tym zawsze przynosi ze sobą ciastka albo herbatniki.

- Kto jeszcze ma klucz?

- Gospodarz domu ma zapasowe klucze do wszystkich mieszkań. Nikt więcej. Tak, to musiał być gospodarz.

Abby podeszła szybko do telefonu i wykręciła numer.

Bill był w domu i z oburzeniem stwierdził, że nigdy nie wszedłby do mieszkania panny Deane bez uprzedniego zezwolenia, a przynajmniej bez zostawienia jej wiadomości.

- Nie widziałem nikogo, kto mógłby wczoraj czy dzisiaj wejść do pani mieszkania. Jak zwykle pilnowałem domu. I obaj strażnicy też.

- George i Lenny się nie spóźnili?

- Nie - stwierdził zdecydowanie Bill. - Przez całą noc ktoś pilnował drzwi wejściowych do budynku. A w dzień ja zawsze uważam. Było bardzo spokojnie. Wszyscy gdzieś się porozjeżdżali. Nic dziwnego przy takiej ładnej pogodzie.

- Myślałam, że chciał pan sprawdzić ogrzewanie czy coś takiego. Wydaje mi się, że wczoraj albo dziś rano ktoś był w moim mieszkaniu.

- Chyba że miał klucz. Nie widziałem ani nie słyszałem żadnego alarmu, a ten nowy system działa bez zarzutu. George i Lenny zawsze są na posterunku po zmroku, a w dzień trzeba mieć klucz od drzwi na dole. Ten budynek jest bardzo dobrze pilnowany. Od ponad trzech lat nie mieliśmy tu żadnego włamania. Ale jeśli pani ma jakieś podejrzenia, to mogę wezwać policję.

- Nie, nie. - Abby zawahała się. - Dziękuję panu, Bill. Raczej nie ma powodu, żeby dzwonić na policję.

Odłożyła słuchawkę i wytarła zwilgotniałe dłonie w spodnie.

- I co? - spytał Steve.

- Nie jestem pewna - odparła powoli. - Coś mi przyszło do głowy. Chyba wiem, dlaczego anonimowy rozmówca umówił się ze mną na lotnisku.

- Co takiego? - zdumiał się Steve. - Gospodarz ci coś powiedział?

- Twierdzi, że ani w sobotę, ani w niedzielę nikt nie mógł tu wejść, jeśli nie miał klucza do drzwi na dole i do mieszkania. Nie mam powodów, aby mu nie wierzyć. Jedyne rozsądne wytłumaczenie to, to że ktoś dorobił sobie klucze. Kiedy? Kiedy to się mogło stać?

Steve gwizdnął cicho.

- Dwa dni temu, gdy na chwilę straciłaś na lotnisku torebkę. Ktoś zwabił cię tam, żeby zrobić odcisk kluczy!

- To logiczne, prawda? Na lotnisku jest zawsze tłum. Złodziej mógł liczyć, że się jakoś dobierze do mojej torebki.

- Potrzebował zaledwie paru sekund. Każdy dzieciak wie, jak zrobić odcisk kluczy.

- Przyniosę torebkę - powiedziała Abby. - Może znajdziemy na kluczach ślady wosku.

Razem obejrzelik dokładnie klucze pod lampą, przez szkło powiększające. Kluczyki do samochodu były zupełnie czyste, ale na kluczach do domu i do biura znaleźli drobniutkie resztki przezroczystego wosku.

Abby poczuła nieprzyjemny dreszcz.

- Jutro z samego rana zmieniam zamki. Komuś musiało bardzo zależeć, żeby tu wejść, skoro aż tak ryzykował.

- Ryzyko nie było wcale takie duże. Mógł się jedynie obawiać, że po wydarzeniach na lotnisku na wszelki wypadek zmienisz zamki w mieszkaniu i w biurze.

- Klucze znalazły się już po paru minutach. Coś takiego nie przyszło mi nawet do głowy. - Abby zbladła i znów zadrzała. - Keith Boveri był na lotnisku.

- Wiem - odparł Steve, marszcząc czoło. - On jednak nie miał chyba okazji, żeby ci ukraść klucze. Prawie cały czas byliśmy razem w towarzystwie doradcy z Berkeleyy.

- Wystarczyłoby mu dziesięć minut.

- Cholera! Tyle przypuszczalnie miał. To tak jak z jazdą powrotną z Boulder do Denver. Bovery, z trudem, bo z trudem, ale zdążyłby wrócić i odebrać mój telefon.

- Czego on szukał w moim mieszkaniu, Steve?

- Najwyraźniej niczego cennego. Bovery, czy też może ktoś inny, zadał sobie dużo trudu, żeby wejść i wyjść nie zauważony, i nie zostawić śladów swojej obecności. To znaczy, że zabrał coś, czego, jak przypuszczał, nie zauważysz. Chyba chodzi jednak o jakiś dokument. Oczywiście! Twoje dokumenty bankowe. Zapewne jest w nich coś, co mogłoby zdradzić defraudanta.

Abby aż się zaczerwieniła z wrażenia. Wszystko znów zaczynało nabierać sensu. Podeszła szybko do komód i wyciągnęła szuflady.

Wyglądały na nie ruszone. Przejrzenie kilku teczek, w których trzymała dokumenty finansowe, nie zabrało jej więcej niż dziesięć minut. Niczego nie brakowało.

Szczególnie dokładnie obejrzała te dotyczące złota konfederatów i kopalni Crystal, ale wszystko było na swoim miejscu, razem z mapami i planami opisanymi ręką ojca. Abby zmusiła się do zachowania spokoju, ten złodziej już ją kosztował dość łez.

- Ciągłe przychodzą nam do głowy wspaniałe pomysły, które prowadzą donikąd - powiedział Steve, równie sfrustrowany. - Do cholery! Miałem nadzieję, że tym razem wykryję defraudanta.

- Tymczasem wróciliśmy do punktu wyjścia.

Wstała i mrucząc pod nosem przekleństwa, o których znajomość nawet się nie podejrzewała, z gniewem kopnęła szufladę, żeby ją zamknąć. Szuflada nie drgnęła. W jej zamknięciu przeszkadzał róg jakiejś teczki.

- Zostaniesz tak jak jesteś, ty głupia teczko - warknęła Abby.

Odwróciła się, ale lata nawyków zrobiły swoje.

Wzdychając, wróciła do szafki i przykucnęła, przesuając po kolei teczki, aż doszła do tej wystającej i wsunęła ją na miejsce. Spośród dokumentów wypadł na podłogę kawałek papieru. Abby podniosła go, przekonana, iż przez swój wybuch dziecinnego gniewu uszkodziła jakiś ważny dokument.

Usiadła po turecku obok szafek, starając się dojść, skąd mógł wypaść ten papier. W jednej linijce widniały słowa „Patricia Day Trien, urzędnik stanu cywilnego”, a nad nimi, częściowo oddarte: „pher Deane Renquist”.

Kawałek papieru wypadł pomiędzy dwóch teczek. W jednej były stare dokumenty rodzinne, takie jak świadectwo ślubu jej rodziców, natomiast w drugiej - korespondencja rodzinna z wczesnych lat małżeństwa rodziców. Abby wyciągnęła obie teczki i zaczęła je przeglądać.

- Znalazłaś coś? - spytał z nadzieją Steve. Drżącymi palcami podała mu oddarty kawałek papieru.

- To było luzem w szufladzie. Usiłuję dociec, skąd mogło wypaść, ale w żadnej z tych dwóch teczek nie ma nic podartego.

- Jak myślisz, czy coś zostało stąd wyjęte?

- Nie wiem, ale, oczywiście, mam oddzielny spis wszystkich dokumentów w porządku alfabetycznym.

- Oczywiście - powtórzył Steve. Mimo napiętej atmosfery w jego głosie zabrzmiał śmiech. - Masz indeks dokumentów. Ciekawe, że mnie to jakoś zupełnie nie dziwi.

- Wszyscy archiwiści mają indeksy dokumentów, które są w ich posiadaniu - wyjaśniła Abby, biorąc skoroszyt z biurka, stojącego w rogu pokoju. - Skąd ludzie mogą wiedzieć, co mają w swoich dokumentach?

- Wydaje mi się, że po prostu polegamy na własnej pamięci - stwierdził Steve.

- Pamięć ludzka jest bardzo zawodna - odparła Abby z naganą.

Mimo dramatycznych okoliczności wzięła w niej chwilowo górę dusza archiwistki. Otworzyła skoroszyt i szybko przerzuciła kartki.

- Tutaj jest spis zawartości teczki, o którą nam chodzi.

Kilka razy zaglądała do skoroszytu, a potem porównywała spis z teczką. Po dłuższej chwili spojrzała na Steve'a ze zmarszczonym czołem.

- Brakuje dwóch dokumentów - oznajmiła. - Świadcstwa urodzenia i zgonu małego chłopca, Christophera Deane'a Renquista. Oba świadectwa zostały wystawione w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czwartym roku, w Arapahoe County. Tyle wynika z informacji, które wpisałam do indeksu. Ten kawałek papieru to część jednego z tych dokumentów.

Abby zamknęła z trzaskiem skoroszyt i zacisnęła dłonie. Ogarnęło ją uczucie paniki, wrażenie, że tonie w oceanie czyjegoś szaleństwa. Czy naprawdę ktoś zadał sobie tyle trudu i przygotowań, żeby ukraść świadectwo urodzenia i zgonu sprzed trzydziestu pięciu lat?

Dlaczego za każdym razem, kiedy dochodzili ze Steve'em do jakiegoś w miarę logicznego wniosku, obraz pękał i zmieniał się w chaotyczną mozaikę?

- Do jasnej cholery! - mruknęła. - Dlaczego nie zabrał dokumentów bankowych?

Steve wziął ją w ramiona.

- Rok tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty czwarty może oznaczać coś ważnego - powiedział. - W tym roku twój ojciec wrócił z Korei.

- Chcesz powiedzieć, że to mogą być świadectwa urodzenia i zgonu jeszcze jednego, nieślubnego dziecka ojca? O, mój Boże! Przecież nie miał chyba kolejnego romansu, gdy tylko wrócił do domu? - zawołała z niedowierzaniem.

- Niczego takiego nie sugerowałem - starał się ją uspokoić Steve. - Po prostu wydaje mi się, że miałaś rację, gdy mówiłaś, iż wszystko jest jakoś związane z pobytem twego ojca w Korei.

Abby wysunęła się z objęć Steve'a i poszła do łazienki. Odkręciła wodę, zaczekała, aż strumień będzie naprawdę gorący, namydliła dłonie i starannie wymyła ręce i twarz.

- Dopóki Knudsen nie zadzwoni, nie będę się nad tym zastanawiać - zawołała z namydloną twarzą. - Kręcimy się w kółko. Oglądanie „Koła fortuny” w telewizji przyniosłoby nam więcej pożytku. Do diabła! Mydło weszło mi do oczu!

- Tu masz ręcznik - powiedział Steve. - Jeśli bardzo chcesz, możesz sobie za chwilę włączyć telewizor. Najpierw musisz jednak sprawdzić drugą teczkę. Może w niej też czegoś brakuje.

Abby rzadko zaglądała do swych dokumentów z takim niesmakiem. Niechętnie i ze złością wzięła skoroszyt z indeksem i otworzyła go na właściwej stronie.

- Korespondencja rodzinna - mruknęła. - Sporo tu tego - powiedziała, przebiegając wzrokiem spis dokumentów.

Nagle serce podeszło jej do gardła. - Lynn Renquist. Lipiec tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty czwarty. Sierpień tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty czwarty. Wrzesień tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty czwarty.

Z bijącym gwałtownie sercem spojrzała na Steve'a.

- Lynn Renquist - powtórzyła. - Lynn. Kochanka ojca z Korei. Nazywała się Renquist.

- Christopher Deane Renquist - powiedział Steve. - Urodzony tego roku, kiedy Lynn wróciła z Korei. Myślisz, że to syn Lynn?

W pokoju zapanowała cisza.

- Ale to dziecko zmarło jako niemowlę - stwierdziła wreszcie Abby.

- To prawda. Ciekawe tylko, jak mogło zostać adoptowane i stać się Douglasem Bradym, twoim odnalezionym po latach przyrodnim bratem?

- Naszym odnalezionym po latach przyrodnim bratem, o którego istnieniu ojciec nigdy nie wspomniał za życia.

- A który odnalazł się nagle w bardzo dogodnym dla siebie momencie, kiedy się okazało, że po twoim ojcu zostało dla spadkobierców pięć milionów dolarów w złocie.

- Tylko musiał najpierw to złoto odnaleźć.
 - Czego nie mógł zrobić bez pomocy twojej i twoich siostr.
 - A my nie pomogłybyśmy mu, gdybyśmy nie uwierzyły, że jest naszym przyrodnim bratem, który także ma prawo do spadku.
 - Wiesz co, Abby, mam wrażenie, że oboje myślimy o tym samym - stwierdził cicho Steve.
 - Tak. - Abby skinęła głową i głęboko odetchnęła. - Myślę, że świętej pamięci Douglas Brady wcale nie był naszym przyrodnim bratem. Wydaje mi się... Wydaje mi się, że Douglas Brady był oszustem, który odszukał moje siostry tylko po to, żeby sobie przywłaszczyć złoto konfederatów.
 - Przynajmniej wiemy teraz, dlaczego ktoś zadał sobie tyle trudu, żeby się dostać do twego mieszkania.
 - Żeby ukraść jedyne istniejące dokumenty mogące poświadczyć, że Douglas Brady był oszustem...
- Dźwięk telefonu przerwał wywód Abby.
- Miejmy nadzieję, że to Knudsen - mruknęła do Steve'a.
 - Mamy mu sporo do powiedzenia.
 - Żarty się skończyły, Abigail - powiedział bez wstępów szorstki, stłumiony i znenawidzony głos. - Wczoraj wieczorem miałaś szczęście, ale szczęście nie trwa wiecznie, Abigail. Twoja rodzina miała szczęście bardzo długo, a teraz przyszła moja kolej. Twój ojciec musi spłacić swoje długi. A ty jesteś pierwszą ratą. Ty, a później twoje siostry. Chcę was wszystkie. Trzy piękne siostry Deane. - W słuchawce rozległ się gniewny śmiech.
 - Jesteście moje. Słyszysz, Ronaldzie? Wszystkie będą moje.

ROZDZIAŁ 8

Po półgodzinnej nerwowej dyskusji ze Steve'em Abby zadzwoniła do obu siostr i opowiedziała im o ostatnim anonimowym telefonie i wszystkich wcześniejszych wydarzeniach z nim związanych.

Rozmowa z każdą z siostr trwała przeszło godzinę. Abby starała się z jednej strony ostrzec je przed szaleńcem, którego należało traktować jak najbardziej poważnie, z drugiej zaś - przekonać, iż nie muszą wsiadać do najbliższego samolotu do Denver, żeby chronić ją przed mordercą.

Zarówno Kate, jak i Linsey nie chciały wierzyć, że Douglas Brady mógł być oszustem.

- Wszystko, co o sobie opowiadał, zgadzało się z naszymi informacjami - powiedziała Linsey. - I miał ten list od ojca, pamiętasz?

- Sama wtedy mówiłaś, że list mógł być sfalszowany - wytknęła Abby. - Pod koniec życia ojciec pisał strasznie niewyraźnie.

- Ale Douglas zginął, ratując mi życie! - wykrzyknęła Kate, kiedy Abby poruszyła z nią ten temat. - Ja czułam, że to jest mój brat. Poza tym miał dokładnie taki sam kolor oczu jak my. Przecież wiesz, że ten specjalny odcień błękitu jest naszą rodzinną cechą.

- Nie mamy na nią monopolu - powiedziała sucho Abby. - Są jeszcze inni ludzie z niebieskimi oczyma.

- Ale nasze mają naprawdę wyjątkowy odcień - upierała się Kate.

Wyjątkowy, lecz nie unikatowy, pomyślała Abby. Przypuszczalnie w Ameryce żyło kilka tysięcy mężczyzn w odpowiednim wieku z jasnoniebieskimi oczyma. Ktoś, kto dobrze znał rodzinę Deane'ów, mógł wybrać Douglasa właśnie dlatego, że kolor jego oczu był identyczny z kolorem oczu siostr Deane.

Kate, naiwna marzycielka, była również zgorszona sugestią, że Keith Bovery miałby ukrywać coś, co mogło go zmusić do popełnienia morderstwa.

- Pan Bovery jest sympatycznym człowiekiem - zaprotestowała. - Kiedy byłyśmy małe, zawsze przynosił nam na Boże Narodzenie olbrzymie mikołaje z czekolady. I jajka z niespodzianką na Wielkanoc. Nie byłby taki miły, gdyby nas nienawidził z powodu jakiegoś zadawnionego sporu z ojcem. W prezencie ślubnym przysłał mi ulubiony pejzaż swojej żony, na wypadek gdybym tęskniła za Kolorado. Poza tym jest powszechnie szanowany. Tak samo jak ty. Dlaczego podejrzewasz go o jakieś straszne tajemnice?

- Właśnie dlatego, że jest taki szanowany! - wykrzyknęła zirytowana Abby.

- Ciebie też ludzie szanują, a nie masz żadnych sekretów - stwierdziła z nieoczekiwaną logiką Kate. - Jesteś tak samo pedantyczna i porządna w myślach i w zachowaniu.

- Doprawdy? - zdziwiła się na dobre już rozzłoszczona Abby. - Jeśli jestem tak cholernie pedantyczna i porządna, to dlaczego się zakochałam? - Przerwała w samą porę. Kate zawsze potrafiła wszystko wyciągnąć z człowieka i najpoważniejszą rozmowę sprowadzić na tematy osobiste.

Kate szalała z radości.

- R.J., chodź tu szybko - zawołała do męża. - Abby się zakochała. W kim, Abby? Znamy go? Kiedy ślub?

Abby usiłowała nie zwracać uwagi na gwałtowne bicie serca.

- Muszę kończyć, Kate. Niedługo do ciebie zadzwonię. Pozdrów R.J. ode mnie - powiedziała prędko i rzuciła słuchawkę, jakby parzyła ją w palce.

- Kate uważa, że pan Bovery na pewno nie chce nikogo zabić, a już na pewno nie nas - poinformowała pospiesznie Steve'a, nim zdążył skomentować jej nagłe zakończenie rozmowy.

- Dlaczego?

- Bo zawsze przynosił nam czekoladowe mikołaje na Boże Narodzenie.

- No, tak - powiedział z uśmiechem Steve. - Kate to wystarczy. Posłuchaj - dodał, już bez uśmiechu. - Kiedy rozmawiałaś z Kate i z Linsey, miałem czas, żeby pomyśleć.

Ciekawe, czy słyszał, że się zakochałam, pomyślała Abby.

- I mam pewien problem - mówił dalej Steve. - Jeśli Douglas Brady był oszustem, dlaczego nie przejmował się swoją prawdziwą matką? Jak mógł być pewien, że Lynn Renquist nie zjawi się któregoś dnia i nie powie: „Ten facet nie jest tym, za kogo się podaje. Mój syn zmarł trzydzieści pięć lat temu”?

- Prawdopodobnie wiedział, że Lynn Renquist nie żyje. Albo że mieszka tysiące kilometrów stąd na bezludnej wyspie.

- Jeśli mieszka na bezludnej wyspie, to skąd Douglas miał wszystkie informacje? Skąd złodziej wiedział o listach, które Lynn napisała do twego ojca? I skąd wiedział, że twój ojciec zachował świadectwo urodzenia i śmierci prawdziwego Christophera Deane'a? Takie rzeczy mogła wiedzieć tylko Lynn Renquist.

Abby zaschło w ustach. Z wysiłkiem przełknęła ślinę.

- Chcesz powiedzieć, że to wspólna intryga Keitha Boveri'ego i Lynn Renquist?

- Tak może być. Pamiętasz to zdjęcie, które znaleźliśmy w Boulder? To, na którym Keith jest prawie odcięty, a Lynn całkiem zamazana? Zdjęcie jest dowodem na to, że tych dwoje znało się w Korei. Może Boveri nienawidził przez te wszystkie lata twojego ojca, bo sam potajemnie kochał się w Lynn? Abby chodziła tam i z powrotem po pokoju.

- To wszystko jest zupełnie niewiarygodne - stwierdziła. - Dlaczego Lynn chciałaby oszukać córki człowieka, którego kiedyś kochała?

- Dla pieniędzy. Każdy człowiek ma swoją cenę. - Steve urwał. - Albo z zemsty - dodał.

- Nikt nie pała żądzą zemsty po trzydziestu pięciu latach - zaproponowała z przekonaniem Abby. - Może w książkach albo w filmach, lecz nie w

rzeczywistości. W pracy stale zajmuję się starymi rodzinnymi dokumentami i wiem, że życie zawsze idzie naprzód, Steve. Czas leczy rany. Ludzie mają nowe szanse i nowe nadzieje. Nie wierzę, że Lynn Renquist przez trzydzieści pięć lat rozpamiętywała miłość do ojca. Tym bardziej nie wierzę, żeby Keith Bovery przez trzydzieści pięć lat ubolewał nad nie odwzajemnioną miłością do pielęgniarki, którą poznał w Korei. Poza tym parę dni temu usiłowałeś we mnie wmówić, że Keith Bovery kocha się w Lindzie Mendozie - przypomniała.

- Mogłem się pomylić. Wprawdzie jeszcze nigdy mi się to nie zdarzyło, ale zawsze jest pierwszy raz. - Uśmiech znikł z jego twarzy. - O Boże! Linda!

- Linda? - powtórzyła z niedowierzaniem Abby. - Lynn może być zdrobnieniem od Lindy. To możliwe, prawda, Steve? Ona jest rozwódką, zanim wyszła za Mendozę, mogła nazywać się Lynn Renquist.

- Jasne. Jutro w banku zajrzę do wykazu komputerowego wszystkich zatrudnionych pracowników. Zobaczę, czy jest tam panińskie nazwisko Lindy Mendozy. Choć, jak znam życie, już dawno je stamtąd wymazała. Tak czy inaczej jakoś sobie poradzę.

Abby wsunęła ręce w kieszenie dżinsów i pokiwała głową.

- Budujemy zamki na lodzie. Jeszcze pięć minut temu Linda Mendoza była sekretarką w banku i nikt jej o nic nie podejrzewał. Teraz, ni z tego, ni z owego, jest byłą kochanką ojca, oszustką i morderczynią.

Przeszła do kuchni i podstawiła czajnik pod kran.

- Zrobię herbatę i zajmę się czymś innym. Jestem już zmęczona podejrzewaniem całego świata o oszustwa finansowe, podpalenia i morderstwa.

- Może chcesz pójść do kina?

- Nie, dziękuję. Knudsen mógłby się tu wreszcie zjawić - mruknęła i skrzywiła się, gdy sobie uświadomiła, że trwała w swym postanowieniu około dziesięciu sekund. - Czy nikogo na policji nie obchodzi, że jakiś szaleniec chce zabić całą moją rodzinę?

Porucznik, jakby słyszał jej narzekania, przyszedł parę minut później, przynosząc ze sobą nie tylko taśmę z nagraniem jej rozmowy z anonimowym rozmówcą, lecz także wstępny raport policji w Boulder.

- Pracownik Burger Kinga znalazł strzelbę, rękawiczki i czapkę w pojemniku na śmieci przy restauracji - poinformował ich Knudsen. - Niestety strzelba jest jednym z najbardziej popularnych modeli, tak samo jak czapka. Rękawiczki to typowe ocieplacze narciarskie, męskie, ale małe. Wiemy, że gość, który do pani strzelał, nie jest olbrzymem. Ale to już wiedzieliśmy z opisu pana Kramera. Na niczym nie ma, oczywiście, odcisków palców.

Taśmę z nagraniem rozmowy telefonicznej Knudsen uznał za bardziej obiecujący materiał. Uważnie wysłuchał zarówno podejrzeń Abby wobec Keitha Bovery'ego, jak i wyjaśnień Steve'a, który nie wierzył w udział Taylora w machlojkach bankowych.

- Ślady wskazujące na niego są zbyt oczywiste - tłumaczył

Steve. - Howard codziennie korzystał z bankowych komputerów. Miał bardzo dużo czasu, żeby poznać wszystkie słabości systemu. Dlaczego miałby beztrudno zostawiać wszędzie ślad swojej obecności?

Knudsen wzruszył ramionami.

- Zapewne chciał uciec z pieniędzmi i niczym już się nie przejmował. Tak zwykle postępują defraudanci. Jeden duży skok i wyjazd do Brazylii.

- Tylko że wcale nie chodziło o duży skok. Jeśli Howard był złodziejem i planował ucieczkę do Ameryki Południowej, dlaczego nie zabrał dziesięciu milionów i się nie ulotnił? Sposób, w jaki dokonywano tych kradzieży - tu dwa tysiące, gdzie indziej pięć - wskazuje na złodzieja, który ma drogie nałogi.

Hazard. Kosztowne kobiety. Kolekcjonowanie starych samochodów.

- Dlaczego nie narkotyki? - spytała Abby.

- Gdyby ktoś wydał w sumie pół miliona na narkotyki, to by się już dało zauważyć. Sprawdziliśmy wszystkich dość dokładnie i jestem pewien, że żaden z pracowników banku nie jest uzależniony od narkotyków.

- Możemy poprosić laboratorium FBI o porównanie głosu pana Bovery'ego z głosem na taśmie - powiedział Knudsen.

- Mają odpowiednie urządzenia i ekspertów, którzy potrafią rozpoznać głos, nawet jeśli mówiący stara się go zmienić. Dziś wieczorem wyślemy tę taśmę do Waszyngtonu. Za trzy dni powinniśmy dostać wstępne wyniki.

- Skąd pan weźmie nagranie głosu Keitha Bovery'ego? - spytała Abby.

- Zaraz pojedę do niego do domu i zadam mu kilka rutynowych pytań - odparł Knudsen. - Powiem, że muszę nagrać jego odpowiedzi dla prokuratora okręgowego. Na pewno się zgodzi. Ludzie zawsze się zgadzają - dodał z krzywym uśmiechem. - Zwłaszcza ci, którzy mają coś do ukrycia. Myślą, że wykiwają policję, udając jednocześnie, iż nie stronią od współpracy. - To dobrze, że zadzwoniła pani do sióstr - dodał, wstając. - Ten ostatni telefon z pogroźkami należy traktować bardzo poważnie. Dziewięćdziesiąt procent takich nieprzyjemnych, nękających anonimowych rozmówców prędzej czy później przestaje dzwonić i do niczego się nigdy więcej nie posuwa. Niestety wygląda na to, że ten należy do pozostałych dziesięciu procent. Na pani miejscu nie zapominałbym, że ma prawdopodobnie zachwianą równowagę psychiczną. Tak w każdym razie można by sądzić po głosie z taśmy i tym, co mówił.

Przerwał na chwilę i wyciągnął z kieszeni wizytówkę.

- Tutaj jest nazwisko i telefon uczciwego ślusarza - powiedział. - Przyjmuje zgłoszenia przez całą dobę. Niech pani nie zostaje tu sama na noc i niech się pani wystrzega ciemnych, pustych uliczek. Powinna pani raczej wyjechać gdzieś na urlop. Podobno na Zachodnim Wybrzeżu jest piękna pogoda.

- Nie zamierzam uciekać przed jakimś szaleńcem, który opowiada głupstwa. Poza tym mam za dużo pracy.

- Wiele pani nie zdziała, jak ktoś panią zabije - powiedział bez ogródek porucznik.

Abby zbladła, a porucznik uśmiechnął się ponuro, najwyraźniej usatysfakcjonowany jej reakcją.

- Osobiście polecałbym pani wyjazd do Oregonu. To wspaniałe miejsce na urlop.

Był już w przedpokoju, kiedy jeszcze raz się odwrócił.

- Niech pani uważa. Może to wszystko sprawka Keitha Boveri'ego, a może nie. Niech pani nie zakłada, że to Boveri dzwoni do pani ani że to on strzelał. To mogłaby być bardzo kosztowna pomyłka.

- Przyjemniaczek, co? - rzucił Steve, kiedy porucznik Knudsen zamknął za sobą drzwi wejściowe.

- Aha - wykrztusiła Abby.

- Ale wiesz, w jednej sprawie ma rację. Powinnaś się jak najprędzej zacząć pakować do wyjazdu. I to raczej gdzieś dalej. Nie ma sensu tu siedzieć i prowokować zabójcę do działania.

- Załóżmy, że teraz wyjadę - powiedziała zmęczonym głosem Abby. - A co się stanie za pół roku, jeśli zabójca nadal będzie przekonany, iż mu zagrażam? Znów będę uciekać? A za rok?

- Jest duża szansa, że za pół roku zabójca będzie już za kratkami.

- Mhm, jeśli będę miała szczęście. Jeśli dla odmiany nie zacznie prześladować Kate i Linsey. Nie mogę na to pozwolić. Linsey jest w ciąży. Kate wreszcie, w dwudziestym szóstym roku życia zaczęła normalnie egzystować. Żadnej z nich nie jest w tej chwili potrzebny do szczęścia jakiś szaleniak z pistoletem.

- A zatem masz zamiar poświęcić się dla dobra rodziny?

Abby uśmiechnęła się, starając się, aby jej uśmiech wyglądał przekonująco.

- Niezupełnie. Raczej mam zamiar wykorzystać własną osobę jako przynętę. Wyobrażam sobie siebie jako soczystego, tłustego robaka, który wisi na haczyku, żeby złapać zbrodniarza i wymierzyć mu sprawiedliwość.

- Bardzo szlachetnie z twojej strony. Ale takie robaczki zazwyczaj żyją bardzo krótko i ta myśl raczej nie sprawia mi przyjemności.

Steve odwrócił się i wyjrzał przez okno. Przed sobą miał widok na park. Nie patrząc na Abby, mówił dalej monotonnym, starannie kontrolowanym głosem.

- Przeraza mnie myśl, że nie chcesz wyjechać z Denver. Co ja mówię: przeraza! Obawa o ciebie po prostu mnie paraliżuje. Nie chcę cię stracić, Abby. Jesteś dla mnie kimś bardzo ważnym.

Wyznanie Steve'a sprawiło, że serce Abby zabiło mocniej.

Z jednej strony miała ochotę się do niego przytulić, okazując w ten sposób, że ona też go potrzebuje, z drugiej - najchętniej uciekłaby, gdzie pieprz rośnie. Po to, żeby nie dopuścić do zbliżenia, które w efekcie może zakończyć się zdradą.

Chciała powiedzieć coś, co zabrzmiałoby nonszalancko, ale w porę się powstrzymała. Nagle zdała sobie sprawę, że już od kilku miesięcy ucieka przed Steve'em, dusząc w zarodku wszystkie jego próby wejścia z nią w większą zażyłość. Dopiero myśl o fizycznej ucieczce uświadomiła jej, że przez cały czas emocjonalnie uciekała przed nim i przed sobą. Skoro nie bała się zostać w Denver i stanąć twarzą w twarz z mordercą, to nie powinna też się obawiać określenia swych prawdziwych uczuć wobec Steve'a. Chciała przecież, żeby został jej kochankiem.

Zrobiła krok naprzód, potem drugi. Powiedziała sobie, że nic nie traci pod warunkiem, że nie będzie liczyła na jakieś zobowiązania z jego strony. Stanęła obok Steve'a, nie dotykając go, w całkowitym milczeniu. Teraz razem wyglądali przez okno.

- Piękne są te drzewa - powiedział w końcu.

Kolejny raz dawał jej szansę wycofania się. De już razy ofiarowywał jej podobne drogi ucieczki? I ile razy z nich beztrąsko korzystała, nie bacząc na jego uczucia?

Wsunęła mu rękę pod ramię.

- To niezły widok - stwierdziła od niechcienia - ale z sypialni jest o wiele ładniejszy. Chcesz się przekonać?

Odwrócił się i spojrzał na nią, niepewny jej intencji. Ze zdumieniem pomyślała, że Steve nie wie, co powiedzieć. Poczula się dużo pewniej, gdy sobie uświadomiła, że znany podrywacz Steve Kramer nie traktuje jej jak łatwej zdobyczy. Może i on chciał, żeby mimo wszystko pozostali nadal tylko przyjaciółmi?

Abby postanowiła wykazać się odwagą.

- Wiesz co - mruknęła - najlepszy widok jest z mojego łóżka.

- Z łóżka? - powtórzył Steve zachrypniętym głosem i odchrząknął. -

Twoje łóżko nie stoi przecież przy oknie.

Spojrzała na niego niebieskimi, przejrzystymi oczyma.

- Wiem.

Wziął jej twarz w drżące dłonie.

- Abby?

Objęła go rękami za szyję i przyciągnęła do siebie.

- Tak - szepnęła. - Kochaj mnie, Steve. Proszę.

W jego oczach, nim je zamknął, zbliżając usta do jej warg, rozbłysła namiętność, którą tak starannie i długo ukrywał. Kiedy dotknął jej warg, Abby zadrżała. Całował ją coraz mocniej, rozchylając stopniowo jej usta niecierpliwym językiem. Krew zaczęła szybciej krążyć jej w żyłach i poczuła, że z trudem trzyma się na nogach.

- Wydaje mi się, że czekałem całe życie, żeby wziąć cię w ramiona - szepnął Steve, przesuwając dłońmi po plecach Abby i coraz mocniej przyciągając ją do siebie. - Strasznie cię chcę, Abby,

Spojrzała na niego roześmianymi, błyszczącymi radością oczyma.

- Wiem - stwierdziła, poruszając prowokująco biodrami. - Czuję to.

- Bezczelna dziewczyno! Nie masz wcale wstydu! - odparł z uśmiechem. Powoli rozpiął guziki jej bluzki i lekko przesunął palcami po brodawkach piersi.

- Mmmm. Coś mi mówi, że i ty jesteś nie od tego. - Jego uśmiech zgasł, a oczy nabrały ciemnej, intensywnej barwy. - Powiedz, Abby, że mnie chcesz.

- Chcę cię, Steve. Potrzebuję cię. Kocham cię, pomyślała.

Zsunął jej z ramion bluzkę, która łagodnie opadła na podłogę. Za nią pofrunął po chwili stanik. Steve wsunął dłonie w jej włosy i przyciągnął ją do siebie.

- Moja kochana Abby - mruknął ochryple. - Czy ktoś zacałował cię już kiedyś na śmierć? - spytał, przyglądając jej się błyszczącymi oczyma.

- Nie. Czy to masz zamiar zrobić? Powoli pochylił głowę do jej ust.

- To i jeszcze parę innych rzeczy.

Zaśmiała się, zadowolona, że nadal łączy ich radość i poczucie humoru, nawet w chwili największej napiętności. Zaczęła mu opowiadać, jak bardzo go lubi, jak bardzo się cieszy, iż jest jej przyjacielem, ale Steve zręcznie rozpiął suwak jej dżinsów i nagle stanęła naga w jego ramionach.

Zadrzała z pożądania tak gwałtownie, jak jeszcze nigdy w życiu, i śmiech zamarł jej na ustach. Przez moment nie mogła złapać oddechu i wykrztusić z siebie słowa, choć słowa i tak przestały się liczyć. Serce biło jej coraz mocniej, zagłuszając wszelkie inne dźwięki i tłumiąc inne odczucia, aż Abby wydawało się, że poza magicznym kręgiem ramion Steve'a nic nie istnieje. W jego pocałunku odczuwała własne pożądanie, w jego dotyku - własną, nieopanowaną i nieokiełznaną napiętność.

Gdy kładł ją delikatnie na podłódze, na którą wcześniej rzucił poduszkę z kanapy, Abby westchnęła w niecierpliwym oczekiwaniu. Przez głowę przebiegła jej myśl, że w całym swoim dotychczasowym, dwudziestoosmioletnim życiu kochała się z mężczyzną wyłącznie na łóżku w sypialni. Tymczasem Steve brał ją w swe posiadanie: biodro przytulone do biodra, dłoń do dłoni, serce przy sercu. Wszystkie myśli gdzieś się ulotniły.

Kiedy ją w końcu posiadał całkowicie, świat Abby rozpadł się w ogromnym, kolorowym wybuchu miłości i szczęścia.

Następnego dnia w pracy Abby spodziewała się, że współpracownicy zażądają wyjaśnień w związku z jej zmienionym wyglądem. Jeden rzut oka w lustro w poniedziałkowy poranek potwierdził, że noc spędzona na namiętnej i szalonej miłości ze Steve'em Kramerem ma niesłychany wpływ na wygląd kobiety.

Abby stwierdziła z zadowolonym uśmiechem, że brak snu doskonale jej zrobił.

Koledzy tymczasem okazali się niezbyt spostrzegawczy i woleli rozmawiać o gwiazdach piłki nożnej minionego weekendu niż zastanawiać się nad gwiazdami, które błyszczały w jej oczach. Wkrótce po przyjeździe do biura Abby zajęła się zatem przygotowaniem eksponatów na wystawę w Muzeum Sztuki, nucąc pod nosem i przeglądając kolejne teczki i foldery. Zamilkła nagle, gdy zadzwonił miejski telefon. Z obawą podniosła słuchawkę.

- Abigail Deane - powiedziała drżącym głosem.

- Cześć, Abigail. Mówi Peter Graymont.

Abby odetchnęła. Peter zapraszał ją na przyjęcie na cześć chińskich waz w czasie przerwy obiadowej w swoim sklepie z antykami.

- Będzie francuski szampan - obiecał. - I doskonałe kanapki.

Abby miała zamiar wymówić się grzecznie, ale przypomniała sobie, że Peter oprócz tego, że jest specjalistą od antyków, pracuje także jako doradca prokuratora stanu Kolorado. Dokładnie ktoś taki był jej teraz potrzebny. Będzie jej mógł doradzić, jak odszukać w archiwach kopie dokumentów, które skradziono z mieszkania. Cały czas coś ją w tych zaginionych świadectwach urodzin i zgonu niepokoiło. Była pewna, że byłaby w stanie wyświecić tę tajemnicę, gdyby mogła jeszcze raz je obejrzeć.

- Przyjdę punktualnie o wpół do pierwszej - powiedziała. - Dziękuję za zaproszenie. Czy mógłbyś mi poświęcić dziesięć minut? Chciałabym z tobą porozmawiać i o coś cię poprosić.

- Nie ma sprawy, Abigail. Wiesz, że zawsze chętnie ci pomogę. Należysz do tych kobiet, które autentycznie podziwiam.

To znaczy do jakich? Abby odłożyła słuchawkę, uśmiechając się do siebie. Do takich, które tracą wszelkie zahamowania, oddając się swemu kochankowi na podłodze?

Czy do takich, które wyprężają ciało, domagając się namiętych pieszczot? Na wspomnienie ubiegłej nocy lekko się zaczerwieniła.

- Ładnie dziś wyglądasz, Abby - powiedziała główna archiwistka, kobieta pięćdziesięcioletnia o macierzyńskich skłonnościach, przechodząc przez jej pokój. - Masz nową sukienkę?

- Nie, to stary ciuch.

- Niemniej wyglądasz jakoś inaczej niż zwykle. To zapewne z powodu pogody. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby ktoś był tak promienny w pracy w poniedziałek rano - dodała i weszła do pokoju z mikrofilmami.

„Złote Skarby”, sklep z antykami Petera, pełen był ludzi, choć przerwa obiadowa w pierwszy dzień tygodnia wydała się Abby dość dziwną porą na demonstrowanie potencjalnym klientom cennej chińskiej porcelany. Złapała w przelocie kanapkę i plastikową szklaneczkę z szampanem, i zaczęła się rozglądać za Peterem. Po drodze minęła grupkę zaaferowanych biznesmenów, przecisnęła się obok kilku matron, które rozmawiały o możliwościach podniesienia swego prestiżu w towarzystwie przy pomocy chińskiej wazy z czasów dynastii Song, dochodząc przy tym do wniosku, że waza z epoki Ming byłaby na pewno lepsza, ale też trzykrotnie droższa, a poza tym złote i zielone kolory doskonale pasują do dywanu, i wreszcie odnalazła Petera na zapleczu sklepu.

Stał przy gustownie zaaranżowanej kolekcji małych chińskich miseczek, rozmawiając z dwiema kobietami w średnim wieku. Abby nie posiadała się ze zdumienia, gdy przekonała się, że jedną z nich jest Linda Mendoza, a drugą Gwen Johnson.

Peter podniósł głowę i uśmiechnął się do Abby, podchodząc, żeby ją przywitać.

- Cieszę się, że przyszłaś, Abigail. Pozwól, że ci przedstawię dwie urocze panie, oto Linda Mendoza i Gwen Johnson. Pracują w Banku Federalnym i przyszły, aby rozważyć kupno jednej z moich wspaniałych waz do holu bankowego.

- My się już znamy - powiedziały jednocześnie wszystkie trzy kobiety i zapadła niezręczna cisza.

Pierwsza odezwała się Linda Mendoza.

- Z pewnością spotykamy się dzisiaj w przyjemniejszych okolicznościach - stwierdziła.

- Owszem. Mam nadzieję, że pani Taylor jakoś sobie radzi.

- Słyszałam, że jest bardzo dzielna. I znów niezręczna chwila ciszy.

- Czy interesuje się pani chińskimi antykami, Abigail? - spytała Gwen Johnson, zmieniając temat ku zadowoleniu pozostałych.

- Mój ojciec bardzo lubił ludową ceramikę amerykańską, a mnie fascynuje rzeźba prekolumbijska, obawiam się jednak, że nie mam pojęcia o sztuce chińskiej, czy też dalekowschodniej.

Gwen uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

- A zatem jesteśmy w podobnej sytuacji. Główny hol banku zostanie odnowiony i Keith Boverly uważa, iż można by wziąć pod uwagę motywy wschodnie. Kolorado ma dziś wiele finansowych powiązań z Chinami. Niestety nie potrafię odróżnić bezcennego antyku od drugorzędnej podróbki, jednakże wystrój banku należy do moich obowiązków, dlatego tu w ogóle jestem. - Gwen

skinęła głową w stronę współpracownicy. - Linda była tak dobra, że zgodziła się towarzyszyć mi i coś doradzić. Ona się na tym zna.

- Zna się pani na chińskiej porcelanie? - spytała Abby, starając się, żeby jej głos brzmiał jak najbardziej naturalnie.

Naturalne zachowanie przychodziło jej z wielkim trudem, ponieważ z jednej strony usiłowała wyobrazić sobie Lindę Mendozę jako byłą kochankę ojca, z drugiej zaś - nie opuszczała jej koszmarna myśl o Lindzie i panu Boverym jako współnikach i zabójcach.

Konwenanse towarzyskie są koszmarnie głupie, stwierdziła w duchu. Prawda o przeszłości Lindy może być dla mnie sprawą życia i śmierci, a ja gawędzę z nią, jakby nigdy nic, o dwustuletnich chińskich wazach.

- Sztuka wschodu to moje hobby - przyznała nieśmiało Linda.

Czy naprawdę jest taka nieśmiała? I czy ktoś powiedział, że nieśmiały człowiek nie może być mordercą?

- Mam także dyplom dekoratora - powiedziała Linda. - Kiedy już uda mi się odłożyć parę tysięcy dolarów, otworzę własną firmę zajmującą się urządzeniem wnętrz.

- Tymczasem traci czas i marnuje swój talent, pracując w banku - rzuciła Gwen, zerkając na zegarek. - Mam bardzo dużo zajęć po południu, Peter. Mam nadzieję, że się nie obrazisz, gdy cię poproszę, żebyś zostawił nas same z Lindą na parę minut. Musimy porozmawiać o tych wazach.

- Ależ skąd - zapewnił Peter. - Jestem zdumiony i zachwycony zainteresowaniem, jakie wzbudziły moje wazy. Nie brak chętnych nabywców. Wiem, że Abigail też chciała porozmawiać ze mną na osobności, więc teraz mamy doskonałą okazję. Może przejdziemy do biura, Abigail?

Abby weszła za nim do urządzonego z przepychem pokoju, zastanawiając się, jak Peter mógł skupić się na pracy w tak barokowym wnętrzu.

Gestem wskazał jej krzesło Ludwika XVI obite jedwabiem.

- Masz pustą szklanę, moja droga. Pozwól, że ci ją napelnę z mojej prywatnej rezerwy.

Ze stojącego na biurku kubelka z lodem wyjął otwartą butelkę szampana i dolał Abby. Upiła niewielki łyk i odstawiła szklaneczkę. Po południu czekało ją stanowczo zbyt dużo pracy, aby mogła sobie pozwolić na alkohol i późniejszą senność.

- Przejdę od razu do rzeczy, Peter. Znalazłam się w szalenie dziwnej sytuacji.

- Doprawdy, Abigail? Jesteś pewna, że nie mówimy o twojej siostrze Kate? - spytał Peter, unosząc brwi.

Abby uśmiechnęła się, ale prędko spoważniała, opowiadając mu w skrócie, choć bez pomijania najważniejszych szczegółów, wydarzenia z ostatnich paru dni. Starannie przy tym unikała jakichkolwiek oskarżeń i podejrzeń pod adresem Keitha Bovery'ego.

- Nie mam pojęcia, dlaczego skradziono mi te świadectwa urodzin i zgonu - powiedziała, zdając sobie sprawę, że nie mówi całej prawdy.

Nagle wydało jej się całkiem oczywiste, że oba świadectwa musiały zniknąć, żeby się nie wydała oszukańcza rola Douglasa. Ujawnienie informacji, że Christopher Deane Renquist zmarł w wieku kilku miesięcy, było dla kogoś ogromnym zagrożeniem. Ale dla kogo? Cholera, musi jak najprędzej zobaczyć oryginały i przekonać się, co takiego nie daje jej spokoju. - tak czy owak, ktoś miał jakieś powody - dodała pospiesznie. - Nikt nie ryzykowałby aż tak bardzo, gdyby nie musiał.

- To prawda. Włamanie to poważna sprawa, Abigail. Bardzo poważna. Mam nadzieję, że zmieniłaś zamek w drzwiach?

- Ślusarz przyszedł dziś o szóstej rano.

- Bardzo mi przykro z powodu tego wszystkiego, Abigail. To musi być dla ciebie koszmar. Nie jestem jednak pewien, jak mógłbym ci pomóc. Czy

chciałabyś się przeprowadzić do mojego domu w mieście, dopóki wszystko się nie wyjaśni?

- Dzięki, ale nie o to mi chodzi. W moim domu mieszka Steve Kramer i zawsze mogę pójść do niego na noc. Natomiast chciałabym zobaczyć kopie tych świadectw, ale nie mogę tego zrobić, bo, jak wiesz, w naszym stanie te archiwa są niedostępne dla zwykłych ludzi.

- Możesz wystąpić o specjalne pozwolenie - zaproponował Peter. - Skontaktuj się z prawnikiem waszej rodziny. Może on będzie ci mógł pomóc?

- Znasz pana Tubbsa? - spytała Abby. - Jego pojęcie o szybkim załatwieniu sprawy mieści się w granicach następnego dziesięciolecia. Poza tym musiałabym podać jakąś ważną przyczynę.

Jako archiwistka Abby doskonale знаła przepisy regulujące dostęp do tego rodzaju dokumentów. W stanie Kolorado były one szczególnie surowe.

- Jak mogę podać ważną przyczynę, skoro nie wiem nawet, kim był Christopher Deane Renquist? Poza tym jest jeszcze jeden problem. Nie potrafię podać dokładnych dat, co oznacza, że trzeba przeszukać dokumenty z całego roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego czwartego. A dokumenty z tego roku nie są skomputeryzowane. Nie jestem pewna, czy są na mikrofilmach. Żeby więc znaleźć te dwa świadectwa, trzeba by przejrzeć, strona po stronie, rejestr urzędu stanu cywilnego w Arapahoe County.

Peter spojrzał na nią z rezygnacją.

- Podejrzewam, że wiem, o co chcesz mnie prosić.

- Czy możesz mi załatwić wejście do tego urzędu, Peter?

- Zaraziłaś się od Kate niedobrymi pomysłami. Szukanie tych dokumentów jest w twoim wypadku nielegalne, Abigail.

- Proszę cię w imię naszej przyjaźni, Peter. Na pewno dobrze znasz tamtejszych urzędników. Nie mógłbyś ich poprosić o przysługę w moim imieniu?

- Chyba mógłbym. Wydaje mi się jednak, Abigail, że powinnaś szukać tych informacji za pośrednictwem policji.

- Policja też się tym zajmuje służbowymi kanałami. I w tym jest właśnie problem, Peter. Służbowe działania ciągną się całymi dniami, a nawet tygodniami. Sam wiesz, jak to jest. Oboje mamy na co dzień do czynienia z biurokracją. Zanim oni się czegokolwiek dowiedzą, mnie może już nie być na tym świecie.

- Jestem pewien, że porucznik Knudsen do tego nie dopuści, moja droga. Jeśli zaś chodzi o te dokumenty... Cóż, czasami musimy chyba zapomnieć o przepisach i robić to, co uważamy za słuszne. Tak jak się spodziewałaś, znam właściwą urzędniczkę. Zadzwońię do niej i dam ci znać.

- Dziękuję, Peter. Bardzo ci dziękuję.

Abby, ku własnemu zdziwieniu, rzuciła się na niego i pocałowała go w policzek. Peter ma rację, pomyślała rozbawiona. Złapałam od Kate zarazek miłości.

Graymont powoli podniósł się zza biurka.

- Nie skończyłaś szampana. Może zostaniesz jeszcze chwilę? Dokąd tak się spieszysz, Abigail?

- Dokąd by, jak nie do pracy? - odparła, biorąc torebkę. - Zadzwoń do mnie, jak tylko coś załatwisz, dobrze? Nie chciałabym być namolna, ale to naprawdę jest dla mnie ważne.

Peter otworzył drzwi biura i spojrzał podejrzliwie na Lindę Mendozę i Gwen Johnson, które nadal stały obok, pograżone w ożywionej rozmowie.

- Abigail - mruknął z wyrzutem i dodał głośniejszym głosem: - Odezwe się, gdy znaję to, czego szukasz. Dziękuję, że przyszłaś.

- To ja dziękuję - powiedziała cicho, ale z naciskiem. - Jestem ci bardzo wdzięczna, Peter.

- Proszę, proszę, to jakieś poważne sprawy - zauważyła Gwen Johnson, przerywając rozmowę.

- Wcale nie - zaprzeczyła z uśmiechem Abby. - Cieszę się, bo w piękny, słoneczny dzień zjadłam pyszne kanapki z łososiem, popijając szampanem, i obejrzałam cudowne chińskie wazy.

- Cieszy się pani życiem - stwierdziła Linda Mendoza. - I w dodatku w poniedziałek.

W jej głosie zabrzmiał cień gniewu, jakby zazdrościła Abby.

- Wygląda na to, że w tym tygodniu uda mi się rozwiązać pewne stare problemy - rzuciła Abby z wyszukaną obojętnością.

Pochwyciła na sobie wzrok Lindy i śmiało spojrzała jej w oczy. Tak, proszę pani, jestem na pani tropie, pomyślała. Chętnie się z panią zmierzę.

- To niezły powód do zadowolenia - stwierdziła z uśmiechem Linda Mendoza, wyglądając przy tym najniewinniej w świecie. - Czy bank wyjaśnił wreszcie sprawy z kontem fundacji rodzinnej Abigail, Gwen?

- Tak, wszystkie - odpowiedziała z przesadną cierpliwością Gwen Johnson. - Dlatego podpisywaliśmy w sobotę te wszystkie papiery, Lindo. Do widzenia pani, Abigail. Miło mi było znów panią zobaczyć.

Peter odprowadził Abby do wyjścia.

- Postaram się załatwić coś na dzisiejsze popołudnie. I, proszę cię, Abigail, trochę więcej dyskrecji. Wiesz, że łamiemy przepisy, a oboje jesteśmy pracownikami państwowymi. Na litość boską, nie opowiadaj przynajmniej całemu światu, dokąd się wybierasz i co zamierzasz tam robić.

- Nikomu nie powiem ani słówka - obiecała Abby. - To będzie nasza tajemnica. Nikt oprócz nas nie będzie o tym wiedział.

ROZDZIAŁ 9

Abby była przyjemnie zaskoczona, gdy Peter zadzwonił już po niespełna godzinie. Najwyraźniej trochę zdenerwowany, unikając konkretów, powiedział jej, że „ktoś” w urzędzie stanu cywilnego dla Arapahoe County zaaranżuje pobyt Abby w specjalnym pomieszczeniu z odpowiednimi dokumentami o wpół do piątej po południu.

- Obiecała mi pół godziny i musiałem przysiąc, że nie zostawię cię samej nawet na chwilę. Strasznie ryzykuje. Gdyby coś się stało z tymi dokumentami, poszłaby do więzienia.

- Jestem ci niewymownie wdzięczna, nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo.

Abby wiedziała, dlaczego urzędniczka wyznaczyła jej limit czasu, choć żałowała, iż ma go tak niewiele. Odkrycie czegokolwiek w ciągu trzydziestu minut wymagało dużej dozy szczęścia.

- Z przyjemnością ci się odwdzięczę, jeśli będziesz czegoś potrzebował, Peter.

- Proszę bardzo. Pamiętaj, że chodzi o pracę mojej znajomej i nie mów nikomu, co zamierzasz. Tylko tyle.

- Możesz na mnie polegać. Rozumiem, że twoja znajoma ryzykuje. Zobaczymy się na miejscu o wpół do piątej.

- Zaczekaj! Nie ma sensu, żebyśmy oddzielnie jechali do Littleton. Podjedź do sklepu i zabierz mnie swoim samochodem. Albo ja podjadę po ciebie. Co wolisz.

- Sensowniej byłoby, gdybyś ty przyjechał po mnie, wtedy nie nadkładamy drogi. Za piętnaście czwarta?

- Świetnie. Nie możemy się spóźnić, bo moja znajoma musi zamknąć biuro o piątej. Czy możesz czekać na mnie na ulicy?

Ustalili, że się spotkają niedaleko wejścia do Towarzystwa Historycznego i skończyli rozmowę. Abby wróciła do pracy, chciała bowiem uporać się ze wszystkim przed wyjściem.

Obiecując Peterowi, że nie powie nikomu o nielegalnych poszukiwaniach dokumentów, Abby nie wzięła pod uwagę, że Steve zadzwoni do niej do pracy.

- Może zjedlibyśmy wczesną kolację u Giovanniego? - zaproponował. - Moglibyśmy tam pojechać od razu po pracy i omówić nowe wydarzenia przy świetle świec. Mam ci mnóstwo do powiedzenia. Między innymi to, że drugie imię Lindy Mendozy zaczyna się na literę R. I nigdzie w komputerze nie znalazłem pełnego imienia, tylko ten inicjał - dodał znacząco.

Abby gwizdnęła cicho.

- Mówiłeś Knudsenowi?

- Tak, sprawdzi to w towarzystwie ubezpieczeniowym. Nadal jednak nie jest specjalnie zainteresowany naszą teorią o powiązaniach twojego ojca i Keitha Bovery'ego oraz jakimiś wydarzeniami jeszcze z Korei. Nie przywiązuje dużej wagi do tajemniczych spraw sprzed trzydziestu pięciu lat. Znacznie bardziej zainteresował się moimi dowodami na to, że Howarda Taylora chciano zrobić w oszustwa bankowe.

- Naprawdę coś znalazłeś? To fantastycznie! - wykrzyknęła Abby. - Jakie to dowody?

- Sprawdziłem daty wszystkich defraudacji i porównałem je z datami nieobecności Howarda w banku. Pierwsza kradzież miała miejsce, gdy Howard był w podróży poślubnej. Od tego zacząłem. Wziąłem kalendarz jego służbowych wyjazdów i szczegółowo go przestudiowałem. Howard rzadko wyjeżdżał, ale do kolejnej defraudacji doszło, kiedy miał spotkanie służbowe w Chicago. Nie byłby w stanie wykonać odpowiednich działań na swoim komputerze.

- Czy możesz sprawdzić urlopy Keitha Bovery'ego, jego wyjazdy z miasta i ich związek z fałszywymi zleceniami przelewów?

- To właśnie teraz robię. Nie tylko Keitha, ale i innych pracowników. Jeśli będzie trzeba, jutro porównam dane dla każdego urzędnika, sekretarki i kasjera zatrudnionego w banku. Uzyskanie odpowiednich informacji i napisanie programu zajęło mi cały dzień, ale teraz wpisuję go do komputera i wykaz będzie gotowa jeszcze dzisiaj. Spotkajmy się u Giovanniego o szóstej. Akurat zdążę wszystko zakończyć.

Jeszcze godzinę wcześniej Abby nie przyszłoby nawet do głowy, że propozycja kolacji ze Steve'em mogłaby ją wprowadzić w zakłopotanie.

- Nie mogę - westchnęła. - Posłuchaj, Steve, spotkajmy się później w twoim mieszkaniu. Nie jestem pewna, o której stąd dzisiaj wyjdę.

- Abby. - W głosie Steve'a brzmiała podejrzliwa nuta. - Rozróżniam każdy niuans w twoim cudownym głosie. W tej chwili masz poczucie winy, a jednocześnie jesteś podekscytowana. To cholernie niebezpieczna kombinacja. Co ty, do diabła, knujesz?

- Nic - odparła szybko i zaklęła w duchu. Sama słyszała, że zabrzmiało to bardzo nieprzekonująco. - Naprawdę, Steve, nic takiego. Zamierzam zebrać pewne informacje.

- Skąd? Gdzie? Od kogo? Abby, chyba nie zamierzasz z kimś się spotkać, co? Dlaczego masz opinię osoby rozsądnej? Czasami myślę, że Kate ma więcej zdrowego rozsądku niż ty.

- Nie musisz obrażać mojej siostry.

- O nie, mała, mnie na to nie nabierzesz. Nie uda ci się zmienić tematu. Albo mi powiesz, dokąd się wybierasz, albo zadzwonię zaraz do porucznika Knudsena i poproszę, żeby wysłał policjantów do Towarzystwa Historycznego i cię aresztował.

- Za co? - spytała z oburzeniem. - Nie robię niczego niele... - Urwała gwałtownie, zdając sobie sprawę, że to, co zamierzała zrobić, było wysoce nielegalne.

- Posłuchaj, Abby - powiedział Steve ostrzegawczo. - Mam u siebie na biurku dwa telefony i właśnie zaczynam wystukiwać numer Knudsena na drugim aparacie.

- Dobrze! Nie dzwoń do Knudsena. Jeśli chcesz wiedzieć, to dziś po południu wybieram się w jedno miejsce z Peterem Graymontem. Nic więcej ci nie powiem.

- Dokąd jedziesz? I po co? To na pewno jest coś podejrzanego, skoro tak się denerwujesz wzmianką o poruczniku.

- Zobaczymy się wieczorem - powiedziała Abby, starając się, żeby brzmiało to godnie i statecznie. - To znaczy spotkam się z tobą wieczorem, jeśli przestaniesz się zachowywać jak... jak dozorca w zoo. Jestem twoją kochanką, a nie nieletnią córeczką czy ulubioną małąką lub czymś w tym rodzaju.

Rzuciła słuchawkę z głośnym trzaskiem. Człowiek najlepiej się awanturuje, kiedy wie, że sam jest nie w porządku.

- Proszę, proszę - powiedziała główna archiwistka, spoglądając na Abby znad wielkiego kartonu z papierami. - Podśluchiwanie staje się tutaj coraz bardziej interesujące.

Abby powinna była się domyślić, że Steve tak łatwo nie zrezygnuje. Kiedy zeszła na dół za dwadzieścia czwarta, spokojnie opierał się o latarnię przed wejściem.

- Co ty tu robisz? - spytała ze złością, ale serce zadrżało jej z podniecenia.

Mimo iż Steve swoim przybyciem komplikował jej plany, jego widok sprawił jej radość.

- Podziwiam okolicę - odparł ironicznie. - W tej części miasta macie wspaniałe widoki - dodał, taksując aprobującym wzrokiem jej jedwabną bluzkę.

- Choć widok z twojej sypialni jest dużo lepszy. Nie mówiąc już o fantastycznym widoku z dywanu w dużym pokoju.

Abby poczuła, że nogi jej miękną, a policzki nabierają koloru purpury.

- Idź stąd - powiedziała. - Natychmiast stąd odejdz. Proszę cię, Steve, nie rozumiesz.

- Rozumiem doskonale. Jesteś pod obserwacją nieznanego mordercy, który zamierza pozbawić cię życia przy pierwszej nadarzającej się okazji, a ty wybierasz się gdzieś, nie mówiąc nikomu o swoich planach. Daj spokój, Abby. Czy to ci się wydaje rozsądne?

- Mówiłam ci, że się umówiłam z Peterem Graymontem.

- Fakt. To mnie szalenie uspokaja. Czy nigdy nie przyszło ci do pięknej główki, że za każdym razem, gdy Peter pojawiał się w pobliżu Kate, ktoś do niej strzelał albo ją ścigał, albo wysadzał w powietrze samolot?

- Przecież to nie Peter strzelał! - krzyknęła Abby. - Był postronnym obserwatorem, który starał się wyciągnąć Kate z kłopotów.

- I to samo robi teraz? Stara się wyciągnąć cię z kłopotów? Uważaj, żeby ci nie pomógł raz a dobrze. Na zawsze. Leżąc w kostnicy, nie będziesz miała żadnych kłopotów.

- Jesteś śmieszny - powiedziała Abby przez zęby. - Peter niczego mi nie sugerował. To ja poprosiłam go o przysługę. To duża sprawa i Peter podszedł do niej poważnie. W przeciwieństwie do niektórych osób.

W tej samej chwili przy krawężniku zatrzymał się zgrabny samochód srebrnego koloru. Z okna wyjrzał ciemnowłosy Peter.

- Jesteś gotowa, Abigail? - zawołał.

- Tak - odparła i podeszła do samochodu, ignorując Steve'a. - Doceniam twoje wysiłki, Peter - mruknęła i zajęła miejsce koło kierowcy.

Steve wyprostował się i podszedł do krawężnika. Z uśmiechem podsunął rękę pod nos Peterowi.

- Cześć, jestem Steven Kramer, kochanek Abby. Chyba się nie znamy, choć muszę przyznać, że dużo o panu słyszałem. Usiądę z tyłu, dobrze? W tych zagranicznych samochodach trzy osoby nie mieszczą się z przodu.

Nie czekając na odpowiedź kompletnie zaskoczonego Petera, wsiadł do środka i zapiał pas.

Abby siedziała jak sparaliżowana.

- W porządku. Ja jestem gotów - oznajmił z wesołym uśmiechem Steve.

Peter z oburzeniem obrócił się do Abby.

- Jak mogłaś? Tłumaczyłem ci przecież, że musimy być szalenie dyskretni. Teraz będę musiał odwołać naszą... naszą wycieczkę. Przynajmniej tyle mogę zrobić. Dzięki Bogu nie powiedziałem ci, jak się nazywa moja znajoma.

Abby z wściekłością spojrzała na „kochanka”, który odpowiedział jej przyjaznym uśmiechem. Niech go diabli. Z przyjemnością powiesiłaby go za nogi na latarni, którą przed chwilą podpierał.

- Nic nie powiedziałam Steve'owi. Problem w tym, że niepokoi się o moje bezpieczeństwo, nie wiadomo resztą dlaczego, bo przecież w twoim towarzystwie nic mi nie grozi.

O dziwo, ponura twarz Petera rozjaśniła się nieco.

- Rozumiem, że po ostatnich atakach na twoją osobę, Abby, twój narzeczony stara się cię chronić.

- Chronić! On! - Abby o mało co nie prychnęła pogardliwie.

Przynajmniej Peter był na tyle dobrze wychowany, że zastąpił „kochanka” bardziej delikatnym „narzeczonym”. Nie mogła zrozumieć, dlaczego po prostu nie wyrzuci Steve'a ze swego samochodu. Choć, może biorąc pod uwagę ich budowę i siłę fizyczną, rozumiała to aż za dobrze. Spojrzała na zegarek. Czas płynął nieubłaganie. Jeśli się nie pośpieszą, pocałują kłamkę. Przeklęty Steve Kramer! W tym momencie doprowadzał ją do szału. Postanowiła jednak skupić się teraz na sprawach znacznie ważniejszych. Chodziło przecież o te świadectwa.

- Posłuchaj, Peter, czy moglibyśmy mimo wszystko pojechać tam, gdzie planowaliśmy, jeśli Steve zostanie cały czas w samochodzie? Wtedy nie będzie żadnym zagrożeniem dla twojej znajomej, prawda? Nawet jej nie zobaczy.

- No, dobrze - zgodził się niechętnie Peter. Zdjął nogę z hamulca i spojrzął za siebie. - Musi pan dać słowo honoru, Steven, że nie ruszy się pan z samochodu, kiedy dojedziemy na miejsce.

- Słowo - powiedział Steve. - A teraz niech pan mi wreszcie powie, dokąd się wybieramy.

Abby i Peter spojrzeli na siebie. W końcu Peter wzruszył ramionami.

- To chyba nie ma większego znaczenia - stwierdził. - Jedziemy do urzędu stanu cywilnego Arapahoe County w Littleton.

Abby była przekonana, że Steve natychmiast pojął, po co tam jadą, ale najwyraźniej nie chciał dolewać oliwy do ognia i skinął tylko głową, słowem nie wspominając o świadectwach. Być może doszedł do wniosku, że trochę przesadził z tą opieką.

Po drodze Abby starała się załagodzić sytuację, rozmawiając z Peterem o sukcesie jego pokazu w sklepie „Złote Skarby” i o zdumiewającym zainteresowaniu, jakie od niedawna zaczęła budzić sztuka orientalna w sercu Dzikiego Zachodu. Steve milczał. Obserwował przez okno mijające ich samochody.

Nagle pochylił się naprzód i zaczął się czemuś intensywnie przyglądać w bocznym lusterku. Potem odpiął pas i obejrzał się.

- Ktoś za nami jedzie - powiedział. - Brązowy buick. Stary model. Kierowca ma ciemne ubranie i jakąś czapkę. Słońce świeci mi prosto w twarz - dodał, mrużąc oczy. - Nie mogę odczytać tablicy rejestracyjnej.

- Chyba się panu zdaje - stwierdził Peter. - Dlaczego ktoś miałby nas śledzić? - Spojrzął na Abby kątem oka i szybko się wycofał: - Zapomniałem o tym, co ci się przydarzyło w ostatnich dniach. - Zabębnił nerwowo palcami w kierownicę i kilka razy spojrzął we wsteczne lusterko. - Widzę jakiś samochód,

ale czy jest pan pewien, że jedzie za nami? O tej porze wszyscy jadą na południe.

- Niech pan przyspieszy i zmieni pas - zaproponował Steve. Peter posłuchał. Buick za nimi wykonał ten sam manewr.

Wyprzedził dwa samochody, zajechał drogę czerwonemu mustangowi i znów był o cztery samochody za accordem Petera.

- To chyba jednak znaczy, że jedzie za nami - powiedziała Abby.

Uczucie zadowolenia po nocy spędzonej ze Steve'em, które przepelniało ją cały dzień, znikło bez śladu. Wróciła rzeczywistość. Ktoś chciał ją zabić.

- Skąd wiedzieli, dokąd jadę? - spytała z westchnieniem. - Naprawdę mam już dość tego wszystkiego.

Ciemne oczy Petera spojrzały na nią współczująco.

- Przypuszczam, że ktoś cię śledzi.

Abby zadrżała i Steve lekko dotknął jej ramienia.

- Nie bój się, mała, nie mogą nam nic zrobić w biały dzień na autostradzie.

- Mogą nas zepchnąć z drogi - powiedziała cicho Abby.

- Za duże ryzyko, za dużo świadków i za duży ruch, żeby można było łatwo uciec.

- Nie martw się - przerwał mu Peter. - Zjadę z autostrady w Evans i go zgubię.

Nie czekając na reakcję Steve'a i Abby, z zaskakującą brawurą przejechał przez trzy pasma autostrady i z piskiem opon zjechał zjazdem I-25.

- Ale go załatwiłem - stwierdził z zadowolonym uśmiechem. - Pokręcę się po bocznych uliczkach i pojedę dalej. Tędy też możemy dojechać do naszego urzędu.

Abby zawsze uważała Petera za człowieka unikającego sytuacji, które mogłyby się wiązać z fizycznym niebezpieczeństwem, tymczasem teraz był on

wyraźnie podekscytowany. Z pewnością nie doceniała jego umiejętności prowadzenia samochodu.

Peter - w doskonałym nastroju - przejechał kilkoma wąskimi uliczkami, a potem wjechał z powrotem na Evans Avenue, główną arterię prowadzącą ze wschodu na zachód w tej części miasta.

- Piętnaście po czwartej - powiedział, rzucając okiem na zegarek. - Spóźnimy się parę minut. Straszny tu ruch.

- Czy twoja znajoma poczeka? - spytała Abby.

- Pięć minut na pewno. Nie dłużej. Za duże ryzyko.

- Brązowy buick znów za nami jedzie - przerwał im ostro Steve.

- Co?! - Abby odwróciła się. - Jak nas, do diabła, znaleźli?

Peter, nie odzywając się ani słowem, wypatrzył lukę między jadącymi z naprzeciwka samochodami i, nie przejmując się przepisami drogowymi, gwałtownie zakręcił i zmienił kierunek jazdy. Następnie, z tą samą prędkością skręcił w prawo i powtórnie znalazł się w spokojnej, willowej dzielnicy, której uliczki odchodziły od Evans Avenue na północ i południe. Przyhamował, zmniejszając prędkość do obowiązujących pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

- Ciekawe, o co chodzi temu z buicka? - spytał przez zęby. - To już nie są żarty, Abigail. Wydaje mi się, że powinienem w tej chwili poszukać jakiegoś patrolu policyjnego. I tak już się spóźniliśmy.

- Naprawdę strasznie mi zależy na sprawdzeniu tych świadectw, Peter - powiedziała Abby błagalnym tonem. - Tak fantastycznie pojechałeś, że na pewno zgubiłeś tego faceta. Czy nie moglibyśmy najpierw pojechać do urzędu stanu cywilnego, a potem na policję?

Peter wzruszył ramionami.

- Jak chcesz. W końcu to ciebie śledzą, a nie mnie. Gdzie my w ogóle jesteśmy? - zapytał, wyglądając przez okno. - Nie mogę się zorientować.

- Jesteśmy przy Cedar Avenue - powiedział Steve. - Żeby wrócić na Evans Avenue, musi pan skrócić w pierwszą ulicę w lewo.

- Cedar Avenue? Już tu kiedyś byłem. - Peter znów wyjrzał przez okno. - Tak, mogę tutaj skrócić na południe i wyjechać na Colorado Boulevard. To będzie najkrótsza droga.

Wjechał tyłem w czyjś podjazd i jeszcze raz zmienił kierunek. Kiedy przejechał już około stu metrów w stronę niewielkiego skrzyżowania i zmniejszał szybkość przed znakiem stopu, z wąskiej bocznej uliczki wyjechał z dużą prędkością brązowy samochód, kierując się wprost na nich.

Peter z całej siły przekręcił kierownicą, ale nie udało mu się zjechać na bok. Brązowy buick, przy wtórze pękającego metalu, uderzył prawym przednim błotnikiem w lewy bok samochodu Petera. Poleciało szkło z reflektorów i przez jedną sekundę, dłuższą niż wieczność, Abby zamarła w oczekiwaniu na huk wystrzału. Jednakże nic takiego nie nastąpiło. Buick bardzo prędko odjechał i przy wjeździe na skrzyżowanie został tylko zniszczony samochód Petera.

- Proszę wyłączyć silnik i odblokować drzwi - powiedział Steve. - Wsiadajcie z samochodu, szybko!

Peter wpatrywał się przed siebie nie widzącym wzrokiem.

- Mój nowy samochód - mruknął. - Mój biedny nowy samochód. Zupełnie zniszczony. Do kasacji.

- Niech pan wyłączy silnik i odblokuje drzwi - powtórzył Steve, podnosząc lekko głos. - Niech pan wyłączy silnik, Peter! W każdej chwili samochód może się zapalić.

Peter, choć sprawiał wrażenie, że niczego nie słyszy, najwyraźniej zareagował na rozkazujący ton Steve'a, ponieważ posłusznie przekręcił kluczyk i nacisnął guzik, który odblokowywał drzwi. Steve wyskoczył z samochodu i w biegu otworzył drzwi od strony Abby, która drząc cała ze strachu i z zimna, powoli wydostała się na zewnątrz.

- Nie jest tak źle, jak myślałem - stwierdził Steve, oglądając rozbity samochód. - Biorąc pod uwagę, że tamten facet celowo w nas wjechał, szkody nie są dramatyczne. Rozwalony jest jedynie lewy bok. Zderzak osłonił przód samochodu i silnik też nie wygląda na uszkodzony.

Tymczasem podszedł do nich blady i zmartwiony Peter.

- Zapłacę majątek za naprawę - orzekł ponuro.

- Oddam ci za wszystko, czego nie obejmie ubezpieczenie - powiedziała prędko Abby.

- Nie musisz - odparł bez przekonania Peter.

- Ale chcę. Gdyby nie ja, nic by ci się nie stało.

- Dzięki. I tak większość z tego pokryje ubezpieczenie.

Peter wydawał się lekko pocieszony faktem, iż samochód nadaje się do naprawy. Spokojniej już podniósł maskę i zajrzał do silnika.

- Chłodnica jest w porządku. Wszystkie przewody podłączone. Nic nie cieknie. Chyba możemy jechać.

Zamknął maskę i znów jego wzrok padł na zbity reflektor i wgnieciony bok. Oczy zaszyły mu łzami. Wyciągnął z kieszeni chustkę i energicznie wytarł nos.

- Przepraszam - powiedział zmienionym głosem. - Odebrałem go dopiero w zeszłym miesiącu. Był taki nowy i błyszczący.

Abby ogarnęły wyrzuty sumienia.

- Naprawdę mi przykro, Peter. Nigdy nie prosiłabym cię o pomoc, gdybym wiedziała, że coś takiego może się zdarzyć.

- Przynajmniej nikomu z nas nic się nie stało, a to najważniejsze - stwierdził, biorąc się w garść. - Jednakże ktoś wyraźnie chce ci zrobić krzywdę, Abigail. Wydaje mi się, że powinnaś potraktować to wszystko bardziej serio i lepiej zadbać o własne bezpieczeństwo. Steven ma rację, że się o ciebie boi. W drodze powrotnej będziemy przejeżdżać obok komisariatu i nalegam...

W tej chwili do skrzyżowania podjechał jaskrawoczerwony hyundai z gromadą młodych ludzi w środku. Młody człowiek wystawił głowę przez okno.

- Potrzebujecie pomocy? - zawołał. - Czy mam zawiadomić pogotowie drogowe?

- Dzięki, ale samochód jest na chodzie - odparł Peter. - Nie widzieliście przypadkiem brązowego buicka? To on nas tak załatwił i nawet się nie zatrzymał.

- Przykro mi, ale nie widzieliśmy. Mam nadzieję, że złapiecie faceta. Nieźle wam przyłożył. - Młody człowiek aż gwizdnął. - Dobra, jeśli nie potrzebujecie pomocy, jedziemy dalej - dodał i ruszył pędem w kierunku autostrady.

- Nawet gdyby widzieli buicka, nie przyszłoby im do głowy, żeby zapisać jego numer - stwierdziła ponuro Abby.

- Zapamiętałem jego numer - powiedział Steve, który spoglądał za czerwonym samochodem z młodymi ludźmi. - Pe-Be-Be siedemset dziewięć.

- To fantastycznie, Steve! - wykrzyknął Peter z rozjaśnioną twarzą. - Teraz z pewnością przyskrzynimy tego sk... no, tego kierowcę.

- Wątpię - odrzekł Steve. - Samochód na pewno był kradziony albo wypożyczony na sfalszowane prawo jazdy.

- Tak pan myśli? - spytał ponuro Peter.

- Ten facet musi w końcu zrobić jakiś błąd - zaprotestowała Abby. - Każdy przestępca kiedyś się potknie.

- Każdy przestępca, którego łapie policja, zrobił jakiś błąd - poprawił ją Steve, spoglądając na zegarek. - Jest prawie piąta. Chyba już nie ma po co jechać do urzędu.

- Nie - przyznał Peter. - Nim tam dojedziemy, wszystko będzie zamknięte na cztery spusty.

- Czyli ten facet w brązowym buicku osiągnął swój cel, prawda? - mruknął Steve.

Peter spojrział na niego ze zdumieniem.

- Co pan ma na myśli?

- Jeśli kierowca buicka chciał nas powstrzymać przed dotarciem do urzędu stanu cywilnego, to mu się udało - wyjaśnił Steve.

- Przecież nie mógł wiedzieć, dokąd się wybieramy - zaproponowała Abby.

- Nikt oprócz Petera i mnie nie wiedział.

- To prawda - powiedział Steve i zamyślił się na chwilę. - Z drugiej strony kierowca buicka nie musiał wiedzieć dokładnie, dokąd jedziesz. Może chciał cię tylko powstrzymać, niezależnie od celu jazdy.

- To jakaś bzdura - stwierdził Peter. - Tyle zaryzykował dla osiągnięcia nie wiadomo czego.

Steve przyglądał się słońcu zachodzącemu w purpurowym blasku za górami.

- Wydaje mi się, że ten ktoś lubi ryzyko. To go podnieca.

Abby schowała lodowate dłonie w rękawy żakietu. Poczula się nagle śmiertelnie zmęczona.

- Czy moglibyśmy teraz wrócić do domu, Steve? - poprosiła cicho.

Nie czekając na odpowiedź, wsiadła do samochodu i przez dłuższą chwilę walczyła z pasem, nim udało jej się go zapiąć. Peter przyglądał jej się ze współczuciem.

- Nie chciałbym się wtrącać - powiedział przyciszonym głosem, zwracając się do Steve'a - i oczywiście może pan powiedzieć, że to nie jest moja sprawa, ale gdyby Abigail była moją narzeczoną, wyprawiłbym ją z miasta najbliższym samolotem.

Steve uśmiechnął się z przekąsem.

- Nie wiem, czy pan zauważył, że Abby nie jest szczególnie posłuszną osobą. Teraz jednak zabieram ją do domu i zamierzam zamknąć na klucz u mnie w mieszkaniu, dopóki nie nabierze rozsądku. Może wybrać dowolne miejsce na

świecie, pod warunkiem, że będzie oddalone od Denver o co najmniej pięćset kilometrów.

- To słuszna decyzja - pochwalił go Peter, rzucając ostatnie, smętne spojrzenie na zniszczony samochód. - Bardzo słuszna. Abigail najwyraźniej naraziła się jakimś bardzo niebezpiecznym ludziom.

- Tak, są niebezpieczni, ale także chyba bardzo przestraszeni - mruknął Steve.

- Jeśli chodzi o przestępców, to wychodzi na to samo.

- Nie jestem taki pewien - powiedział Steve. - Wiem tylko, że Abby nie będzie czekała w Denver, aż wszystko się wyjaśni.

ROZDZIAŁ 10

Kiedy porucznik Knudsen przyjechał na komisariat, wezwany przez Abby, miejscowi policjanci zaczęli poważniej traktować doniesienie Petera Graymonta o celowym najechaniu i uszkodzeniu jego samochodu. Knudsen zabrał Abby i Steve'a do oddzielnego pomieszczenia, zostawiając Petera z licznymi formularzami, które wypełniał pod okiem sierżanta.

Po mniej więcej półgodzinie porucznik wreszcie skończył ich wypytywać. Ani Steve, ani Abby nie byli w stanie wyjaśnić, w jaki sposób nieznajomy w buicku potrafił trzykrotnie odnaleźć ich na drodze, a dokładne powtarzanie w kółko tego samego opisu wydarzeń nie wносиło nic nowego.

Knudsen rozparł się w krzesło i zmęczonym gestem potarł nos. Po raz pierwszy Abby zobaczyła, że porucznik przejawia jakieś ludzkie cechy.

- Porozmawiajmy o czymś innym - zaproponował. - Laboratorium stanowe obiecało mi wstępny raport z nagranych przez telefon taśm na jutro rano. Dziś po południu uciałem sobie rozmówkę z Lindą Mendozą. Twierdzi, że

środkowy inicjał R. to Rainey, jej panięńskie nazwisko. Pokazała mi nawet swoje świadectwo urodzenia.

- To znaczy, że Linda Mendoza nie może być Lynn Renquist - powiedziała Abby. - Trafialiśmy na ślepo.

Wiadomość ani jej nie zdziwiła, ani nie rozczarowała.

Przez ostatnie trzy dni tworzyli ze Steve'em najrozmaitsze teorie i tropy, które ostatecznie nigdzie nie prowadziły. Zaczęła podejrzewać, że kiedy poznają wreszcie raport o taśmach, okaże się, że kierunek ich poszukiwań powinien być zupełnie inny, choć - być może - także prowadzący donikąd.

- Nie jestem przekonany o niewinności Lindy Mendozy - powiedział tymczasem porucznik Knudsen. - Podczas naszej pogawędki wyszło na jaw kilka interesujących faktów. Pani Mendoza wychowała się w stanie Alabama i po skończeniu szkoły przeszła kurs pielęgniarstwa. Twierdzi, że nigdy nie miała nic wspólnego z armią, ale bardzo się zmieszła, gdy spytałem, dlaczego porzuciła pielęgniarstwo i została sekretarką.

Gdyby Abby nie była tak bardzo zmęczona, potrafiłaby się roześmiać z tej ironii losu.

- Czy zauważył pan, że w tej sprawie wszystko tak się dzieje? - spytała porucznika. - Jak byśmy mieli do czynienia z nie rozwiązana szaradą. Niczego nie można wyjaśnić definitywnie. Każda zamieszana w nią osoba jest ciągle na wpół podejrzana.

Wstała i lekko drżącymi rękami włożyła zmięty, lniany żakiet.

- Dzisiejsza przygoda z samochodem przyniosła jedną korzyść - powiedziała. - Wygraliście, pan i Steve. Zmęczył mnie już strach przed własnym cieniem i wyskakiwanie ze skóry przy każdym dzwonku telefonu. Świadomość, że ktoś się gdzieś czai i nieustannie mnie obserwuje, jest kroplą, która przelała czarę. Poddaję się. Jutro wyjadę z miasta.

Steve serdecznie ją uściskał.

- Masz absolutną rację, Abby.

- Absolutną. - Knudsen tak się ucieszył, że omal się nie uśmiechnął. -
Może mi pani wierzyć lub nie, Abigail, ale my też jesteśmy ludźmi i zapewniam panią, że nie lubimy sprzątać trupów. Zwłaszcza jeśli wiemy, iż ofiara mogła uniknąć swego losu, gdyby wykazała odrobinę zdrowego rozsądku.

Stukanie do drzwi zapowiedziało wejście posterunkowego i Petera.

- Pan Graymont chciałby wiedzieć, jak długo jego przyjaciele jeszcze tu zostaną, poruczniku. Chciałby wrócić do domu, bo ma jeszcze ważne spotkanie.

- O pół do siódmej umówiłem się w „Złoty Skarbach” z Keithem Boverym - wyjaśnił Peter. - Mamy rozmawiać o cenie za wszystkie pięć chińskich waz, które chce kupić do banku. Nie mam w tej chwili najmniejszej ochoty na dyskusje handlowe, ale to zbyt poważna sprawa, aby ją zostawić kierownikowi sklepu - dodał z bladym uśmiechem.

Zegar na ścianie wskazywał piątą pięćdziesiąt siedem. Peter nie miał wiele czasu, nawet gdyby wyszedł natychmiast.

- Odwiozę pana Kramera i pannę Deane do domu - zaofiarował się porucznik. - Szybciej będzie pan w sklepie. Nie mówiąc już o tym, że w ten sposób jest pan mniej narażony na kolejny pościg samochodowy.

Peter nie krył ulgi.

- To bardzo miło z pana strony, poruczniku. Dziękuję. Uważaj na siebie, Abigail - powiedział, ściskając jej dłoń. - Mam nadzieję, że nie będziesz sama dziś w nocy.

- Nie ma obawy, nie wypuszczę jej spod moich opiekuńczych skrzydeł - obiecał z ponurym uśmiechem Steve. - Będziemy jak syjamskie bliźnięta. Abby zgodziła się wyjechać jutro z miasta, więc nie będziemy musieli stale się o nią martwić.

Z tonu jego głosu wynikało niezbicie, iż bardzo nie lubi Petera Graymonta, co było o tyle dziwne, że na ogół Steve traktował cały świat z pobłażliwą sympatią.

- To świetnie - mruknął Peter, najwidoczniej nic sobie nie robiąc z antypatii Steve'a. - Dobra robota, Steven. Robisz jedyną słuszną rzecz, Abigail. Jeszcze raz uściskał jej dłoń i pospiesznie wyszedł do samochodu.

Wszyscy uważają, że postępuje rozsądnie. Dlaczego zatem sama była na siebie wściekła za tę decyzję? Dlaczego obawiała się, że znikając z miasta, naraża na ogromne niebezpieczeństwo swoje siostry? Dlaczego nikomu innemu nie przyszło to do głowy?

Knudsen, który teraz, gdy Abby postanowiła wyjechać z Denver, traktował ją nieco milej, rozmawiał z nimi niemal sympatycznie, odwożąc ich na parking obok biura, gdzie oboje zostawili swoje samochody. Później pojechał za nimi przez ciemne, wieczorne ulice Larimer Square.

Towarzyszył im aż do windy.

- Oregon - powiedział na pożegnanie. - Pensjonat Pinewood w Bretton Woods. W całych Stanach nie znajdzie pani lepszego miejsca na urlop. Ostatnim razem, kiedy tam byłem, przeczytałem „Wojnę i pokój” Tolstoja. Od lat zamierzałem przeczytać tę książkę i udało mi się dopiero w pensjonacie Pinewood. Spokój. Drzewa i niebo, jakich nie widzi się nigdzie indziej, nawet tu, w górach. Zadzwoń do pana Kramera, kiedy będzie już pani mogła bezpiecznie wrócić do Denver. Tymczasem niech się pani dobrze bawi i odpoczywa.

Abby nie miała w sobie dość energii, żeby spytać, dlaczego Steve mógł zostać na miejscu, a ona miała się spakować i uciekać. W tej chwili nic jej nie obchodziło, że ma wokół siebie samych męskich szowinistów, którzy postanowili zaopiekować się małą, bezbronną kobietką. Musiała się poddać. Nie chciała zostawać w Denver. Bała się. Okropnie się bała.

Jeśli wcześniej kiedykolwiek zastanawiała się nad strachem, kojarzyła go z czymś bardzo intensywnym. Teraz doszła do wniosku, że strach może paraliżować. Czuła zmęczenie wypełniające każdą komórkę ciała i ogłupiające umysł.

Czy Keith Boverly chciał ją zabić? Czy Linda Mendoza była jego współniczką? Abby nic to w tej chwili nie obchodziło.

Pożegnała Knudsen i weszła za Steve'em do windy, a później do jego mieszkania, zadowolona, że już nie musi o niczym decydować. Steve się nią zajmie. Knudsen kazał jej jutro pojechać do Oregonu. Nie będzie sama niczego planowała, nie będzie o niczym myślała. Myślenie i planowanie niczego dobrego jej nie przyniosły.

W mieszkaniu Steve'a stanęła na środku dużego pokoju, czekając na dalsze instrukcje.

Delikatnie popchnął ją na kanapę i podał szklanę coli. Oparła się wygodnie na miękkich poduszkach i posłusznie piła napój.

- Czy chciałabyś, żebym zrobił nam coś do jedzenia, nim zejdziemy na dół, abyś mogła się spakować? - spytał Steve.

- Dobrze.

Steve przyglądał jej się przez dłuższą chwilę, po czym usiadł obok niej na kanapie i delikatnie objął ją ramieniem.

- Posłuchaj, kochanie, dowiemy się, kto za tym wszystkim stoi w ciągu najbliższych kilku dni. To nie potrwa długo, mała. Najwyżej kilka dni. Twoim siostrom nic się nie stanie. Obiecuję.

Coś musiało się zmienić w jej twarzy, bo Steve wziął ją pod brodę i zmusił, aby spojrzała mu w oczy.

- Abby, twoim siostrom nic się nie stanie dlatego, że ty wyjedziesz z Denver.

- Jesteś pewien? - wychrypiała z trudem.

Steve wyjął jej z ręki szklanę z colą, odstawił ją na mały stolik, wziął Abby w ramiona i mocno do siebie przytulił. Jego bliskość i ciepło jego ciała pozwoliły jej na moment wyzwolić się z tępej obojętności, ale natychmiast opadła ją fala hysterii. Teraz cała się trzęsła. Zacisnęła mocno zęby. Tępa obojętność była z pewnością lepsza od strachu i poczucia winy.

- Posłuchaj mnie, Abby. Dopóki Knudsen zajmuje się całą sprawą, morderca musi zacierać ślady tu, w mieście, i z pewnością nie będzie polował na twoje siostry. Poza tym rozwiązanie zagadki potrwa nie więcej niż parę dni. W banku będzie mi pomagało kilku ekspertów, którzy jutro po południu przylatują z Nowego Jorku. Abby, ten zabójca nie ma już praktycznie żadnego ruchu.

- Jakim cudem sprowadzasz tu całą grupę ekspertów? Przecież cała sprawa defraudacji miała być traktowana konfidencjonalnie.

- Teraz już na to za późno. Musimy działać szybko. Poza tym chcę, żeby morderca wiedział, że jesteśmy na jego tropie.

- Jeśli mordercą jest Keith Boveri, to i tak wie, że niedługo wszystko się wyda.

- Jeśli to Keith Boveri, to moi ludzie dodatkowo go postraszą. A ja będę się bardzo uważnie przyglądał, jak na to zareaguje. Jeśli natomiast chodzi o kogoś innego, to moi ludzie wypłoszą defraudanta i zmuszą go do następnego ruchu.

Zadzwoił telefon i Abby zeszywniała.

- Spokojnie, mała. - Steve nadal obejmował ją ramieniem, sięgając drugą ręką po słuchawkę. - To moje mieszkanie. Twój anonimowy rozmówca nie ma pojęcia, że tu jesteś.

- Halo?

- Pan Kramer? - spytał przyjemny, niski, kobiecy głos. - Mówi Gwen Johnson z Banku Federalnego.

Steve odsunął słuchawkę od ucha, żeby i Abby mogła słyszeć rozmowę.

- Tak. Czym mogę pani służyć?

- Przepraszam, że zawracam panu głowę wieczorem, ale pan Boveri usiłował pana złapać przez całe popołudnie i nikt nie odpowiadał.

- Dopiero wróciłem do domu. Peter Graymont i ja byliśmy zamieszani w wypadek drogowy. Jakiś zwariowany kierowca wjechał wprost w samochód Petera na skrzyżowaniu.

- Ojej, to okropne! Mam nadzieję, że nic się panu nie stało. Ani Peterowi.

- Dzięki Bogu nikomu nic się nie stało, ale Peter był zrozpaczony, bo samochód był nowy.

- Rozumiem. Najważniejsze jednak, że nikt nie został ranny, prawda? - Gwen Johnson urwała na chwilę. - To zadziwiający zbieg okoliczności. Keith prosił, żebym do pana zadzwoniła, bo sam spieszył się na spotkanie z Peterem Graymontem w jego sklepie.

- A ja w tym czasie siedziałem z Peterem na policji, wypełniając niezliczone papierki.

- Nie miałam pojęcia, że zna pan Petera Graymonta. Ja go znam od wielu lat. Zawsze lubiłam antyki. - Gwen Johnson znów przerwała na moment, jakby chciała dać do zrozumienia, że pora kończyć z towarzyskimi rozmówkami. - Wracając do sprawy. Keith chciałby z panem porozmawiać dziś wieczorem, na osobności, w bardzo ważnej sprawie. Powiedział, że w żadnym wypadku nie może o tym rozmawiać przez telefon, i prosił, żeby koło ósmej przyszedł pan do niego do domu. Powiedział, że ma, cytując: „niesłychanie ważną, poufną informację”, którą chce panu powierzyć. I prosił też, żebym panu powtórzyła, iż potrzebuje pańskiej rady.

- W jakiej sprawie?

- Obawiam się, że pan Bovery mnie w to nie wtajemniczył. Wydaje mi się, że ma to coś wspólnego z nowym systemem komputerowym, który instaluje pan w banku. Wiem, że z jakiegoś powodu pańskie działania są utajnione. Pan Bovery lubi wiele informacji zatrzymywać wyłącznie dla siebie - dodała kwaśno Gwen Johnson - i jego wyżsi rangą podwładni często nie mają pojęcia, co się dzieje w banku. Pan Bovery sam lubi o wszystkim decydować.

Styl zarządzania bankiem pana Bovery najwyraźniej był solą w oku Gwen Johnson i Steve taktownie zmienił temat.

- Już wpół do ósmej - powiedział. - Dziękuję, że pani zadzwoniła. Zjem jakąś kanapkę i postaram się być u pana Bovery'ego koło ósmej.

- Wspaniale. Ma pan jego adres?

- Tak, byłem już kiedyś u niego.

- Dobrze. Cieszę się, że w końcu pana zastałam. Właśnie wychodzę na małe przyjęcie, a Keith koniecznie chciał się z panem skontaktować. Dobranoc.

- Dobranoc.

Steve odłożył słuchawkę.

- Jak myślisz? Wybierzemy się do pana Bovery'ego? - spytał.

Świadomość, że mogliby zdobyć informacje, które pozwoliłyby wsadzić mordercę za kratki, napełniła Abby nową energią.

- Musimy tam pojechać - stwierdziła. - Pan Bovery chce nam zakomunikować coś ważnego.

- To może być zasadzka.

- Dlaczego miałby cię zwabiać w zasadzkę?

- Może doszedł do wniosku, że jestem blisko odkrycia, kto jest odpowiedzialny za defraudacje w banku. I tu się nie myli.

- Czy gdyby Bovery chciał cię zabić, prosiłby Gwen Johnson o pośrednictwo w zaproszeniu? To nie ma sensu.

- Gwen Johnson może być jego współniczką. Abby głęboko wciągnęła powietrze.

- Nie! - wykrzyknęła. - Na litość boską, Steve, nie możemy dodawać kolejnej osoby do listy podejrzanych. Wkrótce wpisujemy na nią połowę mieszkańców Denver. Jest jeszcze parę osób, o których zapomniałeś - dodała ironicznie. - Co powiesz na porucznika Knudsena? Byłby idealnym podejrzanym.

- Rozważałem jego osobę - odparł z uśmiechem Steve. - Ale Knudsen nie ma dostępu do bankowych komputerów, więc musiałem go skreślić. Bardzo niechętnie. To samo dotyczy Petera Graymonta, choć on mógłby uwieść jakąś panienkę w banku, żeby zrobiła za niego brudną robotę. On się podoba kobietom.

Abby krótko i niegrzecznie skomentowała jego wypowiedź. Energia ją po prostu rozpierała.

- Zadzwońmy do porucznika i powiedzmy mu, dokąd się wybieramy. Może zechce nam towarzyszyć.

Knudsen, oczywiście, nie odbierał telefonu, ale telefonista obiecał, że przekaże mu wiadomość.

- Niech mu pan powie, żeby koniecznie się ze mną skontaktował jeszcze dzisiaj - powiedział Steve. - To bardzo ważne.

- Chyba zrozumiał, że musimy się porozumieć z Knudsenem - zauważył, wchodząc do kuchni.

Abby podała mu szklankę mleka.

- Czy zdążymy coś zjeść? - spytała. Jednym łykiem opróżnił szklankę.

- Nie, chodźmy już. Później, po wizycie u Bovery'ego możemy wstąpić na spaghetti do Giovanniego. Być może będziemy mieli okazję do wypicia szampana. Na przykład Knudsen aresztuje mordercę.

- Być może - zgodziła się Abby.

Pod warunkiem, że zaproszenie nie jest pułapką. Wtedy nie wypiją szampana u Giovanniego, bo będą martwi.

Lampy otaczające półkolisty podjazd przed domem Keitha Bovery'ego tworzyły w ciemności małe, krystaliczne krążki światła. Steve zaparkował tuż przy drzwiach do domu i zgasił silnik. Oboje z Abby siedzieli w samochodzie, wyężdżając słuch.

Przez otwarte okna samochodu wpadały odgłosy nocy. Wiatr niósł ze sobą zapach jesieni. Gdzieś w oddali usłyszeli rzenie konia. Znacznie bliżej zaszumiały liście osiki. Z pobliskiego zaułka doleciał ich szum samochodu, jedyny ślad człowieka w tej ekskluzywnej części Cherry Hills. Dom Keitha Bovery'ego znajdował się zaledwie o dwadzieścia minut od śródmieścia Denver, ale sądząc po wiejskim otoczeniu, mógł stać daleko za miastem.

Światło nad wejściem rzucało mocny blask na drzwi i pseudohiszańskie rzeźby. Abby dobrze знаła dom Keitha z wielu szczęśliwych wizyt w dzieciństwie i nagle wydało jej się całkowicie absurdalne to, że siedzi w samochodzie Steve'a i zastanawia się, czy „wujek Keith" jej za chwilę nie zastrzeli.

Siostry miały rację. Od Keitha Bovery'ego i jego żony rodzina Deane'ów zaznała wyłącznie sympatii i przyjaźni. Trudno byłoby uwierzyć, że wszystkie te świąteczne wizyty, niedzielne pikniki i głupie, ale szczere rady były przykrywką diabolicznej nienawiści do Ronalda Deane'a i jego córek.

- Jestem idiotką - powiedziała gwałtownie Abby. - Keith Bovery nigdy nie usiłował mnie zabić.

Steve spojrział na nią ze zdumieniem.

- W jaki sposób do tego doszłaś? Abby uśmiechnęła się ironicznie.

- On i jego żona zawsze dawali nam na święta Bożego Narodzenia czekoladowe mikołaje. Bardzo duże. Największe, jakie udało im się dostać.

- To dobrze, że starasz się trochę rozluźnić, Abby, ale to nie najlepszy moment, żebyś zaczęła naśladować Kate.

- Wiem, że mam rację - upierała się Abby. - Mogę uwierzyć, że Keith Bovery zdefraudował pieniądze w banku. W sprzyjających warunkach każdy z nas może zostać złodziejem. Ale na pewno nie usiłował mnie zabić. Już dawno doszłabym do tego wniosku, gdybym myślała logicznie.

Steve otworzył drzwi samochodu.

- Fantastycznie. Szalenie się cieszę, że wreszcie przejrzałaś na oczy i uwolniłaś od podejrzeń starego Keitha. A teraz, kiedy zadzwonię do drzwi, zrób przyjemność mojej złośliwej, podejrzliwej naturze i stań poza zasięgiem strzału, tak jak się umówiliśmy.

Przeszli po szeleszczących pod stopami liśćmi i weszli na górę po kilku kamiennych schodkach, prowadzących do drzwi.

Kiedy Steve przycisnął dzwonek, Abby poczuła, że drży z zimna. Nie ze strachu. Za drzwiami usłyszeli szybkie kroki na drewnianej podłodze korytarza i serce Abby zabiło mocniej. Miała przeczucie, że za chwilę znajdą wreszcie odpowiedzi na swoje pytania.

Myślała właśnie, że dom Keitha jest idiotycznym architektonicznym połączeniem przedwojennego dworu i meksykańskiej hacjendy, gdy usłyszała szcęk zamka i hałas odsuwanej zasuw. Drzwi się otworzyły i stanął w nich Peter Graymont.

- Witam.

- Przyjechaliśmy do Keitha - rzucił Steve, lekko agresywnym, zdaniem Abby, tonem.

- Ach, tak, naturalnie, czeka na pana. - Peter szerzej otworzył drzwi. - Abigail, miło cię znów zobaczyć. Czy Keith wiedział, że przyjedziesz? Wspominał tylko o Stevenie.

- Nie, nie wiedział - odparła Abby, starając się bezskutecznie mówić chłodnym i opanowanym tonem. - Jestem tutaj w charakterze niespodzianki. A co ty tu robisz, Peter? Myślałam, że masz się spotkać z Keithem w swoim sklepie.

- Keith nie chciał, żeby Steven czekał pod drzwiami, i przyjechaliśmy tutaj razem, żeby dokończyć rozmowę o chińskich wazach - powiedział Peter, usuwając im się z drogi, żeby mogli wejść do środka. - Keith jest u siebie w gabinecie. Wiecie, gdzie to jest? Ostatnie drzwi po prawej stronie. Pójdę z wami, żeby się pożegnać, i będę jechał.

- Jak się pan dostanie do domu? - zapytał Steve. - Nie zauważyłem przed domem pańskiego samochodu.

- Co? Ach, tak, mój samochód. Oczywiście jest w warsztacie. Dzwoniłem po taksówkę, powinna tu być lada moment. Nie chcę przeszkadzać w waszym spotkaniu z Keithem. Jest tak przyjemnie, że zaczekam na taksówkę na dworze.

Drzwi do gabinetu były zamknięte. Steve zastukał i nacisnął klamkę. Wszedł do środka, Abby tuż za nim.

Górna lampa się nie paliła i jedynym źródłem światła była mała lampka do czytania, która oświetlała ogromne biurko. Od kiedy Abby sięgała pamięcią biurko zawsze wydawało jej się ogromne. Keith Bovery siedział za nim, ale nie podniósł głowy i nie przywitał ich uśmiechem. Lampka oświetlała jaskrawo-czerwoną aureolę wokół jego leżącej na eleganckiej skórzanej podkładce głowy.

Abby instynktownie pojęła, co oznacza ta scena, nim mogła ją zanalizować.

- Steve! Uważaj! - krzyknęła.

Za późno. Zobaczyła, jak Steve opada luźno w ramiona dziwacznej, na czarno ubranej postaci, która najwyraźniej czaiła się za drzwiami.

Abby przerażonym wzrokiem poszukała Petera Graymonta. Kolejny okrzyk utkwił jej w gardle, gdy zobaczyła uśmiech na jego twarzy i pistolet w dłoni, wymierzony prosto w nią.

- Keith Bovery nie żyje - stwierdziła.

- Zgadza się - przyznał Peter.

- Nie popełnił samobójstwa.

- O co ci chodzi, Abigail? - Peter wyraźnie się z niej wyśmiewał. -

Oczywiście, że biedny Keith popełnił samobójstwo. Podejź bliżej do biurka, a sama się przekonasz.

- Nie, nie chcę.

Peter złapał ją za kołnierz i przyciągnął do biurka.

- Widzisz, moja droga? Keith trzyma w dłoni pistolet webley kaliber trzydzieści osiem. Ten sam sławny pistolet, z którego zastrzelono Douglasa Brady'ego, a potem Howarda Taylora. Policja dojdzie do wniosku, że Keith przywiózł go z Korei. A teraz, skoro sam się zastrzelił, ma nawet na palcach ślady prochu.

- Keith nie nacisnął na spust. Chyba że ty go do tego zmusiłeś.

Peter rzucił okiem na milczącą, czarną postać po drugiej stronie pokoju.

- Czyżby? Cóż, Abigail, to jest zupełnie inna historia.

- Ten numer nie przejdzie, Peter. To ci się nie uda. Ani tobie, ani twojemu milczącemu współnikowi. Steve dzwonił do porucznika Knudsena i powiedział mu, dokąd jedziemy. Policja będzie tu lada chwila.

- Nie jesteśmy tacy głupi, za jakich nas uważasz, moja droga Abigail. Nie zamierzamy zabijać was tutaj. W takim mieście jak Denver trudno pozbyć się zwłok. Nie ma tu podejrzanych dzielnic, głębokich rzek ani brudnych kanałów.

- Teraz, Peter - powiedziała ubrana na czarno postać, niskim i szorstkim głosem, przepelnionym nienawiścią.

- Nie!

Abby rzuciła się w bok, w desperackiej próbie uniknięcia kuli, ale strzały nie padły. Peter podskoczył do niej i wstrętymi paluchami podciągnął do góry jej spódnice. Abby, wciśnięta między Petera a biurko, nie miała dokąd uciekać.

O Boże, on ją chce zgwałcić. A ten obrzydliwy, zamaskowany mężczyzna będzie się przyglądał. Zrobiło jej się niedobrze. Zgwałcenie przez Petera uważała za coś gorszego niż śmierć. Wysoko na udzie poczuła ukłucie, a zaraz potem ostry, palący ból w całej nodze. Sufit zjechał na dół i spotkał się z podłogą. Abby pochłonęła ciemność. Całkowita ciemność. I już nic więcej.

Morderca zatrzasnął drzwiczki ciężarówki, należącej do „Złotych Skarbów”, w której znajdowały się dwie nieprzytomne osoby. Co za głupcy! Ludzie, którzy uważali się za sprytnych, zawsze okazywali się najgorszymi głupcami.

Szkoda, że tych dwoje musiało zginąć jeszcze tej samej nocy. Przyjemnie byłoby przetrzymać ich trochę bez jedzenia i picia. Dać im nauczkę. Pozwolić im konać powoli w strachu przed ostateczną, wyzwalającą kulą, sprowadzającą śmierć.

Koreańczycy z Północy zagłodzili wielu jeńców na śmierć, przedtem ich torturując. Wśród nich nie było Keitha Bovery ani Ronalda Deane'a. Ich samolot

został zestrzelony zaledwie parę tygodni przed podpisaniem porozumienia o zaprzestaniu walk, 27 lipca 1953 roku. Pozostawali w niewoli tylko przez dwa krótkie tygodnie. Keith i Ronald w grancie rzeczy niewiele wycierpieli, ale witano ich w domu jak bohaterów. Morderca natomiast wrócił jako wyrzutek społeczeństwa.

Było, minęło. W ciągu ostatnich trzydziestu pięciu lat życie miało swoje jaśniejsze chwile. Dziwne, jak to wszystko się splotło przed dziewięcioma miesiącami, niczym ukończona wreszcie tkanina, tkana całymi latami. Ronald Deane wyszeptał swoje tajemnice w tym samym czasie, kiedy umierała Helen Boveri. Złoto konfederatów czekało na znalazcę, dokładnie w tym samym czasie, kiedy defraudacje w banku zaczęły się komplikować.

Peter Graymont czekał za kierownicą samochodu z włączonym silnikiem. Logo sklepu zostało starannie przysłonięte. W domu Keitha Boveri nie pozostał po nich najmniejszy nawet ślad. Wielki finał zapowiadał niezłą zabawę.

Znajome, ekscytujące uczucie przybrało na sile. Akcja, działanie, niebezpieczeństwo, życie na krawędzi. O to właśnie chodziło mordercy, to go bawiło i podniecało.

- Wszystko gotowe? - spytał niecierpliwie Peter. - Do Crystal Drive jest dość daleko.

- Gotowe.

Kiedy ciężarówka wyjechała spod domu Keitha Boveri'ego, morderca roześmiał się głośno i triumfalnie.

- Co jest? - zapytał Peter.

- Fantastycznie się czuję. Wyobrażam sobie, jak się ucieszą eksperci Stevena Kramera, gdy wreszcie wykryją prawdziwego oszusta.

- Kiedy to, twoim zdaniem, nastąpi?

- Jeśli w banku nie zapanuje zbyt wielki bałagan i zamieszanie po samobójstwie Keitha, może uda im się już jutro. - Morderca roześmiał się

jeszcze głośniej. - Biedny Keith. Będzie miał zaszarganą reputację, kiedy wyjdzie na jaw, że chciał wrobić w te oszustwa Howarda Taylora.

- Przynajmniej był na tyle przyzwoity, że sam odebrał sobie życie - stwierdził Peter.

Spojrzał na mordercę i puścił oko.

Śmiali się przez całą drogę aż do zjazdu w Hampden na szosę C-470, prowadzącą w góry.

- Ile jeszcze? - spytał nagle morderca.

- Powinniśmy dojechać w ciągu półtorej godziny.

Za dwadzieścia cztery godziny Abby i Steve będą martwi.

Morderca oparł się wygodniej i w zadumie wyglądał przez okno. Szkoda, że nie można zostawić tej dobranej pary, żeby umarła w kopalni z głodu. Tak, naprawdę wielka szkoda. Niestety ryzyko było zbyt duże.

Chciał, żeby Abby i Steve zginęli. Oni musieli zginąć. Musieli być tak samo martwi jak ten pozbawiony serca egoista Ronald Deane. Jak nieudacznik Douglas Brady. Jak zrzędlawy, ciekawski Howard Taylor. Jak głupi, ufny Keith Boverly. Martwi. Martwi. Martwi. Wszyscy martwi.

Spadająca gwiazda zabłysła na moment nad odległym górskim szczytem. Co za niecodzienny widok. To był na pewno szczęśliwy znak.

Czasami, pomyślał morderca, życie jest naprawdę piękne.

ROZDZIAŁ 11

Zimno. Straszne zimno. Przenikające, straszne zimno, które ogarniało całe jej ciało.

Ciemność. Dłonie Abby poruszyły się, badając otoczenie. Leżała na brzuchu na metalowej podłodze. Wszystko ją bolało.

Podniosła głowę. Ciemność rozpadła się w oślepiający kalejdoskop zmieniających się kolorów. Zamknęła oczy i pozwoliła głowie opaść z powrotem na rękę.

Będzie wymiotować.

Co to za hałas? Nim zdążyła usiąść, jakieś twarde dłonie złapały ją za ramiona i pchnęły naprzód. Usiłowała się opierać, ale jej ciało zwisało bezwładnie, a jedna noga przejechała po kawałku ostrego metalu. Metal rozorał jej kolano. Abby krzyknęła z bólu, ale napastnik nie zwrócił na to uwagi. Gwałtowny, przeszywający ból zmieszał się z mdłościami. Nie była w stanie myśleć.

Podmuch lodowatego wiatru buchnął jej w twarz i ochłodził ciepłą krew spływającą po nodze. Świeży wiatr pachnący sosnami. Przedtem była gdzieś w środku. W ciężarówce? Tak, to musiała być ciężarówka. Teraz była na dworze.

Potknęła się w niezręcznym kroku do przodu. Jakieś ręce zablokowały przejście. Dwie pary rąk? Ponownie otworzyła oczy. Błąd. Paskudny błąd. Potwornie zakreśliło jej się w głowie.

- Idź w prawo, ścieżką - rozkazał jakiś głos. Ostry. Groźny. Głos Petera.

Ręce puściły ją, ale nie mogła uciekać. Nie mogła nawet iść. Abby opadła na kolana, wymiotując, nie dbając o zachowanie godności czy dumy. Nie dbając nawet o możliwość ucieczki.

Kiedy wreszcie przestała, odczołgała się na bok i oparła głowę na kolanach. Zdała sobie sprawę, że siedzi na trawie. Na ostrej górskiej trawie,

obsypanej śniegiem. Spróbowała znów rzucić okiem na horyzont. Tym razem zawrót głowy nie był tak gwałtowny i mogła rozróżnić ostre kontury górskich szczytów na tle nocnego nieba.

Była gdzieś w górach. Peter i jego wspólnik wywieźli ją z Denver w Rocky Mountains.

- Pora połączyć się z kochasiem.

Znów głos Petera. Szyderczy. Przepelniony nienawiścią. Szarpnął Abby na nogi i pchnął w stronę małego, drewnianego budynku. Rozpoznała górską chatę z komórką czy garażem z boku. Zwykła wakacyjna chata.

Ręka w czarnej rękawiczce wyciągnęła się i pchnęła drzwi. To nie była ręka Petera. Tego innego porywacza. Człowieka w czerni, któremu udało się ogłuszyć Steve'a jednym mocnym uderzeniem. Czy to ten człowiek strzelał do niej zza krzaków w Boulder? To musiał być on. Abby chciała się odwrócić, obawiała się jednak, że jeśli ruszy głową, ponownie zacznie wymiotować.

- Do środka - rozkazał Peter.

Względne ciepło otuliło ją jak błogosławieństwo, choć zaczęła jeszcze bardziej drzeć, gdy jej ciało usiłowało rozpaczliwie podnieść swoją temperaturę. Weszła do dziwnego, rustykalnego, wykładanego drewnem pokoju, z kuchnią z boku. Kuchnią ze zlewem.

- Wody - jęknęła Abby. Pałące gardło już przeczuwało jej smak. - Wody. Wyczuła wahanie Petera.

- Nie! - Głos przemówił z tyłu, niski, zgrzytliwy, dziwnie triumfujący. - Nie ma mowy.

- Tak jest, szefie.

Peter szturchnął Abby w bok. Rewolwerem. Choć z pewnością nie musiał jej w tej chwili straszyć. I bez tego była całkiem posłuszna.

- Na lewo, moja droga Abigail.

Peter wepchnął ją do małej sypialni, właściwie tylko wnęki przy pokoju, w której stało staromodne drewniane łóże, pojedynczy nocny stolik i mała komoda. Nic więcej by się nie zmieściło.

Steve leżał na łóżku zupełnie nieruchomo, ze śmiertelnie bladą twarzą, na której już pojawił się siniak, w miejscu, gdzie dostał w szczękę. Abby wprawdzie wzrok nie bardzo w tej chwili służył, wydawało jej się jednak, że Steve nie oddycha.

- Czy on... - przełknęła głośno ślinę, starając się stłumić rozpacz. - Czy on nie żyje?

- Na razie żyje. Tak mi się przynajmniej wydaje.

Peter oparł Abby o poręcz łóżka i nagłym ruchem, z całej siły, uderzył Steve'a w twarz. Ten jęknął, nie otwierając oczu, i wykrzywił się z bólu.

- Proszę - stwierdził Peter. - Jeszcze żyje. - Palcami dotknął siniaka na twarzy Steve'a. - Ten idiota usiłował walczyć, kiedy wyjęliśmy go z ciężarówki. Musiałem go unieszkodliwić.

- Jesteś fantastycznie dzielny i bohaterski.

- Moja droga Abigail, gdzie się podziały twoje maniery? - Peter z udanym zakłopotaniem zmarszczył brwi. - Złośliwość jest jedną z najbardziej nieprzyjemnych cech u kobiety. Osobiście bardzo nie lubię złośliwych kobiet.

- Dobrze wiedzieć - stwierdziła ironicznie Abby.

Peter spojrzał na nią z wściekłością i brutalnie podciął jej nogi. Abby tyłem upadła na łóżko. Cienki materac z gąbki nie uchronił jej przed bolesnym zetknięciem z drewnianym stelażem.

- Wygodnie ci, moja droga? - spytał Peter ze złośliwym uśmiechem.

Abby zebrała w sobie wszystkie siły i zamachnęła się, celując pięścią w jego wykrzywioną twarz. Daj Boże, prosiła w duchu, żeby udało mi się trafić go prosto w nos!

Bóg najwyraźniej miał co innego do roboty niż wysłuchiwać tak mało pobożnych prośb. Peter bez najmniejszego wysiłku, niemal od niechcienia,

przytrzymał ją za rękę. Przy okazji Abby spostrzegła, że rewolwer wetknął do kieszeni marynarki, jakby wiedział, że z jej strony nic mu nie grozi. I niestety miał rację. Resztki narkotyku, który jej wstrzyknął, nadal krążyły w jej organizmie, nie pozwalając logicznie myśleć ani działać w jakikolwiek skoordynowany sposób.

Zamaskowana, czarno przyodziana postać stanęła w progu sypialni. Tajemniczy współnik Petera trzymał w ręce dwa kłębki cienkiego sznurka.

- Przywiąż ją za ręce do łóżka - rozkazał szorstko, rzucając Peterowi jeden sznurek. - Zajmij się nią, a ja się zajmę kochasiem.

Abby wlepiła wzrok w zamaskowaną postać.

- To pan do mnie dzwonił! - wykrzyknęła. - Pan jest tym anonimowym człowiekiem. Poznaje pański głos.

Ubrana na czarno postać nie odezwała się, ale stwierdzenie Abby wyraźnie rozbawiło Petera.

- Tak, to on do ciebie dzwonił. Obawiam się, że ma jakieś zadawnione pretensje do twojego drogiego tatusia. Dobrze się bawił przy okazji tych tajemniczych telefonów.

- Ale co ja mam z tym wspólnego? I dlaczego mu pomagasz, Peter? Na litość boską, co ja wam zrobiłam?

Tym razem nikt jej nie odpowiedział.

Zamaskowana postać szybko i wprawnie przywiązała bezwładne dłonie Steve'a do kolumnienek łóżka. Peter poszedł za przykładem współnika, złapał dłonie Abby, podniósł je do góry i kilkoma prędkimi ruchami przywiązał do kolumnienek po drugiej stronie łóżka.

Zbyt słaba i zbyt oszołomiona narkotykiem, żeby stawiać znaczący opór, Abby tylko się zmęczyła, usiłując się bronić. Peter nie przejmował się, od czasu do czasu opędzając się od jej nieskoordynowanych ruchów jak przed natrętnym komarem.

Zamaskowany człowiek sprawdził na koniec węzły, bezszelestnie podszedł do komody, wyjął z górnej szuflady dwie strzykawki i wrócił do łóżka.

- Ty ją, ja jego.

Jego głos miał w sobie coś nieprzyjemnie znajomego. Abby bezskutecznie usiłowała sobie przypomnieć, gdzie go już słyszała. Była przekonana, że gdyby jej umysł funkcjonował trochę lepiej, na pewno rozwiązałyby zagadkę. Gdzieś już spotkała tego człowieka, słyszała jego głos. Zadrzała gwałtownie, choć tym razem nie z zimna.

- To zwiększona dawka - powiedział człowiek w czerni. - Czteryście miligramów dla niej, pięćset dla niego. Do jutra wystarczy.

- Na pewno ich nie zabije? - spytał nerwowo Peter. - Nie chcemy żadnych takich niespodzianek w raporcie z sekcji zwłok.

- Postaram się, żeby nie było raportu z sekcji. Poza tym fenobarbital nie zabija zdrowych ludzi.

- Kochaś nie wygląda w tej chwili szczególnie zdrowo.

- Ma silny organizm.

Peter chrząknął potakująco. Z uśmiechem odwrócił się do Abby.

- Słyszałaś, dziewczynko, co powiedział doktor. Pora na lekarstwo.

Posłuchaj się wujka Petera, a nic nie będzie bolało.

Potworna wściekłość ogarnęła Abby.

Wściekłość na własną słabość, wściekłość na dotychczasową ślepotę, a przede wszystkim wściekłość na Petera, który poniżał ją z wyraźną przyjemnością. Jej umysł nie funkcjonował na tyle sprawnie, aby mogła sformułować jakiś sensowny plan, ale w głębi podświadomości wiedziała, że jeśli nie uda jej się uniknąć zastrzyku, wszystko potoczy się wedle zamysłów Petera i jego zamaskowanego współnika.

Zadrzała, gdy Peter podciągnął do góry brudną, podartą spódnicę. Palcami pogłaskał lubieżnie jej lodowate ciało. Wyczuwała, że jego działanie nie było rutynowym ponizaniem ofiary.

- Masz fantastyczne nogi, Abigail. Wręcz wystrzałowe. - Przesunął dłońmi powyżej pończoch. - Mmm. Mmm. Najbardziej lubię paski do pończoch i koronkowe majtki.

- Peter!

Abby nigdy by nie przypuszczała, że dźwięk szorstkiego głosu zamaskowanej postaci sprawi jej taką przyjemność. Dłonie Petera znieruchomiały.

- Dobrze, dobrze - mruknął i jednym ruchem podciągnął spódnicę aż do pasa.

- Żałuję, że nie mam czasu, żeby się rozkoszować twoimi... walorami - powiedział. - Musimy jednak zrobić zakupy i przygotować sobie alibi. Niestety praworządni obywatele, tacy jak ja i mój partner, na ogół nie trzymają w garażu lasek dynamitu.

- Dynamitu! - wykrzyknęła Abby, nie mogąc się powstrzymać. Czyżby Peter chciał wysadzić tę chatę w powietrze?

- Muszę przyznać, że sprawiłaś nam dużo kłopotu, moja droga Abigail. Mój partner i ja nie wierzyliśmy własnym uszom i oczom, kiedy się zorientowaliśmy, że wykryłaś, jakie znaczenie mają narodziny i śmierć małego Christophera. Domyśliłaś się, że Douglas Brady był oszustem, prawda? Mam rację?

Abby nic nie powiedziała, ale musiał ją zdradzić wyraz twarzy.

Peter westchnął.

- Tak, wiedziałem, że nasza sprytna sztuczka niebawem wyjdzie na jaw, choć nie wiem, jak ci się to udało, Abigail. Mój partner i ja sądziliśmy, że tę sprawę mamy pod kontrolą. - Peter roześmiał się. - Cóż, wszystko dobre, co się dobrze kończy. Dzięki Bogu zwróciłaś się do mnie o pomoc w odszukaniu oryginałów ukradzionych świadectw. To było szalenie miłe z twojej strony, Abigail. Powstrzymanie cię przed dotarciem do urzędu stanu cywilnego warte

było nowego samochodu. Obawiam się, że metryka urodzenia małego Christophera Renquista wyjaśnia wszystko.

Peter po raz ostatni przejechał dłonią po brzuchu Abby, po czym wziął ze stolika strzykawkę.

Abby nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. Zamknęła oczy i napięła całe ciało w oczekiwaniu na ukłucie igły i odpowiedni moment na wykonanie uniku.

Czubek jednorazowej igły zadrapał jej skórę. Abby wciągnęła powietrze. Nigdy nie przepadała za zastrzykami. Peter głębiej wepchnął igłę pod skórę. Abby czekała, aż naciśnie tłok strzykawki, uwalniając narkotyk.

Teraz! Gwałtownym ruchem skręciła biodra i uderzyła udem, o cienki materac. Ręka Petera uwięzła między jej nogą a łóżkiem. Abby mocno szarpnęła się do przodu. Ku swej nieopisanej radości usłyszała pyknięcie łamiącej się igły. Wprawdzie czubek nadal tkwił w jej udzie, ale sądząc po wilgoci, jaką czuła na nodze, spora ilość narkotyku wylała się na łóżko.

Peter zaklął dosadnie.

- Rozwaliła tę cholerną strzykawkę! - krzyknął do współnika.

- Pokaż.

Zamaskowany człowiek podszedł do łóżka od strony Abby. Razem z Peterem przewrócili ją na plecy.

Człowiek w czerni wpatrywał się w nogę Abby błyszczącymi oczyma.

- Więcej nie mam przy sobie. Fenobarbitalu nie można kupić bez recepty. Ile udało ci się jej wstrzyknąć?

- Wydaje mi się, że prawie wszystko. Zobacz, oczy jej się zamykają. To dobry znak, prawda?

- Tak.

Zamaskowany człowiek złapał ją za rękę, szukając tętna. Abby czuła, że się w nią wpatruje i starała się, żeby jej ciało wydawało się bezwładne. Modliła

się w duchu, żeby niechcący nie zamrunąć. Wspólnik Petera odezwał się po chwili, która dla Abby zdawała się wiecznością.

- Jej tętno zwalnia. Zaczyna działać.

Może i dobrze, że Peterowi udało się wstrzyknąć jej trochę narkotyku.

- Nawet jeśli dostała tylko dwieście miligramów, będzie nieprzytomna przez sześć do siedmiu godzin - mówił dalej głos. - A kochaś nie przebudzi się przez następne dwanaście godzin. Poza tym są przywiązani do łóżka, a dom jest dobrze zamknięty. Chodźmy stąd.

- Szkoda, że musimy wrócić do Denver przed świtem - mruknął Peter.

Nachylił się nad Abby i obiema rękami złapał ją za piersi. Rzekomo nieprzytomna, zmusiła się, żeby nie zareagować najmniejszym skrzywieniem.

- Pa, Abigail - szepnął. - Śpij słodko i śnij o mnie. Do zobaczenia jutro wieczorem.

- Na litość boską, Peter, co ty tam robisz? Chodźmy stąd wreszcie.

Głos wspólnika, zły, zniecierpliwiony i jakby zmęczony, dochodził od drzwi. Był w nim jeszcze jakiś ton, którego Abby nie potrafiła rozpoznać ani nazwać.

Peter poszedł do wyjścia i zgasił światło. Kroki ucichły w oddali.

Abby usłyszała trzask zamykanych drzwi i w chwilę później odgłos silnika samochodu. Zapiszczały opony, gdy koła zabuksowały na moment na ośnieżonym żwirze. Wreszcie zapadła cisza.

Abby wypuściła powietrze i otworzyła oczy. Zostali tylko we dwoje. Teraz musiała zwalczyć działanie fenobarbitalu, uwolnić się z więzów, znaleźć wyjście z zamkniętego domu i pokonać te drobne sto kilkadziesiąt kilometrów do Denver. A przynajmniej dotrzeć do najbliższej budki telefonicznej i zadzwonić do porucznika Knudsena.

Nic wielkiego, pomyślała. Pestka. Drobnostka.

Bo jeśli nie, to zginą oboje.

ROZDZIAŁ 12

Kręciła się, obracała i szamotała przez co najmniej piętnaście minut, ale w końcu narkotykowy sen i zmęczenie wzięły górę i Abby zasnęła. Kiedy się obudziła, przez okiennice w oknie sypialni wpadały promienie słońca. Był dzień. Mimo wcześniejszych wysiłków zmarnowała, śpiąc, sześć albo siedem godzin.

Pierwsza myśl, jaka jej przyszła do głowy po obudzeniu, to ta, że umrze z pragnienia. Potem przeraziła się, że Steve nie żyje. Jego zimne ciało leżało nieruchomo. W kredowobiałej twarzy wyróżniały się tylko sine wargi. Wpatrując się w jego pierś tak intensywnie, jakby miała go przywrócić do życia siłą woli, spostrzegła, że klatka piersiowa lekko się unosi. Odczuła ogromną ulgę, ale nie miała czasu na radość. Miała doświadczenie w chodzeniu po górach, wiedziała, że jeśli w jakiś sposób szybko go nie ogrzeje, Steve umrze z wyziębienia.

Wpadający przez wąskie szpary blask słońca dawał światło, ale nie ciepło. Górski chłód przenikał przez ściany drewnianej, nie ogrzewanej chaty. Mimo że we śnie Abby odruchowo splotła nogi z nogami Steve'a w poszukiwaniu choćby odrobiny ciepła, oboje byli kompletnie przemarznięci.

Zaczęła intensywnie myśleć. Peter przywiązał jej ręce do łóżka, tak że mogła poruszać górną połowę ciała w pionie, ale nie poziomo.

Udało jej się stopami naciągnąć róg zwisającej bawełnianej kapy na stopy Steve'a. Materiał nie dawał wiele ciepła, ale kapa była przynajmniej nowa i dość gruba. Następnie Abby zaczęła szybko przesuwać stopami po nogach Steve'a i jej wysiłki zostały w końcu uwieńczone lekkim westchnieniem i poruszeniem jego bioder. Twarz Steve'a nadal pozostawała biała i ściągnięta zimnem, ale jego wargi stopniowo traciły siny odcień, gdy poprawiło się krążenie krwi.

Abby opadła na poduszkę, starając się nie zwracać uwagi na piekący ból nadgarstków.

Pomyślała, że nie najlepiej się spisała. Najpierw spała przez całą noc, a potem szybko się zmęczyła, próbując ocucić Steve'a. Chyba tylko po to, żeby dożył do wieczora, gdy Peter ze współnikiem przyjadą ich zabić.

Myśli jej biegly we wszystkich kierunkach. Szkoda, że nie była w kuchni. W kuchni bywały zwykle noże i nożyczki. I woda. Cudowną wodą. Jej gardło było jedyną ciepłą częścią ciała. Paliło ją z pragnienia. W tej chwili oddałaby wszystkie pieniądze za dużą szklankę zimnej wody. Za dwie duże szklanki zimnej wody. Trzy.

Ale nie jesteś w kuchni, skarciła się w duchu, i nie napijesz się zimnej wody dopóki nie wstaniesz z tego łóżka. Rusz się i uwolnij z więzów.

Abby, posłuszna własnemu wewnętrznemu głosowi, szarpnęła za sznurek wokół nadgarstków. Niestety sprawdziły się jej doświadczenia z poprzedniego wieczoru. Kolumnienki były mocno przymocowane do solidnej ramy. Rozwalenie łóżka nie wchodziło w grę.

A zatem nie ma wyboru. Musi znaleźć sposób, aby przeciąć sznurek. Do tego potrzebne jest jakieś narzędzie. Ponieważ zaś nie może się ruszyć z łóżka, wybór jest więcej niż ograniczony.

Abby rozejrzała się po małej sypialni znacznie uważniej niż poprzedniego wieczora. Jej wzrok zatrzymał się na nocnym stoliku, w którym prawdopodobnie pełno było takich skarbów jak nożyczki, noże i żyłki. Niestety bez uwolnienia rąk nie mogła do niego dosięgnąć.

Oczywiście, gdyby miała wolne ręce, nie potrzebowałyby dostawać się do stolika ani do żadnych nożyczek i żyłek. Abby przechyliła się lekko w bok i wbiła wzrok w stół. Gdyby tylko mogła otworzyć tę cholerną szufladę.

Straciła pół godziny, usiłując przybrać taką pozycję, żeby zaczepić palcami nóg o uchwyt szuflady. W końcu musiała pogodzić się z porażką. Kąt między stolikiem a łóżkiem najzwyczajniej w świecie uniemożliwiał takie

działanie. Gdyby mogła przewrócić się na brzuch i zsunąć z łóżka, spróbowałaby otworzyć szufladę zębami. Jednakże sposób, w jaki była przywiązana, pozwalał wyłącznie na leżenie na plecach.

Abby zaczęła wpatrywać się w sufit, usiłując zobaczyć siebie oczami muchy na ścianie. Powoli zdała sobie sprawę, że gdyby przekreśliła rękę, mogłaby się przewrócić na brzuch i uklęknąć na podłodze. Przekreślając głowę jak najbardziej w lewą stronę, mogłaby spróbować otworzyć szufladę zębami. Przynajmniej wysokość stolika sprzyjała takim próbom.

Był tylko jeden szkopuł. Przy przekreśnianiu rąk sznurek jeszcze bardziej wrzynałby się w pokaleczone nadgarstki. Po chwili namysłu wzruszyła ramionami. Nie miała nic do stracenia oprócz kolejnej warstwy skóry. Skóra albo życie. Wybór nie był szczególnie trudny.

Abby zacisnęła dłonie, wciągnęła głęboko powietrze i przekreśliła się na bok. Na razie nie czuła bólu rąk. Odpoczęła sekundę, jeszcze raz wciągnęła powietrze i przekreśliła rękę, wykonując jednocześnie ostatni ćwierćobrót ciała.

Ból był gorszy, niż się spodziewała, ale przynajmniej leżała teraz na brzuchu. Przytuliła twarz do poduszki i odetchnęła głęboko kilka razy, czekając, aż ból zelżeje. Po paru minutach zsunęła się kolanami na podłogę.

Początkowy zawrót głowy zastąpiło uczucie triumfu. Spojrzenie z pozycji muchy było słuszne. Stolik stał tuż przy łóżku i mogła tak przekreślić górną część ciała, żeby ustami dosięgnąć uchwyty. Podniosła nosem metalową rączkę, złapała ją w zęby i pociągnęła. Hurra! Szuflada się otworzyła.

Pełna była papierów i kolorowych pism, nie bardzo przydatnych do przecięcia nylonowego sznurka. Abby zacisnęła zęby i postanowiła się nie poddawać. Ludzie często trzymali nożyczki do paznokci w szufladach nocnych stolików. Takie małe nożyczki mogły się łatwo wsunąć pod stertę papierów. Wcisnęła głowę do szuflady, podniosła zębami miesięcznik „Vogue”, wyszarpięła go z szuflady i rzuciła na podłogę. Dziwne, raczej spodziewała się czasopism o polowaniu i łowieniu ryb.

Powtórzyła tę samą czynność jeszcze kilka razy, rzucając egzemplarze „People” i „Cosmopolitan” obok „Vogue”. Kiedy wyciągała ostatnie pismo, wysunęła się z niego jakaś fotografia i upadła na podłogę obrazkiem do dołu. Abby nie miała teraz czasu na oglądanie zdjęć. Z powrotem wsadziła głowę do szuflady, przesunęła nosem parę kawałków papieru i spojrzała z rozpaczą na to, co zostało: paczka dropsów miętowych, paczka chusteczek, szmerglowy pilnik do paznokci i buteleczka czerwonego lakieru. Na tyle jeszcze nie oszalała, żeby przypuszczać, że szmerglowy pilnik przetnie nylonowy sznurek. Tyle wysiłków na nic!

I wtedy go zobaczyła. Wciśnięty w róg nóż do otwierania listów. Porządny nóż, z ostrym czubkiem i błyszczącym, stalowym ostrzem.

Abby wpatrywała się w niego przepelniona szczęściem. Błyszczące ostrze było najpiękniejszym kawałkiem metalu, jaki widziała w całym swym, prawie dwudziestodzieciuletnim życiu. Oparła się górną połową ciała o szufladę i uderzyła w nóż nosem. Przesunął się lekko i wrócił na swoje miejsce, nim mogła go złapać zębami. Spróbowała jeszcze raz bardzo powoli, wsuwając nos pod trzonek i podnosząc go do góry, aż wreszcie udało jej się złapać go w zęby.

Z triumfalnym okrzykiem przekręciła głowę i przeniosła nóż na łóżko. Padł na niego promień słońca i Abby, oddychając spazmatycznie, z miłością wpatrywała się w błyszczące ostrze. Po paru minutach nachyliła się i ostrożnie dotknęła noża czubkiem nosa. Był cudownie, wspaniale, fantastycznie ostry.

Znów wzięła nóż do papierów w zęby i podciągnęła się na łóżko, tak żeby mogła przerzucić go z ust do prawej ręki. Natychmiast skierowała ostrze na sznurek, którym lewa ręka przywiązana była do łóżka. Jednakże nie mogła odpowiednio manewrować prawą dłonią, także przecież przymocowaną do kolumnienki. Ostrze ślizgało się tylko po nylonowym sznurku.

- Teraz na pewno nie zrezygnuję - mruknęła, wpatrując się z nienawiścią w żółtawe pęta.

Jeśli nie mogła użyć ręki, użyje zębów. Ponownie chwyciła nóż do listów ustami i wbiła jego czubek między nylonowe sploty. Piłowała uparcie i niezmordowanie, kiwając głową tam i z powrotem w ciepłym rytmie. Ostrze było tak ostre, jak myślała i sznurek pękł szybciej, niż się spodziewała. Poruszyła prawą dłoń, gdy tylko rozwiązała pierwszą pętlę. Zostało jeszcze pięć.

Nie myślała o popękanych wargach, o wyschniętym gardle, o bolących szczękach. Nie przejmowała się krwawiącą skórą na przegubach dłoni. Po prostu skupiła się wyłącznie na pętlach żółtego, nylonowego sznurka, które po kolei opadały pod ostrzem noża. Pomyślała, że jeszcze piętnaście minut i będzie mogła uczcić zwycięstwo szklanką zimnej wody. Sama myśl dodała jej nowej energii.

Faktycznie uwolnienie prawej ręki zabrało jej tylko dziesięć minut, ponieważ dwie ostatnie pętle same spadły, gdy reszta sznurka została przzerwana. Oswobodzenie lewej ręki byłoby sprawą kilkunastu sekund, gdyby nie to, że prawa dłoń była zbyt zdrętwiała, żeby utrzymać nóż i Abby musiała ją najpierw porządnie rozmasować.

Wygrałam, pomyślała z radością, kiedy ostatnie kawałki żółtego nylonu upadły na łóżko. Nie czekając ani chwili dłużej, popędziła do kuchni i włożyła głowę pod kran, pijąc wielkimi łykami. Wreszcie miała pełny żołądek i obolałe od chłodu gardło.

Woda jeszcze nigdy nie smakowała tak cudownie. Abby, z zamkniętymi oczyma, z kropelkami wody kapiącymi z ust, oparła się na moment o zlew, rozkoszując wolnością. Bez większej nadziei spróbowała przestawić położenie kurka i sprawdzić, czy jest ciepła woda. Wzdrygnęła się na widok pokrwawionych nadgarstków i przez chwilę myślała, że jej żołądek zwróci całą wypitą wodę.

Nie czas teraz na wymioty, powiedziała sobie stanowczo. Należy jak najszybciej doprowadzić Steve'a do przytomności.

Fala mdłości opadła. W kranie nie było ciepłej wody, ale działała kuchenka elektryczna i Abby nastawiła wodę w czajniku. Steve'owi na pewno dobrze zrobi, jeśli wypije coś gorącego, a obojgu przyda się trochę ciepłej wody do mycia.

Abby podrapała się odruchowo w swędzące miejsce na udzie, w które Peter wbił igłę i stwierdziła, że nadal tkwi tam czubek igły. Szybko go wyciągnęła, a potem rozejrzała się wokół w poszukiwaniu telefonu. Znalazła aparat w pokoju, ale w słuchawce panowała głucha cisza. Oczywiście tak naprawdę nie spodziewała się niczego innego.

Tymczasem, czekając, aż woda się zagotuje, Abby przeszła do sypialni i rozcięła więzy Steve'a. Jego oddech wydawał się znacznie lepszy, ale próba przywrócenia go do przytomności znów się nie powiodła. Miał bardzo zimną skórę, więc Abby zawinęła go w koce, podłożyła mu pod głowę dwie poduszki i chwilowo zostawiła w spokoju.

Nie miała pojęcia, kiedy spodziewać się Petera i jego współnika, ale Peter mruknął coś o powrocie wieczorem. Słońce nadal przeświecało przez okiennice i wskazówki na zegarku Abby pokazywały drugą czterdzieści, a zatem miała jeszcze co najmniej parę godzin, żeby postawić Steve'a na nogi.

Kiedy wreszcie oprzytomnieje, nie będzie już żadnych przeszkód, aby wrócili do domu. Abby nie chciała cieszyć się przedwcześnie, ale w porównaniu z tym, co dotychczas udało jej się zdziałać, wyjście z zamkniętego domku nie przysparzało większych problemów. Na pewno da się rozwalić którąś z okiennic, jeśli się w nią mocno uderzy jakimś kuchennym narzędziem. Abby nie chciała teraz tracić czasu i martwić się na zapas.

Z zapasów znalezionych w kuchennej szafce zrobiła dwa kubki słodkiej kawy z mlekiem. Nim zaniósła kawę do pokoju, przelała do rondelka zupę pomidorową z puszki i postawiła na kuchence, żeby się zagrzała. Patrząc na Steve'a, doszła do wniosku, że doprowadzenie go do stanu używalności będzie znacznie trudniejsze niż wydostanie się na zewnątrz.

Postawiła kubki z kawą na stoliku, usiadła na łóżku i posadziła Steve'a przy sobie. Z wysiłkiem ułożyła jego głowę we właściwej pozycji i zaczęła cierpliwie, łyżeczka po łyżeczce, wlewać mu do ust gorący napój.

Kiedy pierwszych kilka łyżeczek spłynęło po brodzie, Abby delikatnie wytarła mu twarz papierową chusteczką; gdy jednak dalsze wysiłki przynosiły podobne rezultaty, zaczęła się poważnie denerwować.

Co będzie, jeśli Steve nie odzyska przytomności? Doskonale знаła odpowiedź na swoje pytanie. Wiadomo było, że nie ucieknie i nie zostawi go samego.

Połowa kawy z jednego kubka spłynęła Steve'owi po brodzie.

Abby wypila kilka łyków z drugiego, czując, jak gorący napój dodaje jej energii. Drżącymi lekko palcami rozwarła mu zęby, wsunęła między nie łyżeczkę i delikatnie przechyliła. Kolejny raz, chyba już setny, pomyślała ze złością Abby, kawa pociekła mu po brodzie i wsiąkła w sweter. Nie była w stanie dłużej nad sobą panować.

- Obudź się wreszcie, ty zarozumiała, beznadziejny, nie nadający się do niczego głupku! - krzyknęła, złapała go za ramiona i potrząsnęła z całej siły. - Wylegujesz się na łóżku, gdy ja padam z wycieńczenia, organizując naszą ucieczkę. Pij tę cholerną kawę, duma pało!

Steve otworzył oczy.

- Abby - mruknął, wyraźnie zadowolony. - Słyszałem twój głos. - Powieki znów mu opadły. - Masz słodki głos.

- Nie jestem słodka, jestem wściekła! - wrzasnęła Abby i rozplakała się żałośnie.

Steve z wysiłkiem otworzył oczy.

- Dlaczego płaczesz? Nie płacz. - Jego głos brzmiał coraz ciszej. - Serce mi pęka, kiedy płaczesz.

- Wcale nie płaczę - odparła wbrew faktom i pociągnęła nosem. - Obudź się w końcu i wypij tę swoją głupią kawę. Musimy stąd uciekać.

Steve, z nieprzytomnym wyrazem twarzy, obiema rękami wziął od niej kubek z kawą i wypił kilka łyków, rozglądając się wokół bezradnie. Nagle potrząsnął głową i usiadł prosto, krzywiąc się z bólu.

- Gdzie my jesteśmy? - spytał. - Ostatnia rzecz, jaką pamiętam, to martwy Keith Boveri, z głową na biurku.

- Zostaliśmy porwani - powiedziała Abby. - Przez Petera Graymonta i jakiegoś jego wspólnika.

- Wszedłem do gabinetu Keitha i ktoś złapał mnie za gardło, uciskając tętnicę szyjną. Dokładnie wiedział, w którym miejscu nacisnąć, żebym od razu stracił przytomność.

- Poza tym dostałeś zastrzyk z fenobarbitalu - poinformowała go Abby. - Teraz jesteśmy w wakacyjnej chacie gdzieś w górach. Peter Graymont i jego zamaskowany, tajemniczy wspólnik wracają tu dziś wieczorem.

- Skąd to wszystko wiesz?

Opowiedziała mu o wszystkim, czego się dowiedziała, gdy on leżał nieprzytomny, unikając szczegółów dotyczących igły, nieudanego zastrzyku i uwolnienia się z więzów. Steve z przerażeniem spojrzał na jej zakrwawione ręce.

- Musisz je jakoś opatrzyć - stwierdził. - Może znajdziesz coś w łazience.

- Później zobaczę - powiedziała Abby, przykładając sobie na rany parę papierowych chusteczek. - Nie mamy czasu, żeby się zajmować nieistotnymi detalami.

- Na przykład zakażeniem.

- Steve, ty chyba nie zrozumiałeś tego, co mówiłam. Peter i jego wspólnik chcą wysadzić tę chatę w powietrze. Już niedługo. Dziś wieczorem.

- Z nami w środku?

- Jak najbardziej.

- To na co czekamy? Uciekajmy stąd.

Steve postawił stopy na podłodze, wstał i natychmiast się przewrócił. Wpatrując się w podłogę, wyrzucił z siebie stek przekleństw, z których żadne się nie powtarzało. Nagle umilkł.

- Skąd to jest? - spytał, podnosząc z podłogi zdjęcie.

- Co? - spytała Abby, klękając obok niego. - Och, całkiem zapomniałam.

Wypadło z jakiegoś pisma, które wyciągnęłam z szuflady stolika.

- Widziałaś, kto jest na nim?

- To chyba nie jest odpowiedni moment, żeby oglądać zdjęcia - powiedziała Abby, zaglądając mu przez ramię. - To ojciec - stwierdziła z lekkim zniecierpliwieniem. - Ojciec z Keithem Boverym i z Lynn Renquist. Mój Boże, ostatnio bez przerwy natykamy się na coś, co ma związek z tą kobietą.

Posłuchaj, Steve, musimy iść - dodała, obejmując go ręką w pasie. - Mam ci pomóc?

- Dziękuję, dam sobie radę. - Steve wstał i natychmiast opadł na łóżko. - Daj mi jeszcze parę minut. Zaraz ci pomogę.

Abby usiadła przy nim na łóżku i oboje wpatrywali się w zdjęcie. Steve przejechał palcem po czarno-białej postaci kobiety w stroju pielęgniarki.

- Wiesz co, Abby? Zaczynam myśleć, że byliśmy niewiarygodnie ślepi. Kto, oprócz twojego ojca, wiedziałby o istnieniu metryki urodzenia i świadectwa zgonu małego Christophera?

Abby zastanawiała się przez chwilę.

- Chyba jego matka.

- Czyli Lynn Renquist. A kto wiedziałby, że Lynn pisała do twojego ojca i że w listach może się kryć jakaś tajemnica?

- Lynn Renquist - odparła powoli Abby.

- A kto znałby dość szczegółów z przeszłości twojego ojca, żeby w przekonujący sposób wprowadzić do rodziny kogoś udającego waszego przyrodniego brata?

- Lynn Renquist! - krzyknęła Abby. - Jedyna osoba, która mogła być absolutnie pewna, że była kochanka ojca nie zjawi się nagle na scenie i nie zepsuje całej koncepcji.

- W gruncie rzeczy Lynn jest jedyną osobą, która mogła zagwarantować Douglasowi, że nie zostanie zdemaskowany jako oszust - stwierdził Steve.

Abby spojrzała na rozrzucone po podłodze pisma. Pisma wybitnie kobiece.

- Jeszcze coś, Steve. Lynn Renquist jest przypuszczalnie jedyną osobą, która trzymałaby takie zdjęcie w szufladzie nocnego stolika. Nie wiem, jakie są jej powiązania z Peterem Graymontem, ale możemy się założyć, że ta chata należy do niej.

- Nie będę się zakładał - powiedział Steve z ponurym wyrazem twarzy. - Co więcej, wydaje mi się, że w końcu wiemy, kto stoi za tymi wszystkimi próbami morderstwa. Od kilku dni znamy jej nazwisko.

Abby spojrzała na trzy uśmiechnięte twarze na zdjęciu i pomyślała ze smutkiem, że musiało coś zająć, co popsuło tę przyjaźń.

- Lynn Renquist - powiedziała. - To ona usiłowała mnie zabić. Bóg wie dlaczego.

- Z przyczyn, które podejrzewaliśmy. Ty przechowujesz wszystkie rodzinne dokumenty. Kiedy Douglasowi Brady nie udało się przejąć złota konfederatów, postanowiła się ciebie pozbyć.

- Ponieważ jestem jedyną osobą, która może udowodnić za pomocą posiadanych dokumentów, że Douglas Brady był oszustem.

- Właśnie. Masz dokumenty, które jej grożą skandalem. Wiedząc, że zajmujesz się przeszłością twojego ojca i zaglądasz do starych papierów, Lynn Renquist nie była pewna dnia ani godziny.

Abby spojrzała na zdjęcie.

- To musi być ktoś, kogo znamy, ale ja jej z nikim nie kojarzę.

- Ja też nie. Bądź jednak pewna, że ją znajdę i wsadzę za kratki przynajmniej na następne sto lat.

Steve zdecydowanym ruchem znów postawił stopy na podłodze, wstał i triumfalnie zacisnął pięści, kiedy zdołał się utrzymać na nogach.

- Powrót Supermana - stwierdził, napinając mięśnie.

Ruszył w stronę okna, ale musiał po drodze przytrzymać się komody, ponieważ zakreśliło mu się w głowie.

- Częściowy powrót Supermana - poprawił się z uśmiechem. - Chodź, zostaw teraz to zdjęcie. Wybijemy okno i poszukamy jakiegoś telefonu.

- Czy nie powinniśmy przeszukać tej chaty? - zaproponowała Abby. - Może uda nam się dojść, jak się dziś nazywa Lynn Renquist. W końcu naprawdę nie mamy pojęcia, kto to jest. Jak jej się udało przekonać Petera Graymonta i jego zamaskowanego wspólnika do całej tej mokrej roboty?

- Może płaci im duże pieniądze? Ten facet w czarnym ubraniu może być wynajętym zabójcą. Dlatego cały czas chodzi w czapce narciarskiej, naciągniętej na twarz. Nie chce, żeby ktoś go widział.

- Skąd Lynn miałaby tyle pieniędzy, żeby dobrze opłacić Petera i jeszcze wynająć mordercę?

- Przypuszczalnie okradła bank - powiedział Steve. - To tłumaczyłoby powiązania z Taylorem oraz fakt, iż namówiła Petera i jego wspólnika do zamordowania Keitha Bovery'ego.

- Czyli Lynn Renquist pracuje w Banku Federalnym. Myślisz, że to Linda Mendoza? Czyżbyśmy słusznie podejrzewali od samego początku?

Steve wykręcił tymczasem śrubę z okiennej ramy.

- Posłuchaj, skoro Peter i jego wspólnik mogą się tu zjawić w każdej chwili, z łaskami dynamitu, nie jestem w tej chwili szczególnie zainteresowany tożsamością Lynn Renquist ani jej udziałem w całej aferze. Proponuję, żebyśmy zostawili dedukcje porucznikowi Knudsenowi, a sami skoncentrowali się teraz na tym, aby uciec.

Syk kipiącego jedzenia przypomniawszy Abby, że zostawiła na kuchence zupę pomidorową. Wpadła do kuchni i złapała ronderek. W tym momencie coś jej się przypomniawszy. Było to tak nieoczekiwane, że odstawiła ronderek i wróciła do pokoju.

- Steve - powiedziała - właśnie coś zrozumiałam.

- Co? - Zajęty rozbieraniem ramy okna, nawet się nie obejrzał.

- Kiedy Peter i jego wspólnik wychodzili stąd, myśleli, że jestem nieprzytomna. Jak wiesz, niezupełnie tak było. Kręciło mi się trochę w głowie, ale jeszcze nie zasnęłam. Wspólnik Petera zawołał go od drzwi. Już wtedy coś mnie zaniepokoiło w jego głosie i dopiero teraz zrozumiałam dlaczego. To był głos kobiety, a nie mężczyzny.

- Co? - wykrzyknął Steve, rzucając śrubokręt.

- Czemu zakładamy, że Lynn Renquist wykorzystuje innych do swojej parszywej roboty? Równie dobrze to ona mogła próbować mnie zamordować. Osobiście.

Steve powoli odzyskiwał jasność umysłu.

- Człowiek, który chciał cię zabić w Boulder, był mężczyzną. Słyszałaś go przez telefon. Ja widziałem go na tarasie.

- Nic podobnego. Słyszałam przez telefon zniekształcony głos. Ty widziałeś zamaskowaną postać. Zakładaliśmy, że słyszeliśmy i widzieliśmy mężczyznę. Ale ja uważam, że to jest kobieta.

Steve przysłuchiwał jej się uważnie.

- Mój Boże - powiedział. - Wiesz, że chyba masz rację. Zamaskowaną osobą jest Lynn Renquist.

Abby podniosła do oczu zdjęcie, wpatrując się w nie zmrużonymi oczyma.

- Byłoby miło, gdybyśmy wiedzieli, jak się teraz nazywa - powiedziała zamyślona.

ROZDZIAŁ 13

Abby i Steve nie mieli zbyt wiele czasu, żeby się dłużej zastanawiać. Szybko przeszukali chatę, ale nie znaleźli żadnych wskazówek dotyczących aktualnej tożsamości Lynn Renquist.

Wydłużające się cienie przypomniały im, że Peter ze współnikiem mogą powrócić lada chwila. Steve wrócił do rozkręcania ramy okiennej, a Abby do dymiącego rondelka z zupą.

Obrzuciła niezadowolonym spojrzeniem smętne resztki ich posiłku, doskonale wiedząc, iż Steve powinien koniecznie zjeść coś gorącego przed wyruszeniem w wędrówkę po górach.

- Zrobię nam jeszcze kawy - mruknęła, nalewając wody do czajnika. - Gotowanie jest stanowczo za trudne.

Steve wszedł do kuchni w najmniej odpowiednim momencie.

- To prawda - przyznał ze śmiechem. - Podgrzanie zupy jest bardzo trudne. Trzeba otworzyć puszkę, dolać wody i zamieszać. To nie jest zadanie dla nowicjusza.

Odwróciła się, żeby coś powiedzieć, ale gdy tylko zobaczyła sfrustrowany wyraz jego twarzy, zapomniała o nieistotnym problemie przypalonej zupy.

- Co się stało? - spytała. - Okno się nie da otworzyć?

- Kiepskie wiadomości, mała. Okiennice można zdjąć dość łatwo, ale okna są zabezpieczone z zewnątrz żelaznymi prętami. Bardzo mocnymi żelaznymi prętami przytwierdzonymi do aluminiowej zewnętrznej ramy okna. Musielibyśmy mieć palnik, żeby dać sobie radę.

- Wszędzie? - spytała Abby, przelżykając nerwowo ślinę.

- Nie sprawdzałem tylko tutaj, w kuchni. Poza tym wszędzie. Nawet w łazience.

- Okna w kuchni są i tak za małe, żeby się przez nie wydostać. Zalała wrzątkiem rozpuszczalną kawę i podała jeden kubek Steve'owi.

- Wygląda na to, że Peter i jego wspólnik od dawna szykowali nasze więzienie. Mieli czas, aby wszystko porządnie przygotować.

- Nie wydaje mi się, żeby te żelazne pręty założono z naszego powodu. Wyglądają na dość stare. Przypuszczalnie założono je przy budowie chaty jako zabezpieczenie przed złodziejami i wandalami. Wiele tych górskich domów ma kraty na drzwiach i na oknach. Zwłaszcza jeśli stoją na odludziu tak jak ten.

Abby wydawało się, że w kuchni robi się z minuty na minutę ciemniej. Napiała się gorącej kawy z mlekiem, ale nie poczuła się wcale lepiej. Popołudnie szybko zmieniało się w wieczór, zabierając ze sobą nadzieję na ucieczkę. Peter i jego wspólnik - Peter i Lynn? - na pewno byli już niedaleko. Oczywiście istniała szansa, że uda im się wyrwać. Niewielka, jeśli Peter ze wspólnikiem będą uzbrojeni. Bo tylko w filmie szybki kopniak w uzbrojoną dłoń przynosi pożądane rezultaty; w prawdziwym życiu na ogół taka sytuacja kończy się nieszczęśliwie dla porządnych ludzi.

- Czy zdążymy wykopać tunel? - spytała. Żart miał zapobiec łzom.

- Chyba nie. Nie mamy czasu ani łopat.

- Może jeszcze raz sprawdzimy drzwi wejściowe - zaproponowała. - Spróbujemy rozkręcić kłódkę. To nie powinno zbyt długo potrwać. - Otworzyła jedną z kuchennych szuflad. - Zobacz, tu są korkociągi i otwieracze do konserw, jest nawet młotek. Wszystkie podstawowe narzędzia.

Steve potrząsnął głową.

- Przykro mi, skarbie. Widziałaś łańcuch na drzwiach. Jest z grubej stali, a kłódka wygląda jakby ją przywieziono wprost z więzienia w San Quentin. Przepiłowanie jej zabrałoby wiele godzin. Chyba że mielibyśmy palnik acetylenowy. Zrezygnowaliśmy z drzwi na korzyść okien, pamiętasz?

Abby ścisnęło coś w żołądku ze strachu i złości.

- Steve, to szaleństwo. Jesteśmy zdrowi i przytomni. Mamy swobodę poruszania się, mamy narzędzia i światło. Musimy się jakoś stąd wydostać, do cholery!

- Przez komin, jeśli zmienisz się w świętego Mikołaja albo w pięcioletnią dziewczynkę. - Steve wziął ją za rękę. - Posłuchaj, Abby, wydaje mi się, że nie mamy innego wyjścia, tylko starać się ich jakoś pokonać, kiedy tu wrócą. Sytuacja wcale nie jest dla nich korzystna. Będzie już Ciemno. Oni będą przekonani, że leżymy skrepowani.

- Zaczekaj chwileczkę! Przecież tu jest przybudówka! - przerwała mu Abby, tańcząc w miejscu z podniecenia. - Z boku chaty jest jakiś garaż, przybudówka, czy coś w tym rodzaju. Założę się, że nie jest aż tak okratowana. Nie widziałam też, kiedy tu przyjechaliśmy, żeby Peter lub jego wspólnik jakoś szczególnie to miejsce zabezpieczali. Są tam normalne drzwi, nic więcej. Wydaje mi się, że skoro przybudówka stoi przy bocznej ścianie domu, moglibyśmy się do niej dostać przez ścianę z kuchni.

Steve spojrzał na nią rozjaśnionym wzrokiem.

- Jeszcze lepiej z komórki. Tam ściany na pewno nie są wyłożone drewnem.

- Komórka jest tu.

Abby poszła w kąt kuchni i otworzyła drzwi prowadzące do pomieszczenia, w którym znajdowały się piec, bojler i korki elektryczne.

- Hurra! - krzyknęła triumfalnie. - Spójrz, Steve, ściany w ogóle nie są wykończone.

Steve rzucił okiem na cienką gipsową ściankę dzielącą pomieszczenie od przybudówki i z radością uściskał Abby.

- Jesteś absolutnym geniuszem, skarbie. Nic dziwnego, że kocham się w tobie do szaleństwa. - Urwał, jakby zaskoczony własnymi słowami, a potem uśmiechnął się. - Prawda wyszła na jaw. Nie mogę już tego dłużej przed tobą ukrywać. Pożądaj twego cudownego, kobiecego umysłu.

Serce Abby zabiło mocniej i nie miało to nic wspólnego z nowo odkrytą możliwością ucieczki. Steve mówił, jak zwykle, prześmiewczym tonem, ale Abby wreszcie pojęła, że jego beztroski sposób bycia niekoniecznie odzwierciedla prawdziwe uczucia. Oczywiście nie łudziła się, iż Steve Kramer, odwieczny kawaler i bon vivant, postanowił całkowicie odmienić swoje dotychczasowe życie, ale akurat w tej chwili nie o to jej chodziło. Chciała jedynie wiedzieć, że Steve'owi naprawdę na niej zależy. W czasie krótkiego okresu małżeństwa z Gregiem przekonała się na własnej skórze, że uzależnianie własnego szczęścia od drugiej osoby bywa szalenie ryzykowne. Podczas ostatnich sześciu lat po rozwodzie, pamiętając o licznych zdradach Grega, zadbała o to, aby nigdy, nawet w najmniejszym stopniu, więcej w ten sposób nie ryzykować. I teraz, zgodnie z długoletnim przyzwyczajeniem, które stało się niemal drugą naturą, mogła zareagować na wyznania Steve'a ironiczną uwagą.

Mogła też zaryzykować i okazać własne zaangażowanie, poznając dzięki temu jego prawdziwe uczucia.

Abby spojrzała uważnie na Steve'a, starając się w panującym w kuchni półmroku odczytać wyraz jego twarzy. Nagle pomyślała, że w obliczu grożącej jej śmierci nie może nie zadać mu zwykłego pytania.

- Powiedziałeś prawdę, Steve? - spytała cicho. - Rzeczywiście jesteś we mnie szaleńczo zakochany?

Steve znieruchomiał na moment, po czym przestał przeszukiwać szufladę z narzędziami i odwrócił się do Abby z dziwnie obronnym wyrazem twarzy. Przez chwilę w kuchni panowała całkowita cisza. W końcu Steve wzruszył ramionami i roześmiał się sarkastycznie.

- Czyż musisz pytać, Abby? Kocham cię od lat. Pół roku temu doszedłem do wniosku, że to uczucie na resztę życia.

- Wtedy, kiedy kupiłeś mieszkanie w moim domu?

- Tak. Przyszło mi do głowy, zapewne bez sensu, że może zwrócisz na mnie uwagę. Może mnie nawet polubisz. Nie tylko z powodu mojego gotowania
- dodał innym niż zwykle, poważniejszym tonem.

Abby zrozumiała wreszcie, na czym polega przecucie szczęścia.

- To wcale nie był głupi pomysł - powiedziała cicho, przytulając głowę do jego piersi. - Wydaje mi się, że kocham cię od zawsze, Steve. Od tej chwili, kiedy cię zobaczyłam w miasteczku uniwersyteckim. Po prostu zrozumienie własnych uczuć zabrało mi trochę więcej czasu niż większości kobiet.

- Nie przejmuj się, kochanie. Tamte dziesięć lat się nie liczy.

- Tyle zmarnowanego czasu - szepnęła, splatając dłonie na jego karku i podnosząc twarz do pocałunku.

- Kocham cię - powiedział i pocałował ją z pasją, która rozgrzała jej krew i nappełniła ciepłem duszę.

- Ja też cię kocham - odparła.

Po chwili odsunęli się od siebie, gdyż rzeczywistość nie dawała o sobie zapomnieć. Steve delikatnym ruchem pogłaskał jej policzek.

- Marzę o tym, żeby cię zanieść do sypialni i kochać się z tobą przez następne kilka godzin, ale obawiam się, że aktualnie nie mamy na to czasu.

Abby wzięła go za rękę i ją uścisnęła.

- Wydostali nas stąd, Steve - szepnęła.

- Mam taki zamiar - powiedział z westchnieniem.

- W porządku. Bierzmy się do roboty.

Abby energicznie wyciągnęła z szuflady młotek i nóż i podała je Steve'owi.

- Wytnij nam tutaj odpowiedni otwór, którym będziemy mogli uciec, dobrze? To nie jest dobre miejsce na zakończenie naszej wielkiej miłości.

- Żadne miejsce nie jest na to odpowiednio dobre, dopóki nie pójde z tobą do łóżka. Jeszcze jakieś kilkaset razy. - Steve jeszcze raz szybko pocałował ją w usta, podniósł głowę i uśmiechnął się tak dobrze jej znanym uśmiechem. - Mam

do ciebie prośbę. Czy w naszym następnym wcieleniu mogłabyś zauważyć, że szaleję za tobą, zanim jakiś maniak morderca weźmie nas sobie za cel?

- Postaram się.

- To dobrze. Teraz z większą nadzieją mogę oczekiwać wszystkich naszych przyszłych wcieleń - powiedział i klepnął ją lekko w ramię. - Może uda ci się znaleźć dla nas jakieś ciepłe swetry. Z pewnością nam się przydadzą.

Nim Abby zdążyła wyjść z kuchni, Steve już wcisnął się między piec i bojler i zaczął zrywać gips z drewnianych oszalowań. Pomyślała, że żadne z nich nie wspomniało nawet o możliwości niepowodzenia, o tym, że garaż może być równie dobrze zamknięty jak chata, jeśli w ogóle uda im się do niego przedostać. O niektórych rzeczach lepiej nie wspominać na głos.

- W całym domu jest tylko jeden sweter, ale przynajmniej znalazłam tenisówki i wełniane skarpetki - powiedziała Abby, wracając po dziesięciu minutach.

Ciemność ogarnęła ich tak nieoczekiwanie, że prawie nic nie było już widać i Abby, bezmyślnie, włączyła światło w kuchni.

- Wyłącz to! - rozkazał ostro Steve. - Pamiętaj, że leżymy związani na łóżku.

Abby pomyślała, że jeśli Peter i jego wspólnik wrócą, nim uda im się uciec, zapalone światło w kuchni będzie nieistotnym detalem, posłusznie jednak zgasiła światło i pomacała ręką w szufladzie z narzędziami, bo wcześniej widziała w niej małą latarkę, niewiele większą od paczki papierosów. Kiedy ją znalazła, nakierowała wąski, mocny promień światła na komórkę. Zobaczyła triumfalny uśmiech Steve'a i jego białe od gipsowego pyłu włosy.

- Droga ucieczki stoi otworem, moja pani - powiedział, wskazując wybity w ścianie otwór, mniej więcej metr na metr. - Jeden krok w dół i jesteś w garażu.

Abby roześmiała się radośnie. Przejście do garażu okazało się łatwiejsze, niż myślała.

- Potrzymam latarkę - powiedział Steve. - Włóż sweter. Kiedy zaprotestowała, narzucił jej sweter na głowę.

- Kochanie, nie mamy czasu na dyskusje. Do tej pory to ty miałaś same dobre pomysły. Pozwól, że teraz ja będę mężczyzną i trochę zmarznę, dobrze?

Garaż nie miał żadnego okna i było tam tak ciemno, że kuchnia, którą przed chwilą opuścili, wydawała się bardzo jasna. Szum dobiegający z jednego kąta wskazywał na obecność prądnicy elektrycznej, poza tym było pusto, co ułatwiło im poszukiwania.

Za pomocą latarki zlokalizowali typowe, uchylne drzwi, zabezpieczone przed złodziejami i wandalami dwiema żelaznymi sztabami. Jednakże sztaby miały powstrzymać złodziei przed wejściem do garażu, a zatem otwarcie ich od środka było dziecinnie łatwe. W niecałą minutę udało im się podnieść obie do góry.

Lekko zadyszani spojrzeli na siebie błyszczącymi z wrażenia oczyma.

- Zrobione - szepnęła Abby.

- Udało nam się - mruknął Steve.

Uniósł do góry oba kciuki i Abby przebiegła na drugi koniec drzwi.

- Do biegu, gotowi, start! - zawołał, przekrzykując szum prądnicy.

Popchnęli do góry żelazne rączki po obu stronach i drzwi garażu, skrzypiąc i stukając, podniosły się w górę na piszczących zawiasach.

Wyszli na lodowato zimne, górskie powietrze. Jeszcze nigdy nie pachniało tak cudownie.

- Udało nam się! - krzyknęła Abby. - Uciekliśmy!

Drzwi garażu zamknęły się za nimi z trzaskiem, jakby podkreślając ich udane wyjście. Oboje roześmieli się z ulgą. Wydostali się z zamknięcia wbrew wszelkim przeszkodom. Abby złapała Steve'a za rękę, a on przytulił ją do siebie w triumfalnym uścisku.

- Ścigamy się do telefonu - zażartował.

Zaczęli biec w kierunku drogi. W kierunku bezpieczeństwa i wolności. W kierunku nieokreślonych możliwości na wspólną przyszłość.

Przebiegli ścieżką zaledwie kilka metrów, kiedy Abby zdała sobie sprawę, że szum, który nadal słyszy, nie jest szumem prądnicy z garażu, lecz silnika ciężarówki. Steve zrozumiał to w tej samej chwili, gdyż zatrzymali się jednocześnie, rozglądając się nerwowo w poszukiwaniu kryjówki.

Wielki Boże, pomyślała Abby, kręcąc głową na wszystkie strony, jak przestraszony zając. Jesteśmy w pułapce między zamkniętą chatą z tyłu i ciężarówką z Peterem i jego współnikiem z przodu. Chata stała na skalistej, pustej przestrzeni i oprócz kilku sosen przy wejściu, w najbliższej odległości nie rośło najmniejsze drzewko. Kamienie ułożone na ścieżce nie zapewniłyby kryjówki nawet wiewiórcze.

Rozglądali się spanikowani nie dłużej niż kilkanaście sekund. Dla Abby trwały one całą wieczność. Co gorsza, czuła się sparaliżowana gwałtownym przejściem od triumfalnej nadziei do otepiającego przerażenia.

- Biegnij na lewo - rozkazał Steve, chłodnym, opanowanym głosem, nie zostawiającym miejsca na protesty. - Uciekaj w te drzewa za chatą. Szybko!

Ciężarówka wyjechała z za ostatniego zakrętu i skręcając w stronę chaty, oświetliła ich jasnymi światłami reflektorów.

- Leć! Teraz!

Steve obrócił Abby i popchnął w kierunku małej kępy drzew za chatą. Posłusznie zaczęła biec. Zimne, nocne powietrze zatykało oddech i mroziło resztki nadziei w sercu. Gdzie jest Steve? Nie słyszała go za sobą. Z rozpaczą pomyślała, że na pewno pobiegł w przeciwną stronę, chcąc ściągnąć na siebie pościg. Niewątpliwie prześladowcy to widzieli i lada chwila go złapią.

Jego poświęcenie nie mogło pójść na marne. Abby z nadzwyczajnym zrywem energii i siły rzuciła się przed siebie w stronę chaty. Światło reflektorów nie docierało tak daleko i przez ułamek sekundy miała nadzieję, że zdoła się ukryć pośród ciemnych drzew.

Wsunęła się między drzewa i przystanąła. Dalszy bieg nie miał najmniejszego sensu, bo tylko dostałaby się znów na odkrytą przestrzeń z drugiej strony. Czy powinna wspiąć się na drzewo? Nie, mogłaby w ten sposób niechcący zwrócić na siebie uwagę. W tej chwili jedynie całkowity bezruch dawał jej jakąś szansę. Z nogami przemarzniętymi w znalezionych tenisówkach, ze szczękającymi z zimna zębami, Abby wsunęła lodowate dłonie pod sweter i czekała.

Usłyszała trzask drzwi ciężarówki i odgłos stóp biegnących po oszronionej trawie. A potem dźwięk - bardzo łatwy do zidentyfikowania. Strzał.

Łzy zamarzły jej na policzkach. Przez bicie własnego serca usłyszała głos Petera.

- To było przyjacielskie ostrzeżenie, Kramer. Zatrzymaj się. Odwróć się i podnieś ręce do góry. Chyba że chcesz dostać kulkę w plecy.

Abby usiadła na ziemi, opierając się o pień sosny i usiłując pozostać w jej cieniu. Teraz wszystko zależało od niej. Steve poświęcił się, wybiegając na otwartą przestrzeń. Rozpacz przenikała powoli całe jej ciało, paraliżując skuteczniej niż przenikający, nocny wiatr. Nawet gdyby jakimś cudem udało jej się stąd wydostać, w jaki sposób mogła ocalić Steve'a? Jego życie przypuszczalnie liczyło się już w minutach.

Nasłuchiwała w napięciu. Głos Petera, rozkazujący, i odpowiedź Steve'a. Rozpoznała jego wyzywający ton, choć nie słyszała słów. Nawet jeśli go ranili, nie był nieprzytomny. Może Peter strzelał tylko na postrach. Może Steve w ogóle nie był ranny.

Abby usłyszała trzask łamanej gałązki ledwo sekundę przedtem, nim dłoń w rękawiczce zakryła jej usta. Coś okrągłego, zimnego i twardego wbijało jej się w plecy. Coś łatwego do zidentyfikowania - rewolwer.

Jej prześladowca nachylił się tak blisko, że Abby czuła na policzku dotyk wełnianej czapki, zakrywającej mu twarz. Bezpośredni dotyk wełny i ciepły

oddech prześladowcy brzydziły ją bardziej, niż przerażał rewolwer wbity w plecy.

- Ty i ten twój kochaś zaczynacie mnie złościć - syknął jej do ucha znajomy głos. - Ta szamotanina na śniegu wcale mnie nie bawi...

Prześladowca Abby mówił niskim, chrypliwym szeptem, który mógł być głosem mężczyzny. Ramię otaczające jej szyję było żylaste i umięśnione, zupełnie jak ramię mężczyzny. Jednakże perfumy, którymi pachniał, niewątpliwie były zapachem kobiecym - delikatnym kwiatowym zapachem, przywodzącym na myśl eleganckie przyjęcia i jedwabne suknie. Różany zapach spowodował, że Abby zrobiło się jeszcze bardziej niedobrze i omal nie wymiotowała.

- Dlaczego pani to robi, Lynn? - spytała. - Co ja pani takiego zrobiłam, że chce mnie pani zabić?

Cisza. Rewolwer powoli przesunął się po plecach Abby, jakby Lynn nie mogła się zdecydować, czy nacisnąć na cyngiel czy odpowiedzieć na pytanie.

- Domyśliłaś się, kim jestem - powiedziała w końcu, nadal tym samym ochryplym szeptem. - Może tak jest lepiej. Chcę, żebyś zginęła, znając prawdę.

- Jaką prawdę? - zapytała z rozpaczą Abby.

- Że ty żyjesz - odparła powoli Lynn. - Ty i twoje siostry. Wszystkie trzy żyjecie, a moje biedne dziecko umarło.

- Christopher był pani synem - powiedziała Abby i zmusiła się, żeby dodać: - Pani i mojego ojca.

- Tak, naszym synem i twoim przyrodnim bratem. Kiedy pierwszy raz powiedziałam twemu ojcu, że jestem w ciąży, udawał, że to nie jego dziecko. Ale w końcu nawet on musiał przyznać, że Christopher jest jego synem. Jego jedynym synem. Biedny mały bękart.

- On nie... Ojciec nie posyłał pani pieniędzy? W śmiechu Lynn zabrzmiała wieloletnia gorycz.

- Ależ tak, a jakże, przysyłał mi pieniądze. Za mało, ale dość, żeby uspokoić sumienie. Na cóż były pieniądze w tamtych czasach? Mnie potrzebne było małżeństwo. Mąż. Poważanie i szacunek.

- Nie... nie mógł się z panią ożenić. Przecież był żonaty.

- Powinien był o tym pamiętać, kiedy wracał z akcji, zawsze chętny, żeby wskoczyć do mego łóżka. On i Keith Bovery. Para obrzydliwych rozpustników. Żaden z nich mi nie powiedział, że jest żonaty, dopóki się ze mną nie przespali.

- Miała pani romans z Keithem Boverym i z moim ojcem? - spytała z niedowierzaniem Abby.

Lynn nie odpowiedziała na to pytanie.

- Kiedy wróciłam z Korei, prawie nic nie jadłam, żeby nie tyć i żeby nikt nie zauważył, że jestem w ciąży. Czy masz pojęcie, co to znaczyło mieć nieślubne dziecko w Alabamie w latach pięćdziesiątych?

- To musiało być... bardzo trudne.

- Mój synek ważył zaledwie dwa i pół kilo, kiedy się urodził. - W niskim, ochrypłym głosie brzmiało wspomnienie dawnego bólu. - Same oczy w maleńkiej różowej twarzyczce. Przeziębł się i to wystarczyło. Dwa dni gorączki i koniec. Twój ojciec nigdy go nawet nie widział, choć pisałam i błagałam, żeby przyjechał.

- Przykro mi - szepnęła Abby.

I to była nielogiczna, niemożliwa, nieprawdopodobna prawda. Za chwilę zginie, a mimo to żal jej było kobiety, która miała ją zabić.

- Nie chcę twojego współczucia. Nie jest mi do niczego potrzebne - powiedziała Lynn, zaciskając rękę na szyi Abby. - Gdybym nie chciała, żebyś cierpiała, zabiłabym cię już teraz. Ale chcę, żebyście ty i twój kochaś byli w pełni świadomi, kiedy nadejdzie wielki huk. W pełni świadomi i przerażeni.

- Już jestem przerażona - stwierdziła szczerze Abby.

- To dobrze. Teraz wiesz, jak się czułam przez całe dziewięć długich miesięcy. - Ostro szturchnęła Abby rewolwerem w plecy. - Wstawaj, Abigail. Szkoda czasu.

Przez cały czas Lynn starannie się pilnowała, żeby mówić szeptem. W czapce naciągniętej na twarz Abby nie mogła jej rozpoznać.

- Kim pani jest, Lynn? - spytała, autentycznie zainteresowana, mimo strachu.

- Lynn Renquist, porzuconą kochanką twego ojca. I narzędziem twojej śmierci. - W szeptanych cicho słowach dźwięczała nienawiść. - Ruszaj się, Abigail. Mój przyjaciel Peter nie lubi czekać.

ROZDZIAŁ 14

Abby z rewolwerem przyłożonym do pleców, czując w zimnym, nocnym powietrzu namacalną niemal nienawiść Lynn, ruszyła naprzód, potykając się co chwila w wysokiej trawie. Ku jej zdumieniu Lynn nie kazała jej iść w kierunku chaty, lecz w stronę ciężarówki, która stała na poboczu z wciąż włączonymi reflektorami.

Peter opierał się o maskę i bawił rewolwerem. Z ust wylatywały mu małe obłoczki pary. Gdy Abby podeszła bliżej, zobaczyła, że jego przystojna twarz wykrzywiona jest w szyderczym uśmiechu powitania.

- Moja droga Abigail, jakże się cieszę, że mój partner cię znalazł. Ależ z ciebie sprytna osóbką! Myśleliśmy, że oboje czekacie spokojnie, związani i nieprzytomni, ale najwyraźniej trochę się przeliczyliśmy. Cóż, wszystko dobre, co się dobrze kończy. Ostatnio nadużywam chyba tego powiedzenia, prawda? Mój partner każe mi załatwiać wszystkie sprawy, z którymi sama nie umie sobie poradzić. Sama! Ojej, jakież ze mnie głupiec! To miała być tajemnica.

- Wiedzą, że jestem Lynn Renquist. Ochryply szept dobiegł zza pleców Abby.

- Doskonali z was detektywi - powiedział Peter. Nadal się uśmiechał, ale w jego głosie brzmiał nieprzyjemny ton.

Abby dumnie uniosła brodę.

- Gdzie jest Steve? Co z nim zrobiłeś?

- Nic takiego, Abigail. Steve sam wszystko zrobił. Był nadzwyczaj chętny do współpracy. To bardzo szlachetnie z jego strony, że się poświęcił dla ciebie. Głupie, ale szlachetne.

- Jesteś obrzydliwym robakiem, Peter.

Peter przestał się uśmiechać, przyciągnął do siebie Abby i zaczął sugestywnie gładzić jej biodra rewolwerem.

- Małe dziewczynki nie powinny się brzydsko wyrażać - powiedział. - I powinny grzecznie leżeć w łóżeczku, kiedy starsi i mądrzejsi je tam przywiążą.

- Nie jestem małą dziewczynką.

Mimo wysiłków głos Abby drżał. Odetchnęła głęboko i spojrzała przez ramię na Lynn.

- Chcę zobaczyć Steve'a.

Zignorowali jej żądanie. Peter przesunął rewolwerem po ciele Abby i zatrzymał go między jej piersiami.

- Kapitalnie wyglądasz, moja droga Abigail. Mój rewolwer do ciebie pasuje. Gdy tak na ciebie teraz patrzę, skłonny jestem zapomnieć nawet o tej głupiotkiej próbie ucieczki. - Spoglądał na nią brązowymi oczyma, błyszczącymi perwersyjną przyjemnością. - Lubię nie tylko małe dziewczynki. Czasami, jeśli są dla mnie naprawdę miłe, lubię także dojrzałe kobiety.

- Wypchaj się.

Wykręcił jej ręce do tyłu i mocno przycisnął ją do siebie. Znow się szyderczo uśmiechał. Na szczęście miał na sobie grubą kurtkę i dzięki temu kontakt fizyczny był trochę mniej obrzydliwy.

- O, nie, moja droga, tak łatwo się mnie nie pozbędziesz. Cała ta sytuacja coraz bardziej mi się podoba.

Peter wsunął kolano między uda Abby i położył jedną rękę na jej piersi, rzucając Lynn ironiczne spojrzenie.

Abby zrozumiała nagle, że jego lubieżne aluzje i zachowanie są skierowane zarówno do Lynn, jak i do niej samej. Peter po prostu wykorzystywał ją do jakiejś prywatnej zemsty.

Nie miała najmniejszych wątpliwości, że zgwałciłby ją, gdyby miał w tym jakiś cel, bez cienia emocji. Świadomość, iż Peter nie czuje wobec niej faktycznego pożądania sprawiła, że Abby odetchnęła z ulgą.

Zamknęła oczy, starając się niczego po sobie nie pokazać, gdy Peter przyciągnął ją bliżej do światła reflektorów.

- Cała się pobrudziłaś, Abigail. Bardzo nieładnie. Spójrz tylko na twoje pokaleczone ręce. Ojej! Nie podobają mi się te ślady po sznurku. Gdybyś zachowywała się grzecznie i leżała na łóżku, tak jak cię zostawiłem, nie miałabyś teraz problemów.

- Masz rację, przypuszczalnie umarlibyśmy z wyziębienia. Gdzie jest Steve?

- Twój kochaś jest w ciężarówce - odezwała się Lynn, wciąż tym samym ochryłym szeptem. - Zaraz do niego dołączysz. Skończ już te żarty, Peter.

- Oczywiście, droga Lynn.

Lynn wyszła zza pleców Abby z bronią gotową do strzału. Peter przestał się bawić rewolwerem i wycelował go w brzuch Abby. Przyglądając się swym prześladowcom, nie miała wątpliwości, że oboje użyliby broni, gdyby wykonała najłżejszy, nieprzewidziany ruch. Mordercy zaczęli działać.

Peter kiwnął głową w stronę ciężarówki.

- Rusz swoją śliczną pupcię, Abigail. Musimy was zawieźć do kopalni i nie możemy tu sterczeć całą noc.

- Do kopalni? Do jakiej kopalni? Nie chcecie zabić nas tutaj? Teraz?

Poniewczasie Abby skarciła się w duchu za głupotę. Przecież nie musiały podpowiadać mordercom, kiedy i gdzie mają się ich pozbyć.

Peter pogłaskał kolbę rewolweru, nadal wymierzoną w Abby

- Nie, droga Abigail, nie zamierzamy likwidować was tutaj. Dlaczego mielibyśmy zostawiać ślady obok chaty mojej przyjaciółki? Żeby policja miała ułatwione zadanie? Zawieziemy was do kopalni Crystal.

A zatem mieli zamiar wysadzić w powietrze kopalnię. Ich plan był dużo sprytniejszy, niż Abby się spodziewała. Po wybuchu skały przesunęłyby się i zamaskowały raz na zawsze wejście do kopalni, wraz z ich ciałami w środku. Nawet gdyby komuś przyszło do głowy ich szukać, po kopalni nie zostałoby śladu.

Ich prześladowcy mieli doskonały plan. Dwa następne morderstwa, oprócz tych, których już dokonali, a policja mimo to na pewno nie będzie ich podejrzewać. Abby poczuła bezsilną wściekłość. Była już zmęczona zwyciężaniem kolejnych niepowodzeń, gdy zwycięstwa zmieniały się w ponure klęski.

- Po co chcecie nas zawieźć do kopalni? - spytała, udając, że nie odgadła ich planów. - Tam już nie ma złota.

- Nie szukamy złota - stwierdziła z goryczą Lynn. - Twoja siostra Kate pokrzyżowała nam plany. Razem z tym swoim cholernym R.J.

- Powinnaś być z siebie dumna, Abigail - powiedział wesoło Peter. - Zamierzamy poważnie potraktować ciebie i Steve'a, i sprawić wam wspólny koniec. To będzie nasze ostateczne pożegnanie ze złotem konfederatów. Wielki finał kopalni Crystal. Szkoda, że mamy tak małe grono publiczności.

- Ty chyba zwariowałeś - powiedziała wolno Abby.

- Ależ skąd. - Peter spojrzał na nią zmrużonymi oczyma. - Jestem zupełnie zdrow na umyśle, tylko chciwy na pieniądze. Jak widzisz, potrafię przyznać się do własnych słabości. Człowiek, który działa wbrew prawu, musi znać swój charakter, prawda?

- Nie mam pojęcia.

- Wiem, co mówię. Zapewniam cię, że kryminalista, który chce odnosić sukcesy, musi wiedzieć, skąd pochodzi i dokąd zmierza. Urodziłem się w biednej rodzinie. Bieda nie jest wesoła, mówię ci, Abigail, choć ty tego nie potrafisz zrozumieć. Lubię pieniądze. Dużo pieniędzy. A twoja rodzina pozbawiła mnie kilku ładnych milionów, na które zapracowałem. Nie sypiam z pięćdziesięcioletnimi kobietami dla przyjemności.

- Ty łajdaku! - wykrzyknęła Lynn Renquist. Peter uśmiechnął się złośliwie.

- Nie przejmuj się tak, skarbie. Traktowałem cię lepiej niż inne.

Nagle złapał Abby za gardło.

- Jazda do ciężarówki, Abigail. Ta rozmowa zaczyna mnie nudzić.

Pociągnął Abby po pokrytej śniegiem ziemi. Zobaczyła Steve'a, gdy tylko Lynn otworzyła tylne drzwi samochodu. Siedział skulony na podłodze, wciśnięty między dwie drewniane skrzynki i przypięty kajdankami do metalowego pręta biegnącego wzdłuż boku samochodu. Usta miał zaklejone taśmą. W jego zielonych oczach błyszczała bezsilna wściekłość.

Odwrócił wzrok, gdy Abby wepchnięto do samochodu i przypięto kajdankami do żelaznego pręta z drugiej strony. Rozumiała jego odczucia. Nie chciał, żeby mordercy mieli satysfakcję na widok jego wściekłości i rozpacz.

Peter został z tyłu z bronią wycelowaną w Abby, a Lynn przeszła do przodu i usiadła za kierownicą. Potem obróciła się, wymierzyła swój rewolwer w głowę Abby, gdy tymczasem Peter zatrzasnął tylne drzwi i zajął miejsce koło Lynn. Abby ze zdumieniem obserwowała ich zachowanie. Nie myśleli chyba, że Steve i Abby skorzystają z okazji do ucieczki, skoro oboje byli zamknięci w samochodzie i przykuci do jego wnętrza kajdankami.

Jechali w milczeniu kilkanaście kilometrów. Szum silnika i pęd wiatru wypełniał ciężarówkę. Abby ze swojego miejsca nie widziała przedniej szyby, a z tyłu nie było żadnych okien, zakładała jednak, że byli już dość blisko kopalni

Crystal, skoro Peter i Lynn zamierzali ich zabić, i wrócić do Denver jeszcze przed świtem. Z kopalni do Denver były dwie godziny jazdy.

Usiłowała postawić się w sytuacji Petera i Lynn i wyobrazić sobie, co dokładnie zaplanowali. Najwyraźniej zamierzali zamknąć ją i Steve'a w kopalni, nie wiadomo tylko, czy najpierw chcieli ich zastrzelić czy też zostawić w kopalni żywych.

W głowie zabłysnął promyczek nadziei. Jeśli nie założyli jeszcze dynamitu, można się było spodziewać, iż przygotowanie wybuchu zajmie im przynajmniej pół godziny. Wysadzenie kopalni w powietrze wymagało starannego i rozsądnego przygotowania. Lynn i Peter od lat mieszkali w Kolorado i musieli wiedzieć, że źle odpalony dynamit mógł wysadzić w powietrze mnóstwo skał, które zasypałyby okolicę razem z nimi samymi.

Z drugiej strony Abby i Steve do ucieczki potrzebowali nie tylko czasu. Peter był w tak parszywym nastroju, że mógł bez najmniejszego powodu przestrzelić im kolana, a wtedy na pewno nigdzie by nie uciekli. Poza tym musieli zdobyć jakieś źródło światła. Nie wiedziała, czy Steve ma jeszcze tę latarkę, którą zabrali z chaty, a nawet jeżeli, to baterie z pewnością były na wyczerpaniu. Przeciwno sobie mieli tyle nieprzewidzianych okoliczności. Zbyt wiele. Abby nie powinna była sobie pozwolić na jakiegokolwiek nadzieje.

Ciężarówka podskoczyła na wyboju i kajdanki boleśnie wbiły się w pokaleczone nadgarstki Abby. Krzyknęła odruchowo i na moment straciła z bólu przytomność. Kiedy ją odzyskała, wiedziała, że myślała o czymś ważnym, o czymś związanym z ucieczką, ale nie mogła odtworzyć toku własnych myśli. Chcąc jak najbardziej zminimalizować efekty kolejnych szarpnięć, mocniej oparła się o ścianę samochodu i spojrzała na Steve'a, instynktownie szukając u niego pomocy.

W tej chwili zdała sobie sprawę, że przez cały czas ją obserwował i spoglądał na nią teraz z taką miłością, żalem i błaganiem, że aż jej serce

drgnęło. Nie przejmując się obecnością Petera i Lynn ani tym, czy ją usłyszą, szepnęła cicho:

- Kocham cię.

Na ułamek sekundy ból i żal zniknęły z jego oczu, pozostało jedynie uczucie. Mimo iż nadal miał usta zaklejone taśmą, Abby wiedziała, co do niej mówi. Cała jego postać wyrażała miłość i tęsknotę.

Szyderczy głos Petera zburzył króciutką chwilę zapomnienia.

- Cóż za para kochanków! I to milczące porozumienie. Świeża miłość jest niesłychanie cenna, prawda?

Steve obrzucił go pogardliwym spojrzeniem, a Abby ostentacyjnie zasłoniła twarz ramieniem.

- Właściwie to ja i moja przyjaciółka Lynn oddaliśmy siostrom Deane prawdziwą przysługę - mówił dalej Peter. - Linsey i Kate nigdy nie poznałyby swoich mężów, gdyby nie biegały po górach i nie starały się chronić złota konfederatów. A ty, moja droga Abigail, na pewno ujrzałaś swego kochanego Steve'a w innym świetle, od kiedy Lynn zaczęła do ciebie strzelać.

- I nie trafiać. Nie zapominaj o jej nieudolności - powiedziała Abby.

Wprawdzie nie miała zamiaru reagować na zaczepki Petera, ale nie mogła się powstrzymać, żeby nie skorzystać z okazji do skłócenia prześladowców.

- To jej się zdarzyło po raz ostatni - stwierdził Peter.

- Skoro tak mówisz, nie będę oponować - powiedziała spokojnie Abby - ale mimo swej długoletniej kariery kryminalisty jakoś nie umiesz sobie dobrać współników.

- Niestety nie zawsze mam możliwość wyboru.

- Nie uwierzę, że na rynku przestępców nie było nikogo lepszego od Douglasa Brady'ego. Najpierw za dużo gadał w barze, a potem, gdy popsuł wam plany i jakoś wyciągnęliście go z kłopotów, sprzedał cię gangsterom z Las Vegas. Gdybyś nie poległ na Douglasie Bradym, byłbyś w tej chwili bogatszy o pięć milionów dolarów.

Twarz Petera pociemniała z wściekłości. Zaczął wykrzykiwać coś w odpowiedzi, ale Lynn odwróciła się w jego stronę i powiedziała tylko:

- Zamknij się, Peter.

Zamilkł posłusznie, potwierdzając teorię Abby, że Peter wprawdzie mówił za nich oboje, ale to Lynn rządziła w tym dobranym duecie.

Lynn niecierpliwie postukała palcami w kierownicę. Jej również nie spodobały się słowa Abby.

- Opowiedz naszym przyjaciółom z tyłu o najnowszym sukcesie - poleciła Peterowi. - O samobójstwie biednego pana Bovery i o tym, jak wszyscy byli wstrząśnięci jego oszustwami z martwymi kontami w banku.

- Oczywiście, Lynn, z prawdziwą przyjemnością - odparł z uśmiechem Peter, któremu wrócił dobry humor. - Wczoraj wieczorem, o pół do jedenastej, porucznik Knudsen z kolegą znaleźli biednego pana Bovery'ego. Zastrzelił się z rewolweru marki Webley, kaliber trzydzieści osiem, który prawdopodobnie zachował po wojnie w Korei. Z tej samej broni zastrzelono Douglasa Brady'ego i Howarda Taylora. Czyż to nie zdumiewające? Porucznik był absolutnie zaskoczony, kiedy ze mną rozmawiał. Zarówno kierownik mojego sklepu, jak i ja zapewniliśmy go, że Keith Bovery opuścił nas w świetnym humorze, zadowolony z zakupu chińskich waz. Knudsen był bardzo miły. Powiedział, żebyśmy nie mieli wyrzutów sumienia, iż niczego nie podejrzewaliśmy. Stwierdził, że jeśli kryminalista myśli o samobójstwie, to najczęściej dobrze to ukrywa. Choć trzeba przyznać, że początkowo Knudsen podejrzewał morderstwo, prawda, Lynn?

- Och, tak - zaśmiała się Lynn. - Nie chciał uwierzyć, że Keith popełnił samobójstwo, ale dowody w miejscu... no, tego wydarzenia były tak przekonujące, że wkrótce zmienił zdanie.

- Przeważały dowody z banku - dodał Peter. - Za to musimy podziękować panu Kramerowi. Pańscy specjaliści przyjechali dziś rano i co odkryli? Na

pewno cię to zaszokuje, Abigail, ale niegrzeczny pan Bovery defraudował pieniądze z własnego banku.

Lynn roześmiała się ochryple.

- A potem spreparował dowody przeciwko nieszczęsnemu Howardowi, którego wszyscy uważaliśmy za oszusta. To naprawdę bardzo nieładnie z jego strony. Nie mogę sobie nawet wyobrazić, co by na to powiedziała biedna Helen.

Tym razem Steve nie mógł się powstrzymać i wydał z siebie kilka niewyraźnych dźwięków. Zamilkł, gdy Peter i Lynn spojrzeli ironicznie na jego zaklejone usta.

- Sądźcie, że wszystko wam się uda! - zawołała z przekonaniem Abby. - Czy porucznik nie zauważył, że ja i Steve zniknęliśmy? W końcu pojechał do domu Keitha Bovery'ego, bo zostawiliśmy mu wiadomość na policji.

Peter roześmiał się.

- Na szczęście wiadomość od Steve'a dotarła do porucznika w mocno okrojonej formie. Doszedł do wniosku, że znaleźliście ciało Keitha Bovery'ego i od razu pojechaliście na lotnisko, wstrząśnięci odkryciem.

- Z pewnością spodziewa się, że niedługo się do niego odezwiemy.

- Steven się odezwał - wyjaśnił Peter. - Dzwonił dzisiaj i zostawił kolejną wiadomość telefoniście. Wyjaśnił, że byłaś całkowicie załamana wszystkim, co zdarzyło się w Kolorado, i postanowił zabrać cię z Denver i zostać z tobą, dopóki nie przyjdiesz do siebie. Powiedział, że jesteś w depresji i nie zachowujesz się całkiem normalnie.

- Czy porucznik nie chciał rozmawiać ze Steve'em osobiście?

- Chyba nie muszę ci po raz kolejny przypominać, Abigail, że moja partnerka i ja nie jesteśmy głupi. Steven dzwonił, kiedy byliśmy stuprocentowo pewni, że porucznika nie ma. Akurat przeprowadzał rozmowy z pracownikami banku.

- Najwspanialsze w tym wszystkim jest to - przerwała mu Lynn - że nie musimy się troszczyć o alibi. Steven dał do zrozumienia telefoniście, że

postanowiliście skorzystać ze słońca w Acapulco i że nie wrócicie do Stanów przynajmniej przez najbliższe dwa tygodnie.

- To było sprytne posunięcie, prawda? - pochwalił się Peter. - Nim ludzie zaczną się na serio zastanawiać, gdzie jesteście, już dawno nie będzie was między żywymi. A potem będą was szukać w różnych miejscach. Samochód jest zaparkowany na lotnisku, nie będzie więc wątpliwości, że wyjechaliście. Policja zacznie poszukiwania w hotelach w Acapulco. Potem pomyślą, że telefonista coś przekreślił i Steven wymienił jakieś inne miejsce w Meksyku.

- A my tymczasem załatwimy to tak, że nikt nie znajdzie waszych ciał - powiedziała Lynn i po raz pierwszy zachichotała jak kobieta. - To jest naprawdę doskonały plan, Abigail. Bezkonkurencyjny.

Myśl o śmierci była o wiele bardziej nieprzyjemna, gdy się wiedziało, że mordercy unikną kary. Niestety Abby musiała przyznać, że Peter i Lynn świetnie wszystko rozegrali. Jeżeli ona i Steve zginą w kopalni, nie znajdą ich nawet po stu latach. Albo po tysiącu. Ich kości wylądują w jakimś muzeum przyrodniczym i będą traktowane jak dzisiaj szkielety człowieka prymitywnego.

Odwróciła głowę i spojrzała na Lynn, która ciągle jeszcze nie zdjęła z głowy wełnianej czapki, mimo włączonego ogrzewania.

- Kim pani jest, Lynn? - spytała. - Dlaczego tak bardzo pani zależy na ukryciu swej tożsamości, nawet kiedy wiadomo, że mamy zginąć? Dlaczego nie chce nam pani pokazać swojej twarzy? Przecież i tak niczego nikomu nie powiemy.

Lynn w milczeniu patrzyła przed siebie i jedynie dłonie, mocniej zaciśnięte na kierownicy, świadczyły, że usłyszała pytanie.

- Ronald Deane za życia nigdy nie przyjął do wiadomości mojego istnienia - odparła wreszcie. - Nawet po śmierci żony nie zdobył się na żaden gest wobec mnie. Nigdy się ze mną nie spotkał towarzysko, nigdy nie przedstawił mnie swoim ukochanym córeczkom. Teraz zatem jego ukochane

córeczki zginą, nie wiedząc, kim jestem. To jest sprawiedliwość, Abigail.

Ostateczna sprawiedliwość dla mnie i mojego dziecka.

Słowa Lynn przeraziły Abby. „Ukochane córeczki”. „Córeczki” w liczbie mnogiej. Przez cały czas miała przeczucie, że cała sprawa nie skończy się na jednym morderstwie. Ona, oczywiście, najbardziej zagrażała Lynn, bo przechowywała wszystkie rodzinne dokumenty. Motywem działania Petera był strach przed wykryciem jego przestępstw i chciwość, z Lynn sprawa była bardziej skomplikowana. Ta kobieta żyła nienawiścią, i to nienawiścią podsycaną przez trzydzieści pięć lat. Abby z przerażeniem pomyślała, że jeśli jej i Steve'owi nie uda się powstrzymać Lynn, Kate i Linsey znajdą się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Miała ochotę krzyknąć z bezsilnej złości, choć, mimo wszystko, nadal odczuwała odrobinę współczucia dla Lynn.

Zawsze uważała swego ojca za uczciwego i prawego człowieka; teraz jednak z nasion, które posiał tak beztrzesko w Korei, jego córki zbierały zatrute żniwo. Musiała ze smutkiem przyznać, że podziw dla ojca zmalął pod wpływem gorzkiej opowieści Lynn. Abby wiedziała, że nigdy nie zapomni ojca ani wspomnień związanych ze szczęśliwym dzieciństwem, jakie jej podarował, niemniej jako dorosła kobieta musiała przyznać, że jej szczęśliwe dzieciństwo zostało kupione za straszną cenę.

Ciężarówka zatrzymała się nagle.

- Wsiadamy - zakomenderował wesoło Peter. - Wolniutko i ostrożnie, dobrze? Jestem pewien, że żadne z was nie chce spędzić ostatnich chwil swego życia z kulą w plecach.

Lynn wysiadła z samochodu, przeszła do tyłu i otworzyła tylne drzwi.

- Doskonale strzelam - mruknęła, trzymając rewolwer w lewej ręce, a prawą odczepiając kajdanki Abby. - Nie próbuj żadnych sztuczek.

Wyprostowała się i kazała Abby wysiąść z ciężarówki. Gdy tylko Abby dotknęła nogami ziemi, Lynn chwyciła ją za szyję i przystawiła jej do głowy odbezpieczony rewolwer.

- Możesz teraz odpiąć kochasia - powiedziała Peterowi. - Nie wydaje mi się, żeby zdecydował się na jakieś bohaterskie wyczyny, kiedy trzymam Abigail na muszce.

Steve wysiadł, stanął mocno na nogach, rozejrzał się i znieruchomiał. Abby wcale to nie zdziwiło. Wystarczyło jedno spojrzenie, by się przekonać, że ucieczka jest niemożliwa. Lynn i Peter całkowicie kontrolowali sytuację. Lynn trzymała rewolwer tuż przy głowie Abby, a Peter stał w odległości mniej więcej półtora metra od Steve'a - zbyt blisko, żeby w niego nie trafić, zbyt daleko, żeby Steve mógł kopniakiem wybić mu z dłoni broń.

- Idziemy! - rozkazała Lynn. - Do kopalni.

- Możecie iść sami albo możecie się opierać, a wtedy poczęstuję was kulką z rewolweru - rzucił Peter takim tonem, jakby ich zapraszał na przyjęcie.

Przebłyski nadziei, które wcześniej przemknęły Abby przez głowę, a potem znikły, kiedy na chwilę straciła przytomność w ciężarówce, znów się pojawiły. Lynn i Peter zakładali, że do kopalni można było wejść i wyjść jedynie przez wąskie wejście zagrodzone furtką.

Abby ogarnął strach. Najbardziej obawiała się tego, że Steve spróbuje jakiegoś szalonego wyczynu, który się nie powiedzie, i zostaną zamknięci w kopalni ranni, albo nawet martwi. W tej chwili najlepszym dla nich wyjściem było udawanie, że się całkowicie podporządkowali rozkazom Lynn i jej wspólnika. Ale jak mogła przekazać Steve'owi, że bohaterstwo jest zbędne i niebezpieczne? Czy naprawdę zakochani mogą się porozumiewać wzrokiem?

Odwróciła się do Steve'a, usiłując go w jakiś sposób ostrzec.

- Dobrze, już idziemy, nie będziemy stawiać oporu - powiedziała na głos, udając przed Lynn i Peterem, że głos się jej załamał ze strachu i z rozpacz. Starła się jednocześnie położyć nacisk na liczbie mnogiej słów „idziemy” i

„będziemy”. - Co... co z nami będzie? Nie zostawicie nas w kopalni, żebyśmy umarli z głodu? - spytała z udanym przerażeniem.

- Żałuję, że nie możemy tego zrobić - powiedziała Lynn, popychając Abby naprzód.

Abby zauważyła kątem oka, że Steve, choć bardzo niechętnie, także ruszył do przodu.

- Nie zostawiajcie nas tutaj. Ja tego nie wytrzymam. Boję się ciemności! - zawołała na cały głos.

Miała nadzieję, iż Steve pamięta z ich licznych wspólnych wypraw w góry, że Abby zdecydowanie nie boi się ciemności.

- Nie zostawimy was, żebyście umarli z głodu - stwierdziła Lynn z żalem w głosie. - Musimy was dzisiaj zabić.

- Powiedzmy im, co zrobimy - zaproponował Peter, wyraźnie podekscytowany. - Proszę cię, Lynn, chciałbym, aby wiedzieli. To ja mam dynamit - dodał obrażonym tonem - i mam prawo im powiedzieć.

- Jak chcesz.

- Wysadzimy was w powietrze - powiedział Peter, uradowany jak dziecko, które będzie puszczać fajerwerki. -

Znaleźliśmy linię uskoku geologicznego w skale naprzeciwko wejścia do kopalni i zrobimy prawdziwe trzęsienie ziemi. Bum! Kopalnia zostanie zasypana raz na zawsze. Przypuszczalnie wcale nie będziecie cierpieć. Wnętrze kopalni jest bardzo stare i nie wytrzyma wybuchu. Szacujemy, że wszystko się zawali jakieś pół minuty po obsunięciu skały.

Będą zamknięci w tunelu, ale niekoniecznie martwi, pomyślała Abby. Słowo „bum” dobrze opisywało sytuację. Zasypanie żywcem nie wyglądało bardziej przyjemnie niż śmierć głodowa.

Kiedy doszli do wejścia, szczykała zębami, nie tylko z zimna. A jeśli źle zapamiętała tę starą mapę albo nie będą w stanie się wspinać?

Solidna furtka ze stalowych prętów, którą Abby zamówiła dwa miesiące przedtem, żeby powstrzymać poszukiwaczy skarbów i przygód, błyszczała w świetle potężnej naftowej lampy, ustawionej przez Lynn na dachu ciężarówki. Abby przeszukała całe Denver, żeby dostać najlepszą furtkę i teraz jej zakup miał uniemożliwić im ucieczkę. Co za ironia losu!

- Jak... jak dostaniemy się do środka? Furtka jest zamknięta na kłódkę.

Im bliżej kopalni, tym bardziej się obawiała, że jej plan się nie powiedzie. Tym razem nie musiała udawać, że głos jej drży ze strachu. Ile minut potrwa założenie kilku lasek dynamitu? Nawet przy zachowaniu ostrożności niezbyt długo. A ona i Steve będą potrzebowali trochę czasu.

- Nie ma problemu.

Lynn przyciągnęła Abby blisko furtki, pochyliła się, wycelowała i wystrzeliła dwa razy. Wielka kłódka rozleciała się na kawałki.

- A na wszelki wypadek, gdyby przyszło wam do głowy coś głupiego, mam tu drugą - powiedział Peter, wyciągając z kieszeni kłódkę. - A teraz, moi drodzy, do kopalni. Abigail, stań tutaj, przy swoim kochasiu. Lynn, kochanie, czynь honory domu. Gdy Lynn otwierała ciężką furtkę, Peter trzymał Abby i Steve'a na muszce. Furtka otworzyła się do środka i zatrzymała na specjalnym metalowym bolcu. Kiedy się coś robi, trzeba być bardzo dokładnym, pomyślała z rozpaczą Abby. Skąd mogła wiedzieć, że w ten sposób pomoże swoim mordercom.

- Przeprowadź ich tutaj! - zawołała Lynn.

- Słyszeliście, co pani powiedziała.

Peter wycelował i w tym samym momencie wystrzelił. Kula wbiła się w ziemię parę centymetrów od pięty Steve'a. Abby zatkała sobie usta ręką, żeby nie krzyknąć.

Peter uśmiechnął się i pogłaskał rewolwer.

- Jak się jest tak biednym, że musi się polować, żeby coś zjeść, człowiek nabiera wprawy, prawda, stary? - spytał Steve'a.

Steve patrzył przed siebie, nie zwracając na niego uwagi. Peter ze złością zmrużył oczy i uderzył Steve'a w głowę kolbą rewolweru.

- Ruszaj się, durniu!

Steve ruszył i Abby, z westchnieniem ulgi, podążyła za nim. Nagle Steve potknął się o kamień i musiał się podeprzeć ręką, by nie upaść. Abby natychmiast znalazła się przy nim, udając, że mu pomaga.

- Nic nie rób - syknęła. - Tylko to, co każą.

Nie miała czasu powiedzieć czegoś więcej, wytłumaczyć mu, że się nie poddaje, jedynie zbiera siły na później. Znała Steve'a od wielu lat, ale dopiero w ostatnich dniach przekonała się, jakim naprawdę jest człowiekiem. Miała nadzieję, że on zna ją lepiej, na tyle dobrze, aby wiedzieć, iż ma już obmyślony plan ucieczki i tylko dlatego każe mu słuchać Petera i Lynn.

Steve nie spojrzał w jej stronę, nawet drgnieniem powieki nie zdradził, że słyszał jej słowa, ale po paru krokach otworzył zaciśniętą pięść i wypuścił kamień, który podniósł przy rzekomym potknięciu.

Chwała Bogu, pomyślała Abby. Steve zrozumiał.

Wnętrze kopalni było zupełnie ciemne, wręcz intensywnie czarne. Taką czerń można zobaczyć jedynie pod ziemią. Lynn i Peter włączyli przyłączone do pasa latarki, które jednak nie dawały wiele światła. Rzucały tylko szarą poświatę na wilgotne, brudne wnętrza.

- Jesteśmy na miejscu, chłopcy i dziewczęta. Przyjemnej śmierci!

Wciąż z bronią gotową do strzału, Peter wycofał się tyłem w kierunku wyjścia z kopalni. Wyszedł przez furtkę i przymknął ją za sobą, zostawiając jedynie wąskie przejście dla Lynn.

- Jestem gotów do zakładania dynamitu, Lynn. Czekam na twój sygnał, kochanie.

Lynn obrzuciła ostatnim, pogardliwym spojrzeniem Abby i Steve'a, skulonych na środku jaskini, tam, gdzie zaczynał się tunel.

- Nie próbujcie wyjść za mną - ostrzegła. - Z prawdziwą przyjemnością będę strzelać tak, żeby sprawić wam jak najwięcej bólu. W gruncie rzeczy może powinnam jednak przestrzelić wam na pożegnanie kolana.

Abby wstrzymała oddech.

- Nie, nie mogę ryzykować. Istnieje wątpliwość, że ktoś znajdzie jednak wasze ciała za parę lat. Lepiej, aby nie tkwiły w nich żadne kule. Podziękujcie waszej szczęśliwej gwiazdzie, że jestem taka ostrożna. Naprawdę chciałabym, żebyście trochę więcej pocierpieli.

Migoczące światło latarki wycofało się w kierunku Petera i furtki. Abby usłyszała, że Steve zrywa taśmę z ust.

- Do widzenia, Abigail Deane. Życzę ci, abyś razem ze swym ojcem smażyła się w piekle. Twoje siostry dołączą do was przy najbliższej okazji! - zawołała na pożegnanie Lynn.

Furtka zatrzęsnęła się z hukiem. Zapanowała całkowita ciemność.

- Abby, moja kochana, jestem pewien, że masz jakiś wspaniały plan ucieczki - powiedział czule Steve.

Abby zadrżała. Mocno zacisnęła dłoń na ręce Steve'a, szukając otuchy i poczucia choć odrobiny bezpieczeństwa.

- Wreszcie rozpoznałam głos Lynn Renquist - powiedziała.

Nie wiedziała, dlaczego jej słowa zabrzmiały tak głucho. Z powodu szoku czy ze względu na akustykę jaskini?

Mocniej przytuliła się do Steve'a.

- Kto to jest? - zapytał. - To nie jest Linda Mendoza. Ona ma całkiem inną sylwetkę.

- Nie, to nie jest Linda. To Gwen Johnson. Mój Boże, za tymi wszystkimi wypadkami i morderstwami przez cały czas stała Gwen Johnson.

Jej słowa odbiły się echem po jaskini, cichnąc stopniowo, aż zabrzmiały po raz ostatni w przenikliwym szepcie: Gwen Johnson.

ROZDZIAŁ 15

Gwen Johnson - powtórzył wolno Steve. - Pełne imię: Gwendolynn. W skrócie Lynn. - Umilkł na chwilę, nad czymś się zastanawiając. - Nie jest podobna do zdjęcia z Korei, prawda?

- Ma zupełnie inną fryzurę i, oczywiście, trochę się postarzała, ale nadal ma tę samą chudą, kanciastą sylwetkę. Jest wysoka jak na kobietę, ma ponad metr siedemdziesiąt. Na zdjęciach widać było, że jest prawie tego samego wzrostu co Keith Boverly.

- Biedny Keith. Oczywiście nie zdefraudował żadnych pieniędzy z banku.

- Uważasz, że Gwen Johnson popełniła te wszystkie oszustwa? - spytała Abby.

- Jestem tego pewien. Doskonale mnie podprowadziła. Myślałem, że jestem taki mądry, nie wierząc w wyraźny ślad, który prowadził do Howarda Taylora, ale ona zawsze była o krok dalej. Nigdy nie oczekiwała, że uwierzę w winę Howarda. Przez cały czas preparowała dowody winy Keitha.

- Z zemsty - stwierdziła Abby. - Jestem przekonana, że chciała się zemścić za to, że Keith się z nią nie ożenił, kiedy wrócili z Korei.

- Powiniennem ją podejrzewać - mruknął Steve. - To przecież ona zajmuje się kontami klientów. Gwen Johnson najlepiej wie, które konta są martwe, a przez to bezpieczne.

- A gdyby ktoś nabrał podejrzeń, że coś jest nie w porządku, zostałyby posłany do Gwen Johnson, która by za wszystko przeprosiła i natychmiast załatwiła bez rozgłosu całą sprawę.

- Sprawna, rozsądna, kompetentna pani Johnson, która od co najmniej roku okradała bank.

Abby zadrżała w ciemności.

- Dlaczego to robiła, Steve? Dlaczego po trzydziestu pięciu latach, po ułożeniu sobie życia, pozwoliła, aby stare rany zaczęły krwawić? Dlaczego chce zabić mnie i moje siostry właśnie teraz, jeśli w ogóle o nas nie myślała przez ostatnie trzydzieści pięć lat?

- Posłuchaj, skarbie, chętnie postąpiłbym tu jeszcze, przytulony do ciebie, analizując charakter Gwen Johnson, ale muszę ci przypomnieć, że Peter i Gwen zakładają na zboczu góry dynamit, który lada chwila odpalą. Czy nie moglibyśmy najpierw stąd wyjść, a później zająć się psychoanalizą? - Pocałował ją szybko. - Znacznie później, po porządnej porcji przytulank.

- Skąd wiesz, że mam jakiś plan ucieczki?

- Jak tylko wysyczałaś swoje ostrzeżenie, zdałem sobie sprawę, że Abigail Deane, którą znam i kocham, nie byłaby sobą, gdyby nie miała w domowych archiwach przynajmniej tuzina map z wnętrzem jej kopalni złota. Zaraz mi powiesz, że musimy zrobić trzy kroki w lewo i znajdziemy się przy tylnym wyjściu.

Abby roześmiała się cicho. Kiedy Steve ją obejmował, życie było czymś bardzo cennym, a możliwość śmierci absolutnie wykluczona.

- To nie jest takie proste - powiedziała.

- Jakoś mnie to nie dziwi - rzekł Steve z westchnieniem. - Zaczynij od najgorszej wiadomości.

- Nie ma drugiego wyjścia. Tunele, które wychodzą z tej jaskini, schodzą wprost w dół. Jest jednak kilka szybów, jeden dość blisko. O ile dobrze pamiętam, musimy wejść w pierwszy tunel po lewej stronie, który ma zaledwie sześć metrów.

Steve odchrząknął.

- Nie chciałbym, abyś mnie źle zrozumiała, Abby. Absolutnie nie zamierzam krytykować twojego planu i jestem pewien, że świetnie pamiętasz wszystkie szczegóły z mapy, ale czy nie przyszło ci do głowy, że szyby są pionowymi otworami bez żadnego zaczepienia dla nóg czy rąk?

- Jesteśmy doświadczonymi wspinaczami - szepnęła bez przekonania Abby.

- Różne są stopnie doświadczenia - stwierdził ponuro Steve. - Wspinaczka w szybie grozi w każdej chwili śmiercią, nawet jeśli ma się dość światła i sprzęt najwyższej klasy. My nie mamy ani jednego, ani drugiego.

- Myślałam, że masz jeszcze tę latarkę, którą zabraliśmy z chaty.

- Mam. Peter w ogóle mnie nie zrewidował. Za bardzo był z siebie zadowolony.

Steve sięgnął do kieszeni i wyciągnął miniaturową latarkę. Włączył ją w grobowej ciszy. Strumień światła, który wydawał się niesłychanie silny w ograniczonej przestrzeni komórki, oświetlał krąg o średnicy najwyżej jednego metra. Steve bez słowa zgasił latarkę, żeby nie marnować baterii, i schował ją do kieszeni.

- Nigdy nie twierdziłam, że to będzie łatwe - powiedziała Abby. - Poza tym naprawdę umiemy się wspinać.

Rozległ się głuchy wybuch i ze ścian posypały się kawałki skały i łupku.

- To był chyba wybuch próbny - stwierdziła niepewnie Abby.

- Tak. - Steve uniósł jej ręce do ust i pocałował po kolei wewnątrz obu dłoni. - Coś ci powiem, mała, ten szyb z każdą minutą wygląda coraz lepiej. Komu potrzebne są liny i raki? Wyłącznie maminsynkom.

Abby czuła się bardzo maminsynkowato, ale za skarby świata by się do tego nie przyznała.

- Wejście do kopalni jest od zachodu, to powinno pomóc nam w orientacji - powiedziała pewnym głosem.

Spojrzeli zmrużonymi oczyma w kierunku wejścia, które widać było jedynie dzięki szarej poświacie dochodzącej z zewnątrz. Pośród ciemności jaśniała blaskiem metalu zamknięta na kłódkę furka.

- Dobrze, to nie jest takie trudne - powiedział Steve. - Musimy się cofnąć do wyjścia i skręcić w pierwszy tunel z lewej strony, tak?

- Tak.

Steve włączył latarkę i skierował jej promień na tył jaskini. Abby wiedziała, że po tym, jak Douglas Brady ukradł złoto konfederatów, jej wnętrze zostało gruntownie wyczyszczone i nie było tam żadnych porzuconych, niepotrzebnych rzeczy: starych kół od kolejki czy zapomnianych narzędzi, które mogłyby utrudnić wejście do tunelu. Najgorszą przeszkodą była naturalna nierówność terenu.

Zachowanie odpowiedniego kierunku nie wydawało się zbyt trudne. Słabe światło od wejścia miało być stałym punktem orientacyjnym. Odnalezienie właściwego tunelu także nie było skomplikowanym zadaniem, należało jedynie iść wzdłuż lewej strony jaskini i skręcić w pierwszy otwór, który musiał oznaczać wejście do tunelu.

Steve wziął Abby za rękę i przeszli na lewą stronę jaskini.

- Idziemy, mała - powiedział, pocierając szorstką, nie ogoloną brodą o jej policzek. - Niech żyją wielkie ucieczki i nasza wspólna starość.

Abby nie bała się wprawdzie ciemności, ale czuła wstręt do wszelkiego robactwa, nie mówiąc już o nietoperzach, szczurach i im podobnych stworzeniach, które z pewnością żyły w wilgotnej kopalni. Oblizwała nerwowo wyschnięte wargi.

- Myślisz, że są tu węże? - spytała, starając się, aby to wypadło ot, tak, od niechcienia.

- Na pewno nie - odparł. - Jest za zimno, za ciemno i nie ma nic do jedzenia.

- Może wychodzą na zewnątrz, żeby jeść. Węże do życia potrzebują zaledwie jednej myszy na miesiąc. - Gwałtownie szarpnęła ręką, którą dotykała ściany. - O Boże! Co to jest? Coś mnie ugryzło!

Steve szybko włączył latarkę i skierował ją na ścianę. Abby, zawstydzona, spojrzała na kruchy szkielet nietoperza, który już od wielu lat na pewno nikogo nie ugryzł.

- Miałam wrażenie, że coś mnie ugryzło - mruknęła. Steve ścisnął ją za rękę i taktownie na chwilę skierował strumień światła na drogę przed nimi.

- Spójrz, jeszcze parę metrów i tunel się kończy - powiedział, wyłączając latarkę. - Przykro mi, mała, ale musimy się orientować dotykając ściany, bo w tych ciemnościach szybko się zgubimy.

Abby pomyślała, że nigdzie nie może być bardziej ciemno, niż było na początku, przy samym wejściu do kopalni. Kiedy jednak weszli do tunelu, zrozumiała, jak wielkie psychologiczne znaczenie miała poświata księżyca, ledwie przenikająca do środka. Nic dziwnego, że pierwsi ludzie, mieszkający w jaskiniach, czcili ogień i słońce. Wszystko, co rozpraszało ciemność, wydawało się godne podziwu i boskiej czci.

- Muszę jednak włączyć latarkę - powiedział Steve po przejściu po omacku kilku kroków. - Baterie chyba jeszcze trochę wytrzymają. Nie mamy czasu, żeby szukać drogi dotykiem.

Abby nie zamierzała protestować. Tunel cały czas prowadził w lewo i w dół, ale mimo zasypanej skałami drogi udało im się przy świetle latarki dojść w ciągu niecałych pięciu minut do jego końca. Przed sobą mieli szyb kopalni.

- Masz fantastyczną pamięć do map, mała! - Steve oświetlił ściany szybu, a potem skierował światło pionowo w górę. - Mamy szczęście - powiedział, choć chłodny ton głosu przeczył słowom. - Spójrz, na górze nic nie ma, widać niebo.

- To faktycznie mamy szczęście - przyznała Abby.

Wiele otworów szybowych z latami zarosło grubą warstwą trawy i mchu. Bez noża byłoby im bardzo trudno przebić się przez pokrywę z roślin. Uważnie przyjrzała się wnętrzu szybu.

- Wydaje mi się, że do góry jest nie więcej niż cztery metry. Mniej, niż się spodziewałam.

- Aha.

Steve oświetlił teraz dolną część szybu. Światło odbiło się w gładkiej skale, mokrej od cieknącej wody.

Spojrzeni na siebie w uroczystym milczeniu. Wspinaczka z odpowiednim sprzętem byłaby możliwa, a nawet względnie łatwa dla takich doświadczonych wspinaczy jak oni. Przy dobrym oświetleniu, mając dużo czasu, mogliby się wspinać do góry nawet bez specjalnego sprzętu. Niestety, nie mieli ani czasu, ani sprzętu, a światło było po prostu beznadziejne.

Abby odezwała się pierwsza.

- Wygrasz złotą gwiazdę, jak wejdiesz na górę, Kramer.

Steve odwrócił się i włożył latarkę za pasek od spodni, a potem wziął twarz Abby w dłonie i spojrzał na nią uważnie. Wiedziała, że jest brudna i rozczochrana, a Steve przyglądał jej się tak, jakby w życiu nie widział piękniejszej kobiety.

- Wolę wygrać ciebie - powiedział z uśmiechem.

Abby rozchyliła usta w uśmiechu i odruchowo przytuliła się do Steve'a, który w tej samej chwili pocałował ją gorącymi wargami.

Odsunęli się od siebie prawie natychmiast, bez słowa, bo też żadne z nich nie musiało nic mówić, i zabrali się do działania. Oboje byli doświadczonymi wspinaczami i oboje od razu spostrzegli, że ściany szybu są przeraźliwie gładkie. Jeśli udałoby się im dotrzeć na samą górę, byłoby to z pewnością ich życiowe osiągnięcie.

Steve zauważył w tunelu kawałek drewnianej belki i przyciągnął go do szybu. W ten sposób mogli zacząć wspinaczkę pół metra wyżej. Nie było to bardzo dużo, ale przy tym stopniu trudności liczyło się każde zaoszczędzone pięć centymetrów.

Abby zastanawiała się przez chwilę, czy nie zdjąć wąskiej lnianej spódnicy. W końcu doszła do wniosku, że na górze będzie jej potrzebny każdy kawałek ubrania, dający jakieś ciepło, i warto wobec tego wspinać się w spódnicy podwiniętej do pasa.

Steve miał na sobie wygodne spodnie, gdy tymczasem ona ubrana była w to, co włożyła do pracy przed dwoma dniami. I tak dobrze, że w chacie znalazła tenisówki. Wspinaczka w skórzanych butach na wysokich obcasach byłaby niemożliwa.

- Jak stoimy z czasem? - spytała, wkładając spódnice i halkę w majtki.

- Dobrze - odparł Steve, wchodząc na drewnianą belkę i szykując się do rozpoczęcia wspinaczki.

Zarówno użycie tego neutralnego słowa, jak i obojętny ton głosu świadczyły o tym, że czas uciekał stanowczo za szybko, i Abby tak zrozumiała jego odpowiedź.

Steve, opierając jedną rękę o ścianę, odwrócił się do Abby i wyciągnął w jej stronę latarkę.

- Lepiej ty ją weź - powiedział. - Wejdę jakiś metr czy półtora w górę i sprawdzę, któredy najlepiej będzie się wspinać.

Nim Abby zdążyła wziąć od niego latarkę, w tunelu rozniosło się echo potężnego wybuchu. Ziemia zatrzęsała się jej pod stopami, a grozę potęgowała jeszcze otaczająca ich ciemność. Huk dochodzący z głębi tunelu sygnalizował, że część przegniłych drewnianych belek jest za słaba, żeby utrzymać sklepienie tunelu. Instykt mówił jej, że powinna uciekać, ale w całkowitej ciemności nie można się było zdecydować na jakiś kierunek.

Abby nie miała wyboru - musiała zostać na miejscu i tylko wyęzgać słuch, żeby wiedzieć, gdzie spadają kamienie i drewno.

Wybuch, jak grzmot, powoli ucichł.

- Steve, nic ci się nie stało? - zawołała, wymacując drogę do szybu.

Potknęła się na jakiejś przeszkodzie, której nie było tam jeszcze pięć minut wcześniej, raniąc się boleśnie w palce nóg.

- Steve, zapal latarkę! Wydaje mi się, że zawałiła się część belek stropowych.

- Za chwilę.

Starannie wypowiedziane słowa przeraziły Abby nie na żarty.

- Steve, czy jesteś ranny?

Usłyszała lekki, pewny skok, co ją trochę uspokoiło. Światło latarki przebiło ciemność, ukazując tunel zablokowany zwalonymi belkami i kamieniami. Steve oparł się o ścianę, strzepując z siebie śmiecie.

- O Boże, coś cię uderzyło!

- Nic się nie stało. Bałem się tylko, że upuszczę latarkę.

Skierował światło na wylot szybu.

- Szyb wygląda tak samo jak przedtem. Na szczęście nic nie zatarasowało wylotu.

Abby doszła do wniosku, że Steve ma zmieniony głos i podeszła szybko do niego.

- Jesteś pewien, że nic ci się nie stało?

- Wszystko w porządku, proszę pani - powiedział, unosząc dłoń i salutując żartobliwie. - Nie mamy czasu na rozmowy, Abby. Nie możemy liczyć na to, że to był ostatni wybuch. Następny całkowicie rozwali system tuneli - dodał, zatykając latarkę za pasek. - Pomóż mi przesunąć tę belkę, dobrze? Spójrz, myślę, że możemy ją położyć na poprzedniej i w ten sposób wspiąć się przynajmniej na półtora metra.

Abby podniosła belkę z jednego końca i razem przenieśli ją do szybu. Steve potknął się, gdy się pochylał, aby położyć belkę.

- Przepraszam - mruknął. - Jakiś kamień. Nie uważałem. Czy tylko jej się wydawało, czy twarz Steve'a była śmiertelnie blada? Przeszła przez belkę na jego stronę.

- Steve...?

- Zaczynaj się wspinać - powiedział ostro. - Na litość boską, Abby, nie możemy tu sterczeć w nieskończoność.

- Myślałam, że pójdziesz pierwszy.

- Ja... Zmieniłem zamiar. Lepiej, żebyś szedł za tobą i oświetlał drogę nam obojgu. Poza tym jeśli stracisz oparcie, będę mógł cię złapać.

- Dobrze, mój siłaczu. - Abby pocałowała swoje brudne palce i dotknęła nim ust Steve'a. - Tylko wyjdź za mną na górę, Kramer, ponieważ zamierzam zostać twoją żoną, gdy tylko znajdziemy się w Denver.

- Co za wybór! Całe życie z Abigail Deane albo śmierć w zawałonej kopalni. Sam nie wiem.

Abby z uśmiechem odwróciła się przodem do pionowej ściany i zrobiła pierwszy krok. Muszą się stąd wydostać, żeby mogła mu podziękować za rozjaśnianie życia, za wszystkie żarty i godziny szczęśliwego śmiechu.

W gruncie rzeczy pierwsze kroki były najgorsze. Mniej więcej w połowie drogi powierzchnia ściany była znacznie bardziej szorstka i nierówna, z nieregularnymi kilkucentymetrowymi krawędziami, na których można było postawić stopę. Niebawem Abby doszła do wniosku, że jej najgorszym wrogiem był przenikliwy ziąb. Im bardziej się zbliżała do wylotu szybu, tym było jej zimniej. Dłonie i stopy najpierw zdrętwiały, a potem zrobiły się całkiem sztywne, co groziło upadkiem. Ale przynajmniej nie czuła bólu poobijanych palców stóp.

Zwolniła lekko i zdała sobie sprawę, że Steve został dość daleko za nią, że nie doszedł nawet do połowy szybu. Światło, które pomagało jej we wspinaczce, dolatywało z góry, a nie z dołu, z latarki. Ostrożnie odwróciła się od ściany.

- Steve? - zawołała.

- Wyłaź... z... tego... cholernego... szybu...

- Jesteś ranny. Boże, uderzyła cię ta spadająca belka!

- Wyłaź... stąd... szybko.

Przerażenie dodało jej sił i pospiesznie przeszła ostatni metr. Na górze, nie zwracając uwagi na śnieg pokrywający trawę, położyła się na brzuchu i wbiła wzrok w ciemność, którą przed chwilą opuściła. Zobaczyła ze zgrozą, że Steve wspina się powoli, używając tylko jednej ręki. Jego lewe ramię było

wykrzywione pod dziwnym kątem, a ręka zwisała bezwładnie. Akurat by ją złapał, gdyby spadała! Bohaterski idiota postanowił wspinać się za nią, ponieważ bał się, że spadnie i zrobi jej krzywdę.

- Słyszysz mnie, Kramer? - wrzasnęła w głąb szybu. - Masz wyjść na górę, bo...

Bo co? Umrze z miłości? Abby stłumiła szloch.

- Oskarżę cię o złamanie obietnicy.

W szybie słychać było jedynie utrudzony oddech Steve'a i powolne przesuwanie stóp, poszukujących oparcia.

- Masz jeszcze tylko półtora metra. Na pewno ci się uda. W głębi duszy modliła się, aby jej słowa stały się faktem.

Wsuwając obie stopy pod duży kamień, wyciągnęła ręce i złapała Steve'a za zdrowe ramię.

- Trzymaj się mocno - powiedziała.

Pomogła mu podciągnąć się do góry i przerzucić na trawę. Steve uśmiechnął się słabo.

- Jak już złapałeś faceta, to go nie wypuścisz z rąk - powiedział i zemdlał u jej stóp.

ROZDZIAŁ 16

Cała lewa strona barku Steve'a była spuchnięta i obolała. Powoli zaczynały formować się granatowe, wielkie sińce. Abby zdała sobie sprawę, że spadająca belka złamała mu obojczyk albo nawet całe ramię, a wspinaczka poważnie mu zaszkodziła.

Sama nie wiedziała, ile przeciwności losu są w stanie jeszcze znieść, nim się poddadzą i przyznają do klęski. Wbrew wszelkiej logice udało im się uciec z kopalni, ale jak mieli przejść przez góry ponad dwadzieścia kilometrów, jakie dzieliły ich od najbliższej miejscowości Crystal Lakes? Biorąc pod uwagę minusową temperaturę i ich potworne zmęczenie, wędrówka i tak była dostatecznie trudna, a w dodatku stan Steve'a, brak materiałów opatrunkowych i lekarstw sprawiały, iż właściwie było wszystko jedno, czy mieli do przejścia dwadzieścia czy dwieście kilometrów.

Abby ściągnęła z siebie spódnicę i owinęła Steve'owi głowę, żeby go choć odrobinę ogrzać. Jednocześnie starała się sobie przypomnieć każdą mapę okolic kopalni, jaką kiedykolwiek miała przed oczyma. W pamięci przejechała żwirowaną drogą z Crystal Lakes przez przełęcz Cottonwood do zwykłej polnej drogi prowadzącej wzdłuż wijącego się strumienia, który wpadał do niewielkiego jeziora, położonego między niebieskimi świerkami i wysokimi sosnami, nieco na wschód od kopalni.

Niestety nie mogła sobie przypomnieć żadnej ludzkiej osady na tym terenie. W dodatku przedsiębiorstwo telekomunikacyjne nie uważało za stosowne ustawić w tej nie zamieszkaney, dość dzikiej okolicy żadnych budek telefonicznych.

W tej samej chwili Abby przypomniało się, że u podnóża przełęczy stoi kilka budynków. Westchnęła z ulgą. Dzięki księżycowi mogli spróbować pójść wzdłuż strumienia do przełęczy i po mniej więcej godzinie marszu dotrzeć do

najbliższej chaty. Oczywiście pod warunkiem, że Steve zdoła tak długo zachować przytomność.

Była pewna, że uda jej się jakoś go do tego zmusić. Człowiek, który potrafił ze złamaną ręką wyjść z głębokiego szybu, na pewno przejdzie te parę kilometrów, wiedząc, że czeka go ciepłe i bezpieczne schronienie.

Teraz Abby musiała jedynie znaleźć suche, osłonięte przed wiatrem miejsce i poczekać, aż Steve odzyska przytomność. Na szczęście znalezienie bezpiecznej kryjówki nie było wielkim problemem. Dzięki wybuchom naokoło pełno było suchych kawałków skał, za którymi mogli się schronić.

Steve otworzył oczy i, krzywiąc się z bólu, oparł się na prawym ramieniu. Zdrową ręką dotknął głowy, a kiedy wyczuł bandaż ze spódnicy Abby, spróbował się uśmiechnąć.

- Zaznaczyłaś, że jestem teraz twoją własnością, co? - Odwinął spódnicę i podał ją Abby. - Dzięki za pożyczkę.

- Musisz się trzymać ciepło, Steve.

- Włóż spódnicę i nie kłóć się ze mną. Nie mam na to sił. Łatwiej było go posłuchać niż kontynuować tę dyskusję.

Abby włożyła podartą spódnicę i szarpnęła za suwak, co nie dało specjalnego efektu, bo spódnica była z boku rozpruta na całej długości.

Steve znów spróbował się uśmiechnąć i tym razem prawie mu się udało.

- Ciekawy fason, mała. Nowa moda, co? Jeśli mi podasz rękę i pomożesz wstać, pójdziemy poszukać najbliższego telefonu. Obiecuję, że postaram się iść jak najszybciej.

- Wydaje mi się, że powinniśmy jeszcze parę minut odpocząć.

Wprawdzie Steve dość prędko odzyskał przytomność, ale Abby była przerażona jego bladą twarzą i kroplami potu na czole. Normalnie człowiek nie poci się tak bardzo w temperaturze poniżej zera. Woląла nawet nie myśleć, co to mogło oznaczać.

Steve uklęknął na jednym kolanie.

- Leżenie na śniegu nic mi nie pomoże - powiedział.

Podparł się ręką i z trudem wstał, powstrzymując jęk bólu, żeby nie denerwować Abby.

- Dokąd idziemy? - spytał, kiedy udało mu się głębiej odetchnąć. - Do przełęczy Cottonwood?

- To chyba najlepsza koncepcja - potwierdziła Abby. - Musimy przejść przez górską drogę i dojść do potoku, który płynie do przełęczy. Najtrudniejsza część drogi to pierwsze kilkaset metrów. Musimy wspiąć się na dość stromy brzeg naprzeciwko kopalni. Tam na pewno leży dużo luźnych kamieni z lawiny spowodowanej wybuchem. Myślisz, że ci się uda?

- Bez problemu - odparł lekkim tonem.

Jedno spojrzenie na jego zaciśnięte usta przekonało Abby, że dalsza dyskusja na ten temat jest zbyteczna. Steve nigdy by się nie przyznał, że każdy krok okupiony jest okropnym bólem i wymaga od niego niesłychanego wysiłku woli. Będzie niezmordowanie szedł naprzód, dopóki znów nie straci przytomności.

Abby wiedziała, że w gruncie rzeczy Steve nie miał wielkiego wyboru - albo wstanie i pójdzie razem z nią, albo zostanie sam na zboczu góry. Oboje nie mieli wątpliwości, że gdyby Steve został i czekał na pomoc, niechybnie umarłby z zimna.

Okazało się, że wyjście z szybu znajdowało się jakieś dwieście metrów na południowy wschód od głównego wejścia do kopalni, ale trochę niżej na zboczu góry, gdyż prowadzący do niego tunel schodził w dół. Steve i Abby, w milczeniu, aby nie tracić sił, wdrapywali się po zboczu skalistej góry, chcąc wrócić na północ, z powrotem do głównego wejścia.

Kiedy wyszli zaa ostatniego zakrętu i znaleźli się na zakurzonej drodze prowadzącej do kopalni, od razu spostrzegli ciężarówkę, zaparkowaną tuż przed nimi, z lampą naftową nadal stojącą na dachu.

Abby aż dech zaparto z wrażenia i instynktownie uskoczyła w cień.

- O Boże, oni wciąż tu są!

Steve ukucnął obok niej, przykładając palec do ust.

- Gwen jest tam - szepnął, wskazując czubek niewielkiego wzgórza naprzeciwko kopalni. - Wygląda na to, że nadal zakłada dynamit.

Abby podążyła wzrokiem za jego palcem i zobaczyła pochyloną, czarno ubraną postać, która najwyraźniej kopała w ziemi. I to w dodatku dokładnie w tym miejscu, którym Abby i Steve musieli przejść, żeby dotrzeć do przełęczy Cottonwood.

Dlaczego Gwen i Peter nie wrócili do Denver? Abby zerknęła w lewo. Wyrwa w zboczu wzgórza wskazywała, że główna komora kopalni częściowo się zawaliła, ale samo wejście nie było całkiem zasypane kamieniami. Wciąż widać było górną połowę furtki. Albo pierwszy wybuch nie był dość potężny, albo Gwen i Peter źle obliczyli kąt spadania skał. Sądząc po stosach kamieni leżących po południowej stronie wejścia do kopalni, w grę wchodziła raczej ta druga możliwość. Abby była przekonana, że błąd w obliczeniach ocalił im życie.

- Nie udało im się zasypać wejścia od pierwszego wybuchu - powiedziała.

- Nic dziwnego, że tunel, w którym byliśmy, się nie zawalił. Źle obliczyli siłę wybuchu. Gdzie jest Peter? - spytała, rozglądając się wokół.

- Nie widzę - odparł cicho Steve. - Może jest w ciężarówce.

Serce Abby zabiło mocniej. Jeśli Peter jest w samochodzie, ich sytuacja przedstawia się bardzo niekorzystnie. Wystarczy jeden rzut oka przez okno, żeby odkryć ich obecność.

Z drugiej strony, gdyby w jakiś sposób udało im się pokonać Petera, mogliby zabrać ciężarówkę i zaoszczędzić mnóstwo czasu i wysiłku.

- Myślisz, że uda nam się zaskoczyć Petera? - zapytała - Uderzyć go zniemacka w głowę albo coś w tym rodzaju? Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby stąd odjechać samochodem.

Steve prychnął niedowierzająco.

- Przykro mi, mała, ale zostawiłem strój Supermana na dole w kopalni. Biorąc pod uwagę, że oboje, Gwen i Peter, mają rewolwery i dynamit, a ponadto są zupełnie sprawni fizycznie, głosuję za tym, żebyśmy im zostawili ciężarówkę.

- Strasznie zmarzniemy, czekając, aż się stąd wyniosą - powiedziała z pretensją w głosie Abby.

- Lepiej być przemarzniętym niż martwym. - Steve zaczął się bezszelestnie wycofywać. - Chodź, Abby, kiedy indziej zabawisz się w bohaterkę.

Abby rzuciła ostatnie, pełne żalu spojrzenie na ciężarówkę i odwróciła się, aby pójść za Steve'em. W tej samej chwili usłyszała, że ktoś wyskoczył z niej na ziemię. Schowana w cieniu obserwowała Petera, który z naręczem długich lasek dynamitu ruszył pod górę, do Gwen. Po kilku sekundach znikł jej z oczu, ale nie ruszała się z miejsca, dopóki jego kroki nie ucichły w oddali.

- Steve! - syknęła, ale jej nie słyszał, a nie chciała podnosić głosu.

W rozrzedzonym górskim powietrzu każdy odgłos niósł się daleko. To, że Steve nie wrócił po nią, utwierdziło Abby w przekonaniu, iż każdy krok jest dla niego ogromnym wysiłkiem.

- Steve! - syknęła nieco głośniej.

Nadal nie odpowiadał. Abby przyglądała się pustej ciężarówce, usiłując skalkulować ryzyko zabrania samochodu. Gdyby miała pewność, że kluczyki zostały w stacyjce, niebezpieczeństwo byłoby doprawdy niewielkie. Ruszyłyby z miejsca, zyskując kolosalną przewagę nad Gwen i Peterem, którzy byli dość daleko.

Niestety silnik nie był włączony i nie mogła być niczego pewna. Równie dobrze Gwen lub Peter mogli mieć kluczyki przy sobie. A wchodzenie do ciężarówki bez możliwości natychmiastowego odjazdu nie miało najmniejszego sensu.

Z westchnieniem żalu Abby przyznała rację Steve'owi. Traciła tylko czas, narażając i siebie, i jego na niebezpieczeństwo, ale było jej zimno, była straszliwie zmęczona i potwornie się niepokoiła złamaną ręką Steve'a.

Usłyszała jakiś hałas i szybko się obejrzała. Gwen stała pół metra od niej, mierząc jej w serce z rewolweru. Wielki Boże, kiedy zeszła ze wzgórza? Jak mogłam się tak strasznie zagapić, pomyślała z przerażeniem Abby.

Gwen była równie zaskoczona.

- Przecież ty miałaś zginąć - wychrypiała. - Przecież ty miałaś zginąć - powtórzyła z niedowierzaniem. - Myślałam, że już dawno jesteś w piekle razem ze swoim ojcem. Dlaczego wciąż mnie prześladujesz?

Mimo wściekłości i strachu Abby usłyszała w jej głosie nutę paniki.

- Mnie nie tak łatwo zabić - powiedziała, zdając sobie nagle sprawę, że panika Gwen jest jej jedyną szansą na przeżycie.

Broń w ręku Gwen zadrżała, potem znów znieruchomiała.

- Gdzie jest twój kochaś? - spytała. - Dzielny i szlachetny Steven Kramer?

- W kopalni - skłamała Abby. - Zabiła go pani. Zabiła pani człowieka, którego kochałam i chciałam poślubić.

- Dzięki opatrności choć za to - mruknęła Gwen. - Co ja mam, u diabła, z tobą zrobić? Jak mam cię z powrotem wepchnąć do kopalni? - W ataku nie kontrolowanej wściekłości uderzyła Abby w twarz. - Nie chciałam strzelać! - krzyknęła. - Teraz muszę cię zastrzelić, a broń jest bardzo zdradliwa.

- Nie przejmowała się tym pani specjalnie, zabijając Howarda Taylora i Douglasa Brady'ego.

- Och, tamto się nie liczy. - Gwen trochę się uspokoiła. - Parę lat temu ukradłam Keithowi jego webleya. Zawsze wiedziałam, że jeśli policja dojdzie, czyją jest własnością, będzie to dodatkowy dowód jego winy. - Popchnęła Abby w stronę ciężarówki. - Ruszaj się - mruknęła - To musi być strzał ze strzelby. Peter ma strzelbę w samochodzie. Trudno ją będzie zidentyfikować.

- Nawet jeśli mnie pani zabije, nie będzie mnie pani mogła schować w kopalni - powiedziała Abby. - Co pani zrobi z moim ciałem?

Błagam cię, Steve, modliła się jednocześnie w duchu, jeśli istnieje telepatia, to nadszedł moment, żeby ją wykorzystać. Ratuj mnie, proszę. Teraz jest idealna chwila.

- Jeśli zrzuci mnie pani z góry, ktoś prędzej czy później znajdzie moje ciało - mówiła dalej. - A przecież przygotowała pani cały ten skomplikowany i trudny plan właśnie po to, żeby nikt nie odnalazł naszych ciał.

Gwen zawahała się i szybko popatrzyła dookoła. Abby stała na czubkach palców, gotowa do skoku, nim jednak rzuciła się naprzód, Gwen znów skupiła na niej uwagę i mocniej zacisnęła obie dłonie na rewolwerze.

- Będę cię musiała zabić tuż przy wejściu do kopalni - stwierdziła przerażająco rzeczowym tonem. - Peter szykuje taki wybuch, że nikt cię nigdy nie znajdzie. Wprawdzie ciało zostanie na zewnątrz, ale będzie głęboko schowane pod kamieniami. Nikt mnie nie będzie o nic podejrzewał, Abigail. Nie martw się.

- Bardziej chodziło mi o moją własną osobę.

Gwen nawet nie zwróciła uwagi na ironiczną uwagę Abby. Zrobiła gwałtowny krok naprzód i szarpnęła ją.

- Nie będę sobie zawracać głowy strzelbą. Trudno byłoby mi wyciągnąć ją ze skrzyni, nie narażając się na twój atak.

Na twarzy Abby musiało się odmalować rozczarowanie.

- Aha, Abigail - prychnęła Gwen. - Nie jestem taka głupia, jak ci się wydaje. Wiem, że chcesz mi wyrwać broń, jak tylko się do ciebie zbliżę. Jestem na to za sprytna. Ten rewolwer jest moim starym przyjacielem. Najlepszym ze wszystkich.

Gwen skinęła głową w kierunku kopalni.

- Chcę, żebyś poszła wprost do wejścia, Abigail. Peter niecierpliwi się już, żeby odpalić dynamit. Musimy oboje wrócić do Denver o jakiejś rozsądnej

godzinie. Te nocne wypadki są szalenie męczące. Peter i ja mamy odpowiedzialną pracę i musimy być rano na miejscu.

- Zwłaszcza pani, pani Johnson, nieprawdaż? Zawsze była pani szalenie dumna ze swej punktualności. Jestem pewna, że nie chce pani sobie popsuć dobrej opinii przez taką drobnostkę jak morderstwo.

Zapadła chwila ciężkiej ciszy.

- A więc wiesz, kim jestem - stwierdziła wreszcie Gwen Johnson. - Może to i lepiej. Umrzesz z moim imieniem na ustach i w sercu. To dobrze. Bardzo dobrze. A mnie nic nie grozi, bo umarli nie mówią, prawda? Chyba że z innymi umarłymi.

- W końcu panią złapią. Szaleńcy zdradzają się czymś prędzej czy później.

Gwen parsknęła śmiechem.

- Czy chciałaś mnie sprowokować, Abigail? Zmusić do gwałtownego przekonywania, że nie jestem szalona? Jestem zbyt rozsądna, aby w ten sposób tracić czas. Teraz muszę jedynie postanowić, gdzie najpierw celować. Nim rozwalę ci mózg. W brzuch? Może w kolana? Koreańczycy w Północnej Korei strzelali w krocze, ale to dlatego, że mężczyźni mają na tym tle obsesję, prawda? Na pewno sama to zauważyłaś, moja droga Abigail.

Abby zadrżała, zarówno pod wpływem niesłuchanej nienawiści Gwen, jak i ze strachu przed bólem i śmiercią.

- Dlaczego? Dlaczego pani to robi? Wiem, że mój ojciec źle panią potraktował.

- Źle mnie potraktował! - Gwen aż się szarpnęła ze złości.

- Nie ma w angielskim słów, które mogłyby opisać sposób, w jaki ten człowiek mnie zranił. Zaciągnął mnie do łóżka, mając słodkimi słówkami, nie wspominając nawet, że ma żonę. A kiedy mu powiedziałam, że jestem w ciąży, odparł: „Jesteś pielęgniarką, skarbie. Powinnaś była wiedzieć, jak się zabezpieczyć”.

Abby poczuła mdłości, głównie dlatego, że gorzkie słowa Gwen brzmiały tak bardzo prawdziwie, ale nadal musiała zadawać jej pytania. Chciała poznać okoliczności całej sprawy i chciała zyskać na czasie. Gwen, gdy zaperzała się w rozmowie, przestawała popychać ją w stronę kopalni.

- Rozumiem, że jest pani rozgoryczona, ale chciałabym wiedzieć, dlaczego postanowiła się pani zemścić właśnie teraz. Dlaczego nie trzydzieści pięć lat temu, kiedy się to wszystko zdarzyło?

Gwen milczała przez chwilę, a potem ściągnęła powoli narciarską czapkę, potrząsając miękkimi włosami, które przyłgnęły jej do głowy.

- Trzydzieści pięć lat temu byłem młoda i ładna. Nadal miałam jakieś nadzieje na ułożenie sobie życia. Wysłałam za Eda Johnsona, licząc na to, że się nam uda. - Zaśmiała się ironicznie.

- Ależ byłem głupia i naiwna. Wszystkie te parszywe, męskie cechy, których nie zdążyli mi zaprezentować twój ojciec i Keith Boverly, poznałam później u Eda. Potem nie zawracałam już sobie głowy miłością. Kupowałam mężczyzn, którzy mi się podobali. I wiesz co, Abigail? Kobieta może sobie zapewnić znacznie lepszego kochanka pieniędzmi niż porywami głupiego serca. Wierz mi, Abigail, jest właśnie tak.

Mimo przerażenia Abby znów czuła dla Gwen współczucie i litość.

- Płaci... płaci pani Peterowi, za to, że jest pani kochankiem? Gwen wykrzywiła usta w cierpkim uśmiechu.

- Czemu nie? Jest przystojny, bardzo dobry w łóżku i tak samo jak ja lubi wygodne życie. Niestety Peter jest drogą zabawką. Zna swe możliwości łóżkowe i każe sobie za to odpowiednio płacić. Zaczęłam defraudować pieniądze w banku, żeby go utrzymywać i pewnego dnia zdałam sobie sprawę, że wzięłam w sumie ponad pół miliona dolarów.

- Wydaje mi się, że powinna pani nienawidzić raczej Petera Graymonta niż mnie czy moją rodzinę.

- Wciąż nie rozumiesz. Kochałam twego ojca, niech go szlag trafi. Kochałam go! Przepracowałam tu, w Denver, trzydzieści lat, licząc na to, że w końcu mnie zauważy. Kiedy umarła twoja matka, pomyślałam: „Teraz. Teraz do mnie wróci”. Nigdy tego nie zrobił. A w zeszłym roku dowiedziałam się, że planował drugie małżeństwo. Nie ze mną, o, nie, z jakąś kurą domową, którą trzymał w ukryciu w górach.

- Mój ojciec nie miał pojęcia, że nadal darzy go pani uczuciem.

- Zadzwoił i poprosił, żebym do niego przyszła - mówiła dalej Gwen, jakby nie słyszała słów Abby. - Kiedy leżał w szpitalu. Powiedział, że chce zakończyć nie dokończone sprawy swego życia. - Roześmiała się gorzko. - Tym byłam dla twojego ojca, Abigail. Ja i moje dziecko. Dwoma nie dokończonymi sprawami, które chciał zakończyć, nim stanie przed Bogiem. Dał mi zdjęcia wagonu ze złotem konfederatów i wejścia do kopalni. Powiedział, że zorganizował poszukiwanie skarbu dla córek, i chciał, żebym to ja się tym zajęła po jego śmierci. Powiedział, że chce, aby jego „rozkoszne córki” nawet po jego śmierci mogły się zabawić w rodzinną grę. Przynajmniej udało mi się sprawić, żeby wszystkie wasze zabawy stały się niebezpieczne - dodała twardym tonem.

- Jestem pewna, że ojciec nie chciał sprawić pani przyk...

- Czy wiesz, co mi przysłał twój drogi tatuś po tym, jak go odwiedziłam w szpitalu? - przerwała jej Gwen. - List, w którym dziękował mi za to, co zrobiłam. I dołączył do niego złotą bransoletkę jako „dowód wdzięczności”. Złotą bransoletkę za pięćset dolarów, gdy tymczasem wy miałyście dostać pięć milionów po zakończeniu poszukiwań. Nawet nie wiesz, jak bardzo nienawidziłam twego ojca i was, gdy zobaczyłam tę cholerną złotą bransoletkę.

Gwen już od dłuższej chwili nie popychała Abby w stronę wejścia do kopalni. Była odwrócona plecami do zbocza wzgórza, gdzie Peter zakładał dynamit, obie kobiety zaś, Gwen i Abby, zasłaniały przed wzrokiem Petera sterty kamieni rozbitych pierwszym wybuchem. Abby, stojąc twarzą do Gwen, widziała, że Peter podnosi się, wyraźnie zadowolony ze swojej pracy. Otrzeptał

spodnie z kurzu i odszedł kawałek, ciągnąc za sobą kable. Spojrzała na Gwen, która chyba zapomniała o Peterze i zbliżającym się wybuchu, i zdała sobie sprawę, że Gwen nie w pełni nad sobą panuje. Lata nienawiści do wszystkich mężczyzn, jacy ją skrzywdzili, napełniły ją wściekłością, która wreszcie znalazła ujście. Wprawdzie drżały jej dłonie trzymające rewolwer, ale nadal wpatrywała się w Abby płonącego nienawiścią, szalonym wzrokiem.

Abby ostrożnie cofnęła się o krok i rzuciła okiem na zbocze wzgórza. Gwen niczego nie zauważyła. Na tle oświetlonego księżycem nieba widać było wysoką postać Petera.

Wszystko przypominało scenę z czarno-białego filmu. Kawaleria, gotowa do galopu, czekałaby w ukryciu, a główny bohater wyrwałby zapalnik z rąk mordercy dosłownie w ostatniej chwili przed wybuchem, ratując niewinną bohaterkę przed niechybną śmiercią.

Niestety to nie był film. Steve prawdopodobnie zemdlął gdzieś na zboczu góry i czekała go śmierć z ran i z zimna. Abby, doskonale wiedząc, jak znikome są szanse powodzenia, postanowiła próbować się ratować. Bez jej pomocy Steve musiał zginąć.

Zrobiła do tyłu drugi krok, a potem następny. Gwen nadal wykrzykiwała swoje oskarżenia, wpatrując się w Abby nie widzącym wzrokiem. Przypuszczalnie widziała jedynie sceny ze znieawidzonej, odległej przeszłości. Teraźniejszość się dla niej nie liczyła, nie miała nic wspólnego z rzeczywistością.

Peter zatrzymał się jakieś trzydzieści metrów od założonej wiązki dynamitu i kilkakrotnie zamrugnął dużą latarką. Abby zrozumiała to jako ostrzeżenie dla Gwen, żeby nie zbliżała się do wejścia do kopalni. Obawiała się, że jeśli Gwen nie zareaguje na sygnał, Peter zejdzie na dół, aby sprawdzić, co się stało. Zostało jej już bardzo niewiele czasu, żeby wyrwać Gwen rewolwer.

W tej samej chwili usłyszała klakson samochodu. Abby aż podskoczyła ze zdumienia i uradowana spostrzegła, że Peter pomachał ręką. Naturalnie był

przekonany, że Gwen jest w samochodzie i że Abby i Steve leżą martwi - a przynajmniej ciężko ranni - w kopalni.

Gwen, wciąż coś wykrzykując, rozejrzała się dookoła z nieprzytomną miną, jakby nie była całkiem pewna, co oznaczał klakson. Kilka razy zamrugowała nerwowo. Poniewczasie obejrzała się za siebie i zobaczyła, że Peter naciska guzik, który miał spowodować wybuch.

Abby nie czekała dłużej na reakcję Gwen.

Ruszyła pędem do samochodu, nie miała bowiem wątpliwości, że znajdzie w niej Steve'a. Kto inny nacisnąłby na klakson? Dysząc ciężko i w każdej chwili spodziewając się kuli w plecach, szarpnęła drzwiami samochodu i wcisnęła się do środka.

Steve siedział za kierownicą, trzymając w dłoniach strzelbę.

- W życiu nie widziałam nic piękniejszego - wyrzuciła z siebie Abby. - Kiedy się tu dostałeś?

Steve pochylił się i szybko pocałował ją w usta.

- Dwie sekundy przedtem, nim Peter dał sygnał latarką. Trzymałem już palec na spuście, żeby strzelić do Gwen, kiedy zobaczyłem jego mruganie. - Steve jeszcze raz pocałował Abby. - Cieszę się, że cię widzę, mała. Zaraz wracam.

Niezręcznie wysiadł z ciężarówki, przyciskając do ciała złamane ramię.

- Dokąd idziesz, Steve? - krzyknęła Abby.

Jej krzyk zagłuszył nagły, potwornie głośny wybuch i huk spadających kamieni i rozwalającej się skały. Coś się mu nie udało, pomyślała ogłuszona Abby, wyglądając przez okno ciężarówki. Peter nie zamierzał przecież wysadzać w powietrze połowy góry, a to się najwidoczniej w tej chwili zdarzyło. Cała wierzchnia warstwa wzgórza spadała w dół, w kierunku wejścia do kopalni.

Gwen chyba wreszcie pojęła grożące jej niebezpieczeństwo. Ruszyła, ale zamiast biec w stronę ciężarówki, obróciła się na pięcie i podbiegła do warstwy

kamieni powstałej po poprzednim wybuchu. Nie wiadomo było, co chce zrobić. Wspiąć się na skały? Czy w ogóle była na tyle przytomna, żeby planować coś rozsądnego?

Grzmiąca lawina kamieni, powyrywanych z korzeniami krzaków i ziemi spadała z góry, początkowo powoli, nabierając jednak prędkości z każdym metrem i każdą sekundą.

Abby jak zahipnotyzowana wpatrywała się w Gwen, która usiłowała wspiąć się na stertę kamieni. W połowie drogi poślizgnęła się i spadła na dół. Przez chwilę leżała nieruchomo, a potem uklękła, usiłując się podnieść.

Sylwetka kobiety, która za wszelką cenę i wszelkimi sposobami starała się zabić Abby, majaczyła przez moment na horyzoncie - czarna, wychudła postać, z gniewnie wzniesionymi w górę pięściami i z otwartymi w okrzyku wściekłości ustami - po czym zalała ją rzeka kamieni, zmieniając ból i nienawiść w trzymetrowy stos rozbitych skał.

Zapadła cisza. Abby ze zdumieniem przekonała się, że ma twarz zalaną łzami, które nieustannie spływają jej po policzkach. Potarła oczy rękami, nie wiedząc sama, czy płacze dlatego, że uratowała życie, czy też dlatego, że Gwen tak bardzo zmarnowała swoje. Być może z obu powodów.

Olbrzymia gruda ziemi odbiła się tuż przed ciężarówką i garść drobnych kamieni uderzyła w przednią szybę.

Abby szybko przesunęła się na miejsce za kierownicą. To nie był najlepszy moment na łzy i filozoficzne rozważania. Na szczęście kluczyki tkwiły w stacyjce. Włączyła silnik i zaczęła wycofywać samochód. Nie wiedziała, gdzie jest Peter, a co ważniejsze - nie miała pojęcia, gdzie znajduje się Steve.

Na myśl o tym, że Steve naraża się na śmiertelne niebezpieczeństwo w pogoni za Peterem, szybko wyskoczyła z samochodu i rozejrzała się wokół siebie. Na de nocnego nieba, na znacznie teraz niższej grani wzgórza, dostrzegła

dwie idące sylwetki - Petera i Steve'a. Obaj mężczyźni niezręcznie trzymali przy ciele jedno ramię, ale Steve, który szedł z tyłu, niósł także strzelbę.

Abby, nie zupełnie dowierając cudownemu ocaleniu, oparła się o samochód, czekając aż Steve i Peter znajdą się na dole. Peter, ranny w rękę od strzału Steve'a, który w ten sposób wytrącił mu broń, rozglądał się niepewnie. Twarz miał równie bladą i brudną jak Steve.

- Zwiąż go, Abby - polecił Steve ochryłym ze zmęczenia głosem. - Wrzućmy go do tyłu i jedźmy stąd.

Peter w milczeniu, bez słowa protestu, przyglądał się, jak Abby zakleiła mu ranę taśmą chirurgiczną, która została z knebla Steve'a, a potem resztą taśmy przykleiła mu ręce do tułowia. Ani przez sekundę nie próbował uciekać. Wsiadając do ciężarówki, odwrócił się i spojrzał ze smutkiem na kopiec z kamieni, pod którym leżało ciało Gwen.

- Nie chciałem jej zrobić krzywdy - stwierdził tępym głosem. - Była dla mnie dobra. Nie chciałem jej zabijać.

Peter najwyraźniej rozczulał się nad sobą, ale Abby przekonała się, że trudno jej wykrzesać z siebie choćby odrobinę współczucia.

- Jasne - powiedziała zjadliwie. - Nie miałeś zamiaru zabijać Gwen. Była twoją przepustką do lepszego życia. Jednakże zamierzałeś zabić mnie i Steve'a. I wcale cię nie obchodziło, że zginiemy okrutną śmiercią. Wsiadaj do środka, Peter. Niedobrze mi się robi na twój widok.

- Mylisz się, Abigail. Nie chciałem nikogo zabijać - zaprotestował Peter. - Jestem przeciwny przemocy.

- Aha. Zamknąłeś mnie i Steve'a w kopalni, żebyśmy mogli ćwiczyć nocne wspinaczki.

- Chciałem tylko dostać część tego złota konfederatów. Tobie nie trzeba pieniędzy. Jesteś bogata z domu, nawet bez tego dodatkowego złota. Kiedy Douglas Brady nas wykiwał, Gwen chyba trochę zwariowała, a później

wszystko ruszyło jak kula śniegowa. Zmusiła mnie, żebym jej pomagał. Groziła mi. Nie chciałem mieć z tym nic wspólnego.

- Jasne, Peter. I jeśli sąd uwierzy w twoją opowieść, pójdziesz siedzieć najwyżej na sto lat. Dzisiaj tak wyznaczają kary, że będziesz mógł wyjść za dobre sprawowanie przynajmniej na dwa tygodnie przed twoimi osiemdziesiątymi urodzinami.

Steve trzasnął drzwiami, poszedł do przodu i opadł na siedzenie koło kierowcy.

- Za chwilę - stwierdził zwięźle - umrę z bólu.

Abby pochyliła się i pocałowała go prędko. Smakował brudem, potem i dymem. Smakował życiem. Chciała, aby ten pocałunek trwał wiecznie.

Kiedy wreszcie się od niego oderwała, głębokie bruzdy w twarzy Steve'a wydawały się trochę płytsze. Delikatnie odsunął jej z twarzy kosmyk.

- Jeszcze parę takich pocałunków, Abigail Deane, i przekonasz się, ile nieoczekiwanych rzeczy potrafi zrobić jednoręki mężczyzna.

- Nie mogę się doczekać.

Abby wykręciła samochodem i ruszyła w kierunku Crystal Lakes. Przed nimi była cywilizacja. Telefon, lekarze, jedzenie i gorąca kąpiel. Życie zniecała nabrało rumieńców. Spojrzała na Steve'a i uśmiechnęła się do niego.

- Pokażesz mi się zaraz po wizycie u lekarza, Steve. Sto sposobów sprawienia przyjemności kobiecie w wykonaniu jednorękiego eksperta.

Uniósł kąciki warg w tak dobrze jej znanym i kochanym uśmiechu.

- Tysiąc sposobów, moja najśłodsza Abby. Jestem pewien, że znajdę ich co najmniej tysiąc.

